

Od wydawcy *Ostatniej arystokratki*

Mateusz Wiczorek

PISTACJA



Polecają:
Gabriela Gargaś
Alek Rogoziński
Maciej Siembieda

komedia



Mateusz Wiczorek

PISTACJA

komedial



*Dla Małgosi.
Mojej małej chrześnicy,
która uwielbia pistacje.*



KSIĘGA I

GOŁĄBEK POKOJU



ROZDZIAŁ I

Gołębie to zaskakujące zwierzęta.

Jeśli zajrzycie choćby w internet, z łatwością znajdziecie artykuły bez końca wymieniające niezwykle zdolności tych wszędobylskich obsrajlotów. A oto kilka z nich.

Fakt #1

Gołębie mają kąt widzenia trzysta sześćdziesiąt stopni i są w stanie dojrzeć ziarno zboża znajdujące się nawet kilka kilometrów od nich. Równie dobry wzrok mają tylko nauczyciele polskiego.

Gołęb, na którym się teraz skupimy, prawdopodobnie jest ślepy lub szalony, bo właśnie usiadł na wysokiej latarni ulicznej, tuż nad głowami Grodziskiej Orkiestry Dętej.

Fakt #2

Gołębie ucą się szybciej niż mały i potrafią liczyć. Cukruś chytrze przechylił główkę, patrząc na umundurowania muzyków. Doskonale wiemy, na co liczy, prawda? W swym rachunku, nie zawarł jednak tego:

PAH!

Trzasnęły okrągłe talerze, gdy kapelmistrz dała znak. Orkiestra wystartowała jak wielotłokowa maszyna, wygrywając funkową aranżację muzyki z „Gwiazdnych Wojen”.

Przerażony ptak poderwał się do lotu. Emocje, jakie wzięły w nim górę, łatwo odgadnąć, wsłuchując się w pohukiwanie: „hu, hu, hu!”. Ale przekleństwa zostawmy na dramatyczniejsze momenty tej historii.

Pod poderwanym do lotu ptakiem trwała właśnie oficjalna część otwarcia nowej nitki kanalizacji. Przybyli burmistrz, starosta, proboszcz, wojewoda oraz statyści z Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Tych ostatnich zwabił darmowy poczęstunek. Wszak nie po to tyle studiowali, żeby teraz klaskać za „ale ładny żakiet!”.

Ciepły podmuch wiosennego wiatru wyniósł gołębia ponad dachy rodzinnego miasta. Przed jego oczyma rozpiął się Grodzisk Wielkopolski w całej okazałości.

Wprawdzie niewielki, bo liczący zaledwie szesnaście tysięcy mieszkańców, lecz wręcz parujący swą bogatą i kolorową historią.

Fakt #3

Podczas lotów gołębie wykorzystują zapamiętane punkty orientacyjne.

Szarosiny ptak z okiem jak pomarańczowy koralik zaklaskał skrzydłami nad niezbyt długą ulicą Rakoniewicką. Starsi mieszkańcy mówią o niej per „Rakoniesko”, a jeszcze starsi „ulica latających siekier”. Tu na próżno szukać uroku, ale znajdziemy go w sąsiednim parku krajobrazowym z owalnym stawem i dawną rezydencją rodu Opalińskich, przekształconą na muzeum. Warto wspomnieć, że grodziszczanie nie wiedzą co to muzeum, za to świetnie wskazują drogę do gimelarni.

Ach, tak. No przecież! Gimelarnia to słowo Wam obce, ale spokojnie. Krążąc po Grodzisku poznacie ich wiele, albowiem „grodziszczoki” posługują się najpoprawniejszą wersją języka polskiego. Swoją.

Mieszkańcy tego magicznego miasteczka, „zakluczają” drzwi, bo tak jest szybciej, niż „zamknąć je na klucz”. Zamknąć to może co najwyżej kalafę szczun piyszy z drugim, jak mu przydzie fandzolić o gramatyce. Zatem uprzejmie uprzedzam. Ciii, bo oto gołąb skręcił w locie na Stary Rynek.

Okalana wyniosłymi kamienicami agora posiada w swym centrum jasny brylant w postaci ratusza zwieńczonego oflagowaną wieżyczką. W cieniu ogromnego gmachu stoi zabytkowa studnia świątobliwego Bernarda, który w czasach „morowego powietrza” przechadzał się po naszym grodzie i pizdnął lolą w kamlot, krzesząc wodotrysk zdrowej, źródlanej wody pitnej.

Grodziszczanie wykorzystali źródło Bernarda do produkcji piwa.

I dobrze.

Fakt #4

Gołębie potrafią korzystać z mapy i kompasu, którymi obdarzyła ich Matka Natura.

Dzięki tej wewnętrznej nawigacji nasz skrzydlaty rzezimieszek okrążył rynek, by dosłownie w kilka machnięć skrzydeł dotrzeć do owalnej rotundy „małej bazyliki” pod wezwaniem Świętej Jadwigi Śląskiej. Mieszkańcy zwą ten budynek farą.

To bardzo piękna i monumentalna budowla z figurą świętego Floriana na szczycie.

Święty Florian, patron strażaków, miał za zadanie bronić miasto przed piorunami i pożogą.

Święty Florian stoi na szczycie fary od 1625 roku.

W 1761 roku miasto prawie doszczętnie spłonęło.

Fakt #5

Gołębie nawigują za pomocą układu słońca i gwiazd. By klara nie raziła w oczy, udał się nasz gołąb na zachód. Przeleciał nad domami, spomiędzy których strzelały wysoko w górę zieleniące się drzewa. Grodzisk Wielkopolski jest bowiem miastem niezwykle „obsadzonym”.

Chwilę później leciał już nad wysokimi blokami osiedla Wojska Polskiego, które tyle miało wspólnego z wojskiem, co Daewoo Matiz z czołgiem, i skierował się ku stacji kolejowej.

Musiał zwiększyć pułap, by przelecieć nad czarnymi jak smoła silosami miejskiego spichlerza. W tym miejscu należy wspomnieć, że opisywany kompleks od lat stanowi kość niezgody w miejskim słowniku. Jedni mówią na niego „elewator”, a inni – „bakutil”. Różnica zdań wynika z tego, czym za dziecka był straszony mały grodziszczanin. Tym, że jak nie będzie się uczyć, to pójdzie do roboty w elewatorze, czy tym, że jak będzie niegrzeczny, to oddadzą go na klej i mydło do bakutilu. Ale uwaga! Nasz gołąb przelatuje właśnie nad zabytkowym dworcem PKP.

Fakt #6

W dawnych czasach gołębie uchodziły za arystokratyczne ptaki. Szlachta obdarzała je czcią i szacunkiem. W każdym szanującym się dworze musiał być gołębnik.

To właśnie za czasów ludu herbowego, gdy z grodziskiej stacji wyruszały parowozy we wszystkich możliwych kierunkach, wymyślono tę oto lokalną przyspiewkę:

*Jedzie bana od Kościana,
a w tej banie ja.
Pomocnik w nią węgiel wali,
bana naprzód gna.
A kochany maszynista,
tak jak lubię ja,
co chwilę na gwizdku gwizda,
choć trasę zna.*

Natomiast kilka lat później, grodziszczanie śpiewali już tak:

*Jedzie bana od Kościana,
A jo sobie gwizdum.
Wyleciała czorno baba,
Z ogoloną pizdum.*

A dworzec mamy bardzo ładny, z czerwonej cegły, zbudowany według niemieckiego projektu.

Natomiast tam, gdzie kończy się peron, zaczyna się dzielnica zwana „Berlinkiem”.

Fakt #7

Gołębie dobierają się w pary na całe życie! W tym miejscu wypada wspomnieć o prawdziwym obiekcie miłości wszystkich grodziszczan, bo oto nasz wesoły kompan odbija w lewo, by łukiem dotrzeć do najwyższych punktów miasta.

Mijając o włos wysoko zawieszony halogeny władca miejskich przestworzy, znalazł się pomiędzy czterema, ogromnymi jupiterami.

Pod jego skrzydłami eksplodowała zieleń poprzecinana białymi liniami tworzącymi geometryczne kształty.

Stadion miejski łączy w sobie tradycję w postaci zabytkowej, drewnianej trybuny, naprzeciw której wybudowano tę nową. Długo można by opowiadać o historii tego miejsca.

Wiekowy stadion miejski.

Prawdziwa miłość lokalsów!

Koloseum ich umiłowanej drużyny, Groclinu Dyskobolii. Blender emocji, wspomnień, nadziei i kilkunastu prześwietleń RTG.

I choć dziś ekstraklasowa drużyna już nie istnieje, to odradza się siłami młodszego pokolenia.

Gołąb zanurkował niżej i tak jak lubił najbardziej, wyprostował lot w krytycznym momencie, po czym wyrzucił w górę, niemal muskając podbrzuszem poprzeczkę bramki.

Gdyby tylko wiedział, że kiedyś bronił jej Fajfer... Hu, hu!

Fakt #8

Columba livia f. urbana, podobnie zresztą jak inne gołębie, potrafi znaleźć drogę do domu. Zawsze. Dokładnie tak jak grodziszczanie! Dokądkolwiek by się z domu nie wybrali, zawsze wracają. Dlaczego? Cóż takiego jest w tym mieście, że działa jak magnes?

W dawnych czasach, gdy Grodzisk był osadą, musiano gorliwie czcić w nim słowiańskich bogów, budząc do życia prastarą magię. Oczywiście dziś wszyscy wierzą tu w Boga, jednak... Chrzcziny chrzczinami, ale dziecko w czarzim żebrze wykapać trzeba.

Gołąb uniósł się nad dachy i wysokie korony drzew, by namierzyć swój dom. Z łatwością dostrzegł strzelisty, ciemnozielony modrzew, majestatycznie górujący nad liściastymi sąsiadami. To tam mieszkał.

Niestrudzony ptak poczuł przyjemne mrowienie w klatce piersiowej. Czy to była euforia?

Pod puchatym brzuszkiem przesuwają się niczym góry lodowe czerwone szczyty dachów. Jeden... drugi... Lecz on celował w ten trzeci, z podłużnym ogrodem.

Zagruchał, dając znać, że wrócił.

Obniżył lot i ujrzał cel swej podróży. Był już blisko. Coraz bliżej.

Zbity z desek karmnik stał na parapecie okna.

Cukruś rozłożył skrzydła, gotów skierować lotki w dół...

BUM!

Fakt #9

Gołębie nie widzą szyb. I oto moment, kiedy w końcu można.

Gołąb nie tyle przydzwonił, co PRZYPIERDOLIŁ w szybę z całej epy. Homerycznie. Spektakularnie. Aż się pióra posypały.

Sztywny ptak osunął się po szybie, oddzielającej go od karmnika.

Zaalarmowany głuchym uderzeniem Michał, spojrział w stronę okna.

– Co...?

Przed chwilą odmalował ptasi paśnik i właśnie podchodził do parapetu, na którym suszył efekt swych wysiłków. Wyjrzał za okno i...

– O kurwa – wyrwało mu się z ust.

Wybiegł z domu, stukocząc laczkami jak tancerz flamenco i wciąż nie wierząc, że to się dzieje naprawdę.

– O, kurwa jasna – doprecyzował.

Poznajcie. Oto Michał Macherski, lat czterdzieści i dwa o włosach brunatnych, toczących bitwę z siwymi najeźdźcami. Z charakteru owczarek niemiecki: duży, poukładany, ale jednak bojący się petard.

Oczy niebieskie, co widać dokładniej w chwilach jak ta, gdy wybałusza je do granic możliwości.

Odwrócił się, by spojrzeć w stronę ganku, prowadzącego do ogrodu. Wąska ścieżka między garażem a budynkiem gospodarczym pozostawała pusta. Ale Michał wiedział, że gdzieś na jej końcu, jest ON.

To był JEGO gołąb.

Drżenie weszło w fazę przerwutów do mięśnia sercowego.

ON nie może się dowiedzieć – odbijało mu się między uszami.

Poczuł igiełki na czole.

ON się nie dowie – postanowił i trzeba przyznać, że był w tym przekonujący.

Starł rosę znad brwi.

ON mnie zabije.

A nie. Jednak nie był.

Za pomocą adrenaliny szybko ułożył plan.

Zawiniętego w ręcznik gołębia, ukrył w bagażniku auta, a następnie wrócił do domu po kluczyki. Na palcach.

Przecież to nie moja wina. To ON kazał mi pomalować ten śmierdzący kurnik.

ON.

Przed wyjściem postanowił, że zajrzy do pokoju syna.

Wparował do środka.

– Szymon, ja w...

– Ciii! – Czternastoletni chłopiec z burzą loków na głowie przyłożył palec do ust. – Mam e-lekcję – syknął.

Czoło Michała złapało pełny zasięg Wi-Fi.

– A, to przepraszam – zamknęła za sobą drzwi i wystrzelił na zewnątrz.

Ganek prowadzący do ogrodu wzbudzał w nim lęk.

On tam jest. Słyszę muzykę.

I rzeczywiście, zza równo przyciętych krzewów, słychać było trzeszczące radio.

Garaż był już niedaleko.

Prędko!

*

Przeszkłone drzwi zamknęły się z trzaskiem, gdy ze sklepu numer siedemnaście przy ulicy Garbary wyszedł kolejny klient.

Sklep, a raczej „pawilon” (przecież jesteśmy w Grodzisku), stanowił relikwiarz czasów, o których uczono na historii w towarzystwie takich słów jak „prodiż”, „ocet” i „Jaruzelski”.

Klienci lubili do niego zaglądać, choćby w ramach przeżycia czegoś ekscytującego, bo był to ostatni w okolicy przybytek, gdzie za głupią pyskówkę można było zarobić w łeb z miotły. Natomiast ułożeni kupujący mogli liczyć na przyjacielską pogawędkę.

A kierowniczką tego handlowego disneylandu była Justyna Macherska.

Małżonka Michała stała za ladą z surowym spojrzeniem i miną „tylko mnie sprowokuj”. W jej brązowych oczach tańczyły iskierki. Przed nimi zaś, opuszczone do połowy nosa, tkwiły okulary, których zauszki chowały się w opadających na szyję blond włosach.

Schowana za przejrzystą pleksi liczyła zawartość kasy, gdy z zaplecza wezwał ją dzwonek telefonu.

Zatrzasnęła kasetę i wychyliła się na „backstage”, by spojrzeć na wyświetlacz komórki.

– No? – odebrała jak zawsze.

– Justyna? – odezwał się głos jej męża, Michała.

– Nie. Pomyłka. Tu kubański Jezus.

– Jest problem.

Poprawiła okulary jak zawsze, gdy wyczuwała kłopoty.

– Zabiłem gołębia. Przypadkowo.

Cisza.

Justyna ukryła się za czarną kurtyną opuszczonych powiek.

Najpierw kradzież... a teraz jeszcze to.

Pięć dni temu spotkało ich prawdziwe nieszczęście. Jej mężowi, który prowadził firmę budowlano-wykończeniową, okradziono busa z lwią częścią sprzętu. To właśnie dlatego ów nie poszedł dziś do pracy. Dziś, wczoraj, przedwczoraj... Biznes stanął.

Kiedy Justyna ujrziała jego imię na wyświetlaczu, miała nadzieję usłyszeć dobre wieści. Że policja schwyciła sprawców i odzyskał narzędzia. Że znowu będzie mógł zarabiać. Ale nie. Michał zabił gołębia.

– To teraz on zabije ciebie.

– On jeszcze nie wie – Michał przełknął ślinę. – Nie widział. Może uda się to zataić.

– Zakopałeś go?

– Mam go w bagażniku. Boję się, że kot sąsiadów go wytarga. Jadę z nim do lasu.

– Do lasów nie można. Minister zabronił. Mandaty dają.

Michał jęknął. Zapomniał o tym. Jedno z pandemicznych obostrzeń zakazywało wchodzenia do lasów. Trwała wyjątkowo ciepła i sucha wiosna. Obawiano się więc, że pozbawieni rozrywek ludzie masowo wybiorą się na spacer i zaproszą ogień.

– To gdzie mam jechać?

– Chyba można wędkować. Weź kostkę pozbrukową, przywiąż go i wypieprz do głębokiej wody. Żeby nie wyszła latem. Do żwirowni jakiejś.

– Wiem! Stawy w Augustowie! – Michał nabrał pewności siebie.

Nagle kątem oka Macherska dostrzegła ruch przy drzwiach wejściowych.

Za oknami stała znana jej banda pijacków. Był wśród nich gość zwany Lincolnem. Za nim podskakiwał pękaty i kulawy Maradona, a w tyle chwiali się Daktyl z Żurawiem. Wszyscy do spółki dopingowali swego herszta, wyraźnie popychając go w stronę drzwi.

Ten dopingowany wyglądał jak rewelacyjny coseplay złodzieja z *Denisa Rozrabiaki*. Ksywą też szczylił się niekiepską: Dracula. Bo owszem, miał wakat na dolne i górne jedyunki. Już sam widok takiego uszczerbku oraz fakt, że Dracula to przeżył i chodzi z wysoko uniesioną głową, wzbudzał w jego kompanii nie lada podziw. Po mieście krążyło co najmniej pięć legend o tym, jak Dracula zyskał swój przydomek.

Dracula wszedł do środka z dużą, wypchaną torbą. W Justynie uruchomił się najwyższy alert bezpieczeństwa.

– Muszę kończyć – rzuciła. – Przyszedł twój brat.

Odłożyła telefon na półeczkę i pomaszerowała w stronę kasy.

– Uszanowanie, kierowniczką! – Maksym uklonił się wytwornie.

Justyna przyjrzała się jego siatce.

– Nie skupuję butelek. Chyba że masz paragon.

Dracula uśmiechnął się i wyprostował. Każdy jego ruch był obliczony dokładniej niż trajektoria rakiety Apollo. Pomimo dzielącej ich ludy zachowywał bezpieczne dwa metry odległości. I to nie przez obostrzenia.

– Czego? – Justyna taksowała go groźnym wzrokiem.

Maksym uśmiechnął się szerzej.

– Interes mam.

– Nie dostaniesz na krechę nawet szufli kurzu.

Dracula oblizał wargi. Jego bratowa była twardą przeciwniczką. To dlatego przebojem wspięła się po rodzinnych szczeblach uwielbienia. W przeciwieństwie do niego, bo on w tym samym czasie z tej drabiny spadł.

– Kasa zaraz może być – powiedział. – Bo tak się składa, że mam tu w siatce elegancką wiertarkę. A Michałowi podobno objumali budowę, nie?

Kierowniczką chrząknęła. W jej myślach trwała walka. Pomyślała o mężu.

– Dobra. Pokaż ją.

Dracula rozpromienił się i wyciągnął z siatki turkusową skrzyneczkę z logiem firmy Makita.

– Mogę? – Wskazał podbródkiem na krótką ładę.

Justyna skinęła. Michał nie lubił, kiedy jego narzędzia wyglądały na zużyte lub brudne, a egzemplarz, który miała teraz przed sobą, choć posiadał ślady użytkowania, był wyczyszczony i zadbane.

Mruknęła w zamyśleniu. To mogłoby się udać. Wiertarka wyglądała na sprawną.

– To jak?

– Co jak? – Spojrzała spode łba.

– Zapytasz go? Ze mną nie będzie chciał gadać.

Szefowa cmoknęła.

– Stój tu. I się nie ruszaj, bo cię spłaszczę.

– Dobra. Nie ruszam się. – Dracula wiedział, że szwagierka nie rzuca słów na wiatr.

W oczekiwaniu spojrzał w stronę okna, za którym stała jego ekipa. Wyszczерzył do nich swe ponure zamczysko i wystawił kciuk w górę.

– Dobrze jest. Jakby nie było, będzie bardzo miło – powtarzały pod oknem menelki.

Przyklejeni do witryny, wyglądali jak rybki, które zassał filtr, a później wypłuł przez tę rurkę na górze. Głębinowe pomruki zza szyby umilkły, gdy z zaplecza wyszła Justyna z telefonem przy uchu.

– Słuchaj, Dracula przyniósł mi ciekawą rzecz.

– Nawet, nie chcę...

– Wiertarkę. Chce ją sprzedać.

Chwila zastanowienia.

– Zepsuta?

– Wygląda na sprawną. I jest zadbana. Makity. Co ty na to?

– Z udarem?

Justyna spojrzała znad okularów na Maksyma.

– Tak.

– Cholera. Miałem taką... Jeśli działa, to ile za nią chce?

– Ile za nią chcesz? – zapytała szwagra.

– Czteryście – wypalił Dracula.

– Dwie stówy – skorygowała go kobieta.

– To dobra cena. Nowe chodzą po pięćset, czasem więcej.

– Ta nowa nie jest. Ale zadbana.

– A jaki to model?

– A skąd mam wiedzieć? Dracula! Jaki to model?

– Elegancki – wyjaśnił fachowo.

– Może jest tu gdzieś napisane. – Pochyliła się nad sprzętem. Maksym poszedł jej śladem, mając nadzieję, że model jest wysoki i wtedy dostanie chociaż trzysta. – Nic nie widzę. Makit... coś tam. Jest też...

– Czekaj – przerwał jej Michał. – Tam jest napisane Makit, ze startym „a” na końcu?

– Tak.

– To moja młotowiertarka!

Justyna poczuła, jak napinają się jej mięśnie na karku. Zajęty poszukiwaniem jakichkolwiek inskrypcji Dracula nie zauważył, że kobieta zrobiła się purpurowa.

– Jesteś pewny?

– Kiedyś spadła nam z rusztowania. Na tej dokręcanej ręczce powinna być podłużna sznyta.

– Jest. – Justyna pochyliła się i powoli sięgnęła pod ladę.

– Zabiję go.

– Nie. Ja to zrobię. – Kobieta odłożyła telefon.

– I jak? Zgodził się? – Dracula uniósł się i ujrzał tuż przed sobą metalowy cylinder z takim dziwnym małym wentylkiem. Głupi nie był, bo zanim poległ, zdążył się jeszcze przestraszyć.

PSIIIK!

Odświeżacz powietrza poraził mu oczy. Żuł ryknął i z rękoma na twarzy runął w tył.

– Moje oczy!

– O kurwa, o kurwa. – Głonojady za szybko się przestraszyły. – Zabiła go!

Sekundę później wszyscy zniknęli za rogiem.

– SKĄD MASZ, KURWA, TĘ WIERTARKĘ?! MÓW, BO CIĘ ZABIJĘ!

W ręku Justyny pojawiła się, nie wiadomo skąd, drewniana miara krawiecka. Uniosła ją jak kataną, wysoko nad głowę.

– Nie bij! Kierownicza, nie bij!

– Okradłeś Michałowi budowę!

– Nie! Jak Boga kocham!

Pach!

– Ała! – Zasłonił głowę ramionami. – My tylko okradli takich chlorów z Berlinka! Mieli to w szopie przy Strzeleckiej!

– Imiona, nazwiska, adresy!

– A–adresy? – Dracula rozchylił palce, łypiąc przekrwionym ślepiem.

Pach!

– AAA! Nie wiem! Jakbym ich znał, tobym nie kradł, nie?!

– Zabiję cię... – sapła wściekła kierownicza. – Albo nie. Już wiem, kto cię zabije z przyjemnością.

– Nie. Proszę, nie. – Przerażony Maksym zeszywniał. – Tylko mu nie mów. Nie jemu.

Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Justyna po raz pierwszy w życiu ujrzała w oczach wykłętego szwagra pierwotny strach. On się go naprawdę bał.

– Wiertarkę masz za darmo – jęknął. – A resztę spłace. Tylko mu nie mów.

– Spłacisz?

– Tak.

Chwila ciszy.

PACH!

– AAA!!! Odpracuję! Powiedz Michałowi, że odpracuję! Ale JEMU nie mów. Proszę.

Przeciągające się morderstwo przerwał dźwięk SMS-a.

Justyna sięgnęła po komórkę. Odczytując wiadomość, zmarszczyła czoło i nieświadomie opuściła rękę z krawieckim metrem. Tekst był krótki, zwięzły i niepokojący.

– Ani drgnij – warknęła i wyszła na zaplecze.



ROZDZIAŁ II

Stawy w Augustowie są oddalone około dziesięć kilometrów od Grodziska. Na akwen składają się dwa zbiorniki. Największy procent wśród ukrywających się w tym azylu spokoju zbiegów ma w kartotece porcelanowe gody i zarzuty o kłusownictwo. W Polsce ci wyklęci osobnicy znani są pod wspólną nazwą „wędkarze”.

Michał zatrzymał się na głównej plaży większego ze stawów. Wszystko wskazywało na to, że jest tu dziś sam.

To dobrze.

Mężczyzna uzbroił kostkę pozbrukową w gołębia. Przytwierdził go na trytytki i rozglądając się uważnie, podszedł do brzegu.

Nie zastanawiał się długo. Wziął solidny zamach i posłał dociążone truchło w toń. Rażona piskiem tafla wody eksplodowała, rozprzodając wokół kolistę fale.

– Oho! – usłyszał zza trzciny obcy głos. Z tataraku wychylił się okrągły mężczyzna z czerwonym nosem. – Widzę, że kolega na grubszą rybkę się nastawia. Sum, co? – Chwiejnym krokiem podszedł bliżej, zapalając papierosa. – Dzień dobry.

– No. Dobry.

Michał kombinował jak się wykręcić z tej rozmowy.

– Na kiedy ta twoja zasiadka? – drażył dalej krasnal ogrodowy. – To musi w tej wodzie trochę dojść. Woda ciepła, ale to ze dwa, trzy dni.

– To za trzy dni przyjadę. A teraz przepraszam, ale... – Już się szykował do odwrotu, gdy...

– Ale ten sum. Już go wyciągnęli. Tydzień się spóźniłeś.

– A, no to trudno.

– Wcale nie. Jeszcze węgorze są. Jak moje przedramię. Tylko na nie to gołąb czy kura to za mało.

– Tak? No to...

– Świński łeb. Od rzeźnika byś musiał przywieźć. Węgorz lubi wchodzić przez oczodół.

– Aha – Michał zrobił krok w tył. – To jadę do rzeźnika.

– Twój ojciec ma wtyki u starego Włodasa. Powiesz mu, to ci załatwi.

Michał zeszywniał.

– Pozdrów go od Kazia!

O, kurwa.

Nie zdążył się otrząsnąć, gdy zadzwoniła Justyna. Przeprosił piłkę w barwie moro i wycofał się do auta.

– Zabiłaś Draculę? – zapytał od razu.

– Nie. Gorzej.



ROZDZIAŁ III

Świat, któremu towarzyszy ludzkość podczas wędrówki przez wieczność, od zawsze napędzany był różnorodnością. To właśnie ona była, jest i będzie jego siłą do rozwoju. Każdy z nas odbiera rzeczywistość inaczej. Każdy ma swoje własne przekonania i każdy innego idola, guru, który zaszczerpieja w nas pierwszą z iskieł wyjątkowości. To wypracowanie będzie opowiadać o człowieku niezwykłym. Wyjątkowym. Ponadczasowym.

Szkoła świeciła pustkami. Cisza panująca na jej korytarzach potęgowała niepokój. Lecz dopiero gdy przekraczali próg gabinetu dyrektorki, przerażenie wypłukało z nich resztki pewności siebie.

Za dyrektorką stały w rzędzie jeszcze trzy osoby. Wychowawczynie klasy Szymona, pani pedagog oraz psycholog.

Nasz syn kogoś zamordował – przemknęło przez myśl Michałowi.

Od tej pory, wydawało im się, że biegną zanurzeni po pas w wodzie. Czas zwolnił.

Wśród wielu wielkich ludzi, o których czytamy i uczymy się w szkole, nie brak inspirujących jednostek. Moim idolem jest człowiek owiany wielką legendą. Twardy i nieugięty jak metr szyny kolejowej. Człowiek nobelny, pełny zasad i dobroci. Potrafił wzbudzić sympatię, ale również wielki strach. Władca w każdym calu. Pewnie pomyślicie, że to Bóg, papież czy sam Gordon Ramsay, ale nie. Moim idolem jest ktoś o wiele potężniejszy.

– Proszę się nie obawiać. – Wychowawczynie uspokajała bladych jak papier Macherskich.

– Czy stało się coś złego? – Justyna próbowała pokonać suszę w gardle.

Kadra nauczycielska spojrzała po sobie. Głos zabrał psycholog.

– To może ja wyjaśnię. Od początku. Nie wiem, czy już do państwa dotarła wiadomość, że w naszej szkole doszło do rażącego incydentu wykluczenia jednego z dzieci z powodu jego odmienności. Po dokonanej *coming outie* chłopiec spotkał się z nieprzychylnym traktowaniem. Trzy dni temu rodzice chłopaka znaleźli w jego pokoju dużą ilość silnych leków nasennych i list, który zamierzał zostawić.

– To przez Szymona? – zapytała przestraszona Justyna.

– Nie, nie. Spokojnie – odezwała się pani pedagog. – Ale wychodząc naprzeciw tak poważnemu problemowi, zasugerowałam wychowawcom klas, by poprosili uczniów o napisanie wypracowania na

temat swojego idola. Za co go cenią, czego dokonał, co stanowiło jego siłę i jaki miałby lub ma stosunek do homofobii.

– O Boże – jęknął Michał.

Nikt nie wie, kiedy się urodził i skąd przybył. Niektórzy powiadają, że widział wielki wybuch. Inni, że zapytał Galileusza, skąd wziął się cień na księżycu. Według kronikarzy liczył sobie lat trzydzieści, gdy Polska starła na proch Krzyżaków. Są też tacy, którzy przeczą historykom, bo na własne uszy słyszeli dokładny opis tego, jak na jego oczach ryby wyszły z wody.

– Zazwyczaj dzieci w wieku Szymka, wybierają na swoich idoli gwiazdy show-biznesu, którym dalekie jest zjawisko homofobii – kontynuowała dyrektorka.

– Kogo wybrał nasz syn? – zapytała Justyna, choć dobrze wiedziała.

Dyrektorka przesunęła po biurku wydruk wypracowania Szymona i uniosła brwi, patrząc na przerażoną dwójkę.

Mój idol nie boi się niczego. To „nic” boi się jego. Pewnego razu, gdy wymieniał gniazdko w ścianie, kopnął go prąd. Mój idol oddał mu tak mocno, że w mieście zabrakło zasilania na trzy dni. Taki właśnie jest mój idol. Wszechwiedzący Maharadża.

Tymczasem Dracula doczłapał do parku miejskiego. Wychodząc zza budynku muzeum, od razu dostrzegł swoich odważnych kolegów.

Ci, gdy zauważyli, że zbliża się do nich pokonany i wpakowany po uszy w bagno Dracula, wstali z ławki i zniknęli między drzewami. Żaden nie obejrzał się za siebie.

Dracula przystanął i splunął. Później powiódł wzrokiem po parku. Pośrodku owalnego stawu tryskała wysoko fontanna.

Został sam.

Maharadża już jako dziecko potrafił dostrzegać niewidoczne. Nic nie mogło się przed nim ukryć. On widzi bardziej. Widzi poprzez czas. Znana jest historia, gdy pewnego dnia, przyłączył się do grupy wędrujących ziomków, spędzając z nimi kilka ciężkich tygodni w podróży. Wędrowali poprzez wysokie góry, głębokie kotliny i bezkresne, martwe równiny, aż pewnego dnia w końcu się zatrzymał, wskazał palcem na ziemię i rzekł: „tu”. I tak powstało Gniezno.

Drewniane drzwi przerobionej kuchni, w której Urszula Macherska urządziła sobie gabinet, uchyliły się, wypluwając starszego mężczyznę. Dziadek ze słoikiem maści w rękę próbował wepchnąć swej wybawczyni banknot.

Sędziwa kobieta, której dobrotliwą twarz okalały siwe, upięte w kok włosy, pokręciła głową. Pożegnała się uśmiechem i wpuściła kolejnego staruszka.

Maharadża jest mistrzem demaskowania forteli. Nie istnieją dowody na to, że nie był świadkiem spotkań wielkich umysłów, planujących kształt doczesnego świata. Istnieją za to przesłanki, że już na etapie jego powstawania rozgryzł takie spiski masońskie jak kredyty czy opony zimowe.

Szymon siedział w swoim fotelu, zaczytując się bez pamięci w jednej z kolejnych książek fantasy. Uwielbiał wymykać się codzienności w ten archaiczny sposób. Ponad wszystko kochał poznawać nowe, zaczarowane i fascynujące światy.

Nim przerzucił kartkę, powiódł wzrokiem po swoim królestwie. Na ścianach pokoju wisiły plakaty jego ulubionych filmów. *Władca Pierścieni, Hobbit, Harry Potter, Co robimy w ukryciu czy Titanic*, to tylko promil tego, czym udekorował swoją ostoję.

Półki regałów ugięły się pod ciężarem książek i figurek.

Uśmiechnął się znad okładki i przewrócił stronę.

Pewnego razu, będąc w podróży przez koło podbiegunowe, Maharadża spotkał zmęczonych nocą polarną Eskimosów. Ci, wiedząc, że oto stają przed wielkim mędrcem, zapytali go, kiedy owa noc dobiegnie końca? Stracili bowiem rachubę czasu. Maharadża ulitował się i wymyślił dla nich zegar słoneczny, wprawiając ich w szok i niedowierzanie. Taki właśnie jest mój idol.

W biurze dyrektorki zrobiło się nagle bardzo duszno.

– W czasach pandemii młodzi ludzie mogą czuć się przytłoczeni. Zagubieni. Pokonani – tłumaczył psycholog. – Dlatego muszę zapytać. Czy państwa syn wykazuje jakieś symptomy, które mogłyby wskazywać na nadchodzące problemy? Na przykład depresję, albo...

– Ja... – Michał się zająknął. Coś mu zaświtało w głowie. – Dziś rano, kiedy wszedłem do jego pokoju, wyprosił mnie.

– Yhym – psycholog pokiwał głową. – Czy podał powód?

– Powiedział... – Michał spojrzał na małżonkę. Justyna zachęciła go, ściskając jego dłoń spoczywającą na kolanie. – Powiedział, że ma erekcję.

Festiwal bezwładnego opadania szczęk rozpoczął się na dobre.

– Co? – Justyna aż zafalowała.

– Powiedział, że mam wyjść, bo ma erekcję – Michał miał łamiący się głos. – Ja nawet nie miałem czasu, żeby z nim porozmawiać jak facet z facetem. Nawet nie zauważyłem, że on ma już czterdzieści lat... Ten czas... – pokręcił głową w pełnym winy zamyśleniu.

Wychowawczynie Szymka odchrząknęła.

– Panie Michale, wydaje mi się, że nie chodziło o erekcję tylko e-lekcję. Widziałam pana w jego kamerze.

Tajną bronią Maharadży jest „zabójczy kawał”. Komiczna anegdota, którą zna tylko on, potrafi zabić w ułamku sekundy. Dowodem na jej skuteczność jest fakt, że oprócz Maharadży, nie żyje nikt, kto by ten dowcip znał. Wielką zaletą tej broni jest to, że nie zostawia śladu węglowego.

– Jeśli Szymon nie jest tym, który popchnął tego biednego chłopca do myśli samobójczych, to... – Justyna próbowała zmienić temat. – Wiemy, że ma bogatą wyobraźnię, ale dlaczego tu jesteśmy?

– Niech pani przeczyta ostatni akapit – poleciła dyrektorka.

Werble, które rozbrzmiały w głowie Macherskiej, było słychać aż po zewnętrznej stronie czaszki.

W całej swej podróży przez wszechczasy nigdy nie bał się on różnorodności, odmiennych wartości, przekonań, wyznań religijnych czy koloru skóry. Inaczej niż moi rówieśnicy, opisujący swoich idoli, ja osobiście mogłem zapytać własnego, co sądzi o homofobii. I oto odpowiedź, którą niczym skrybowie i kronikarze, zapisuję dla przyszłych pokoleń, jakie przyjdą po nas. Tak, oto rzecz mój dziadek, Maharadża – Wielki Król.

„Homofobia? A co to za gówno? Fobia sugeruje strach, a ja się, kurwa, nie boję. Bo niby czego?”



ROZDZIAŁ IV

Urszula urządziła swój „gabinet” w kolorach greckiej flagi lub, jak zwykł mawiać ON, w barwach Stoperanu. Tu i ówdzie z sufitu zwisały miotełki suszonych ziół. Półki zaś zajmowały słoiczki z dziwną zawartością. Były tam liście, marynowane korzenie, a w jednym jaszczurka.

Od kilku minut za plecami gotującej Urszuli odbywał się Festiwal Gorzkich Żali. Justyna rugała syna.

– Co to za słownictwo! Co za wstyd...

Babcia trzasnęła pokrywką garnka.

– Dacie mu się wytłumaczyć, czy będziecie tak klekotać do rana? – Zmierzyła ich surowym okiem. – No wnusiu, jak to było z tym wypracowaniem?

– Pani prosiła, żebyśmy użyli cytatu, czyli dokładnych słów.

– I wybrałeś sobie na idola dziadka?! – nie odpuszczała Justyna.

– Zawsze mówiłaś, że wartości wynosi się z domu, a nie z... – Szymek poczuł, że jest w potrzasku. – Kogo ja miałem wybrać? Księdza Jankowskiego?

Ojciec się zamachnął.

– Zostaw go! – wrzasnęła Ula. – Ty też święty nie byłeś! Ile nocy przez ciebie nie przespałam? Przypomnieć ci, skąd masz ksywkę Agca?

– Agca? – Szymek spojrział na purpurowego ojca.

– Będzie kara – postanowił Michał. – Nie taka, to inna.

Tym razem babcia nie protestowała. Ale jej milczenie wcale nie oznaczało aprobaty.

– A jaka? – odważył się spytać Szymon.

– Zastanowimy się. Z mamą. I z babcią – spojrziała na Urszulę. Ta skinęła głową. – Zaczniemy od tego, że od teraz zero internetu.

– Potrzebuję go, do e-lekcji.

Macherski się zapowietrzył.

– To oddajesz komórkę – przejęła piłkę Justyna.

– Mamo...

– I zanieziesz prababci zakupy! Bez dyskusji.

Chłopiec czuł się pokonany. Oddał telefon.

– Zakupy są w wiatrołapie. Lecisz.

Szymek wyszedł. Chciało mu się płakać, ale w tym wieku, nie wypada. Był facetem. Wszak dziadek traktował go jak dorosłego, a to już coś znaczy. No i zaczynały mu się podobać prawdziwe auta. I dziewczyny.

– Ale z tym prałatem mu wyszło – przyznał Michał, gdy zostali sami. – To pewnie też od Maharadzy.

– Nie. Ode mnie – ucięła Urszula. – Co jeszcze klekotały te mądrale o Szymku?

– Że ma ogromny talent do pisania – westchnęła Justyna. – Wypredza swoich rówieśników o kilka lat. I że ma bujną wyobraźnię. A światopogląd jego idola nie jest zły, tylko sposób przekazywania go najmłodszym pozostawia sporo do życzenia.

– A czy Szymek brał udział w tej kołomyi? Szczęść tego chłopca?

– Nie. To nie on. Ale sugerowali, żebyśmy nauczyli syna panować nad swoim talentem. Żebyśmy znaleźli mu jakieś zajęcie. – Justyna była wykończona.

– Tak czy inaczej, kara musi być. – Michaś odzyskał rezon.

– Dobrze – zgodziła się babcia. – Ale żeby wyszła z niej jakaś nauka, to mam pewien pomysł. Słuchajcie...

Dziesięć sekund później, Michał był przekonany, że jakby Hitler miał dwie takie Urszule, to by we trójkę sami tę wojnę wygrali. Pomysł babci był wręcz paraliżujący.

– J... Ale... Ja mam... – Ręce Michała zaczęły skakać w stronę okna jak serpentyny w Nowy Rok.

– Sam nie – uspokoila go Ula. – Z Justyną idź.

Justynie coś się stało w twarz.

– Przecież was nie ugryzie!

– Ani też nie posłucha. – Michał miał rację.

Urszula wyjrzała zza firanki do ogrodu. Wzdychając ciężko, zmrużyła drapieźnie oczy.

– Dobra. Idźcie za mną. W razie czego ani drgnijcie... On reaguje na ruch.



ROZDZIAŁ V

Tegoroczny maj był wyjątkowo upalny.

Szymek z ciężką siatką zakupów przeklinał w duchu prababkę, która nie zgodziła się z nimi zamieszkać. A namawiali ją wszyscy, nawet Maharadża.

– Starych drzew się nie przesadza – zaskrzypiała tylko. Pelagia była z tego pokolenia, które w sylwestra schodzi z różańcem do piwnicy.

– Łoż... – Szymek przystanął, by zmienić rękę.

Ledwie się dowlókł do przejazdu kolejowego na swojej ulicy, a gdzie reszta trasy? Prababcia Pelagia mieszkała na grodziskiej starówce, przy ulicy Gołębiej. Dla czternastolatka o wroście krzaka agrestu, jest to dystans porównywalny z tym, jaki pokonał Forrest Gump, kiedy poszedł chwilę pobiegać.

Wędrówka dłużyła się niemilosiernie, ale w końcu się udało. Z niedowładem w palcach prawej ręki dotarł wreszcie na Gołębią.

Chłopiec przystanął w cieniu niebosiężnego budynku i odsapnął. Otaczały go wysokie kamienice, wszystkie pięknie zdobione, choć znalazłaby się i taka, którą zbudowano za pomocą śliny, słomy i kłamstwa w CV.

– Elo Moniu!

Chłopiec aż podskoczył. Nadciągała dwójka jego kumpli z klasy. Ten chudszy w okularkach i z piegami na twarzy, czyli Kuba, miał ksywkę Ebola, bo często kichał. Za to ten drugi, z siwą łatką na skroni, został ochrzczony Borsukiem, ale na imię miał Jacek. Albo Robert. Ale chyba jednak Jacek.

– Żyjesz? Słyszeliśmy, że masz przypał z tym wypracowaniem – wypalił Jac... Rob... wypalił Borsuk.

– Yhy. Trochę mam – przyznał Szymek. – Dyrka narobiła syfu. Rodziców wezwała do pierdolnika.

– No to grubo – przyznał J.R. Borsuk. – Moich też kiedyś wezwała.

– Ale ty kraďteś żarcie z plecaków. A ty co tam właściwie napisałeś, że masz jazdę? – zapytał Ebola.

– Nic takiego – Szymonowi głupio było się przyznać. – Ale będę mieć jakąś karę.

– O stary – Borsuk wyduł usta. – Ja za karę przez miesiąc nie dostałem drugiej kolacji. Bez kitu. A ty już wiesz, co ci wymyślą?

- Nie wiem. Może będę musiał pomagać ojcu w pracy.
- Przesrane. Pewnie umrzesz. - Ebola pokręcił głową. - Ja bym umarł.
- To wszystko przez tego idiotę Eryczka - dodał Borsuk.

Szymon uniósł brwi.

- Moja siora chodzi z nim do klasy - relacjonował dalej chłopak. - Słyszałem, jak gadała ze swoją psiapsi przez koma, że Eryczek dopadł gościa w szkolnym kiblu, wepchnął mu łeb do pisuaru i kazał wołać Aquaman'a.

- Powinni go wypieprzyć z budy - skwitował Ebola. - Ale wiesz, ojciec ordynator, to załatwi, że się rozejdzie po gnotach i cześć. Zresztą, co ci będę gadać. To twój sąsiad, nie?

- Sąsiad - przyznał Szymon. - Ale nie kolega.
- Się wie - J.R. spojrzął na jego siatkę. - A to co?
- Wstęp do kary. Niosę prababci.
- Tej głuchej?

- Tak. Matka się boi, że kiedyś otworzy drzwi komuś podszywającemu się pod kuriera albo że obrobią ją na „wnuczka”. Chciała ją wziąć do nas, ale babka jest uparta. Ostatecznie zgodziła się na taki telefon dla seniorów. Z guzikami.

- Z czym? - zapytał Borsuk.

- Nieważne. Będę leciał. Nie chcę przedłużyć, bo sobie pogorszę.

- Nie przejmuj się, ziom. Najważniejsze, że kara jest niesłuszna. Trzymaj się! Elo!

Chłopcy odmaszerowali, a Szymek stał jeszcze przez chwilę, zastanawiając się nad tą niesłusnością kary.

- Chyba trochę słuszna. - Powoli zaczynał rozumieć.

Gdy dotarł przed drzwi prababki, marzył o szklance zimnej wody. I teraz proszę o skupienie, drogi czytelniku, bo oto Szymek załomotał w drzwi i nadusił dzwonek. Pewnie w każdym innym zakątku Polski nasz Frodo Baggins nacisnąłby ten dzwonek, ale w Pyrlandii z pradziada na dziada guziki się nadasza. Zapisz to sobie.

- Kto tam?! - zawołała Pelagia.
- Babciu, to ja, Szymon. Sprawunki przyniosłem.
- He?!
- To ja, Szymon!
- HE?!

Chłopiec jęknął. Na szczęście miał plan „B”, który zakładał, że zadzwoni do niej z...

Zdrętwiała ręka napotkała pustkę w kieszeni.

- Szlag.

Przymknął powieki, nabierając powietrza w płuca.

- TO JA! SZYMON! - wydarł się na całe gardło.
- Ja nic nie zamawiałam!



ROZDZIAŁ VI

Promienie słońca nabrały barwy oranżu. Ludwik Macherski raz za razem, spoglądał zza krzyżówki na puste gniazdo swojego gołębia.

Obczajał też płot, którym sąsadował z ordynatorem.

Liczący siedemdziesiąt cztery lata mężczyzna o siwych, zaczesanych w tył włosach, już jakiś czas temu zauważył poruszenie w kanciapie Urszuli.

Coś się święciło.

Radio marki Unitra Diora, wycharczało pierwsze, sielankowe takty piosenki *Kokomo* zespołu „The Beach Boys”, gdy pojawił się pierwszy zwiastun kłopotów.

Od czoła ogrodu, przypominającego skrawek lasu, kroczyła osobliwa reprezentacja. Sądząc po ich minach, najpewniej z Akademii pana Kleksa. Na przodzie lewitowała łopocząca fartuchem Urszula, za nią stepowała Justyna, a peleton zamykał Michał, który za wzór gracji i pewności siebie chyba przyjął Boba Dylana.

W dodatku cała trójka poruszała się jak w zwolnionym tempie.

Aruba, Jamaica, oh I want to take you to;

Bermuda, Bahama, come on pretty mama!

Delegacja z Ministerstwa Dziwnych Kroków zbliżyła się na odległość „słyszalności”, więc Ludwik zmierzył ich posępnym spojrzeniem swoich brązowych oczu i wskazał długopisem kępę modrzewi.

– Do chatki Hagrida w tamtą stronę.

W odpowiedzi Urszula przydepnęła przedłużacz i wykopnęła z niego wtyczkę radia.

Cisza.

Ostro stara grasz. – Maharadża nie odrywał wzroku od krzyżówki.

– Krótka piłka. Przez ciebie Szymon ma w szkole kłopoty.

W odpowiedzi Ludwik postukał długopisem w jedną z kratek.

– Zapora przeciwzołgowa zet pe en i – odczytał podpowiedź.

– Jak ostatni osioł, powiedziałaś mu te bzdury o homofobii! Chłopak zacytował cię w wypracowaniu! Justyna z Michałem wylądowali u dyrektorki!

– Zapora... przeciwzołgowa... zet... pe... en... i – Macherski spojrział na syna. – Ty!

Bob Dylan dopiero teraz kapnął się, że jest na koncercie.

– Byłeś w wojsku. – Ojciec świdrował go wzrokiem. – Powinieneś wiedzieć.

– Ludwiku Macherski! – zagrziała Urszula. – Zaraz włożę ci tę krzyżówkę prosto w to spróchniałe dupsko!

– Zaporowy posterunek naziemno... – zakombinował nieśmiało Michał. Zamilkł, napotyając laserowe spojrzenie matki.

Telepie się jak karpie z Milicza – zauważył zza krzyżówki Maharadża.

Justyna posągiem z brązu też nie była.

– Co masz na usprawiedliwienie? – Ula zaplotła ręce na piersi. – Słuchamy.

– Zapora – powtórzył Ludwik. – Przeciwczołgowa. Zet. Pe. En. I.

Maharadża, nauczony doświadczeniem, wciąż nie opuszczał swojej pozycji obronnej. Wtem babcia wystrzeliła jak kobra, wyrrywając mu z ręki krzyżówkę, i odszukała odpowiedni kwadracik.

– Zapora przeciwczołgowa z pni!

Dziadek z trudem złapał odrzucony zeszynek.

– Zasieka!

Siedemdziesiąt cztery lata doświadczenia życiowego, poszły malować mural o kłesce.

– I czego ode mnie państwo oczekują? – zapytał, kiedy się pozbierał. – Przeprosin?

– Przeprosiny zachowaj na inną okazję.

– To o co chodzi?

– Chłopca czeka kara – wyprowadziła pierwszą piłkę babcia.

– Chłopiec jest niewinny – odparł hardo dziadek.

– To było jego wypracowanie – minęła pole karne Urszula.

– To były moje słowa! – wyruszył jej na spotkanie bramkarz.

– To były twoje słowa! – strzeliła z podkręconej Ula.

– Tak, to b... – Ludwik wyhamował, niestety już w malinach.

– Gol.

Justyna z Michałem nie mogli wyjść z podziwu dla taktycznego kunsztu matki. W ciągu trzech minut, dwukrotnie udało jej się rozbroić Maharadzę. Im przez piętnaście lat nie udało się to ani razu.

Ludwik westchnął i sięgnął po kufel z piwem. Szkło świeciło pustkami. Opadł plecami na ławkę.

Trzy do zera. Michał z Justyną widzieli to na własne oczy. Trzy. Do. Zera.

– Skoro się zgadzamy – podjęła babcia. – Przejdźmy do sedna.

– Mam popęlnić seppuku obieraczką do pyrów?

– Nie przerywaj mi, kiedy do ciebie przemawiam, Ludwiku Macherski.

To się nie dzieje! – Michał niedowierzał. Maharadża odłożył kufel na stolik. – *To. Się. Nie dzieje.*

– Winą Szymona nie jest wypracowanie, tylko twoja głupota. Dlatego właśnie to ty wymyślisz mu karę.

– A...

– Swojemu ukochanemu wnuczkowi.

– A jak nie, to co mi zrobisz?

W oczach Urszuli zaiskrzyło.

– Masz czas do jutrzejszego wieczoru – wycedziła.

Maharadża parsknął.

– Dobry dowcip. A znacie ten? – zapytał, odzyskując część rezonu. – Był sobie drwał, co pracował w wielkim lesie...

Młodzi Macherscy poruszyli się niespokojnie.

– Serio? – zapytała Ula. – Ten dumny kawał? Myślisz, że się go boję?

– Pewnego dnia, jak każdego poprzedniego... – kontynuował Ludwik. – Wyszedł do pracy...

– Jutrzejszy wieczór – zagroziła babcia i wskazała pozostałej dwójce wyjście z ogrodu.

Młodzi walczyli, by nie puścić się tam biegiem.

– Było blisko – szepnął Michał.

Uśmiechnięty Ludwik, wstał z ławki i pochylił się nad przewodem radia.

– Aha. I jeszcze jedno. – Urszula wycelowała w niego palcem jak rewolwerem. – Do czasu ogłoszenia kary masz szlaban na piwo.

Dziadek spojrział na kufelek.

– Nie sądzę.

– Tylko spróbuj.

– To co?

– To szkity połamane.



ROZDZIAŁ VII

Kilka minut później w domu Macherskich znów wybuchła awantura. Spowodował ją Szymon, wracający z siatką zakupów.

Zanim chłopcu udało się dojść do słowa, odzyskał w miarę normalne tętno, czucie w palcach prawej ręki i poprawne widzenie barw.

– Zabraliście mi telefon – bąknął.

Z Justyny uszło powietrze.

– Dość już – powiedział Michał. – Musimy z mamą porozmawiać.

– A oddacie mi telefon?

Ojciec wyjął aparat z kieszeni i wyciągnął przed siebie. Szymek chwycił go, ale ojciec nie zwalniał zacisku. Spojrzeli sobie w oczy.

– Kara będzie inna.

Szymek wpatrywał się w niego wyczekująco.

– Dobrze. Jestem gotów.

Justyna spojrzała przez ramię. Było jej żal syna, a jednocześnie czuła dumę, że chłopak chce wziąć to na klatę.

– Karę wymyśli ci dziadek – powiedziała.

– Dziadek?

– Możesz iść zapytać, czy coś już wymyślił.

Szymon spojrzał na okno, gdzie widział smugę światła bijącą z garażowej bramy.

– Okej. – Jednak zanim wyszedł, zatrzymał się na progu i spojrzał na rodziców. – I... przepraszam. Nie chciałem, żeby tak wyszło.

Justyna czuła jak pęka jej serce. Dobrze go wychowali.

Ocierając łezkę, zwróciła się do męża. On też majstrował przy powiece. Odczekała chwilę i... Tak – uznała. To odpowiedni moment na tę rozmowę.

– Michał, póki jesteśmy sami, musimy pomówić o...

– O Draculi? Zrobimy tak. Jak jutro przyjdzie do pawilonu, napisz mi eskę i zajmij go rozmową. Wźmę go z zaskoczenia.

– I co ci to da? Pobijesz go, on wyliże się szybciej niż pies, a ty dalej będziesz bez sprzętu i pieniędzy.

– No to co mam zrobić? Poklepać go po plecach i powiedzieć, że dobra jest? Stało się, nie ma co dudlać?

– Nie. Tak też nie. A... może pozwolił mu odpracować ten sprzęt? Chociaż trochę.

Michał wywalił ślepią.

– Sam to zaproponował.

– Świebodziński panie Jezu – jęknął.

– Nie to nie! Przepadło. Nawiksuj mu i dalej czekaj na cud jak święty turecki.

Wytała ręce w ścierkę i wyszła z kuchni.

*

Zapadał zmrok. Szymek wślizgnął się do garażu, w którym pobrzękiwało wiekowe radyjko dziadka. Maharadża majsterkował przy swoim rowerze. Klęcząc przy przednim kole, mocował poluzowany kabelek przy ogromnej lampie pod kierownicą.

– Elo, dziadek – przywitał się Szymon.

– Eluwin! – odpowiedział Ludwik. Chyba nikt w rodzinie nie wiedział, że senior rodu potrafił mówić w tym dziwnym, obcym języku młodzieży. – Już wiesz, prawda?

– Wiem. – Szymek był lekko zmieszany. – I co o tym myślisz?

– Iks de – wyszczerzył się staruszek. – Może nie będzie tak źle. Rozkminię jakiegoś bana, ale takiego izi pizi. Żeby się nie strybili, co jest pięć.

– O. Byłoby git.

– No. Zaraz coś wykminimy. Tylko najpierw mi pomóż. Weź no unieś mi tę kozę i popedałuj.

Chłopiec unieśli rower za siodło i nacisnął pedał. Maharadża wlepił wzrok w lampę, a gdy koło się zatrzymało, cmoknął z dezaprobatą i zaczął poprawiać mocowanie kabelka.

– Co ty tam lubisz robić w wolnej chwili? Oprócz pompowania budynku.

Połączenie kropek chwilę chłopakowi zajęło.

– No wiesz! – oburzył się chłopiec.

Ale się zaczerwienił.

– Lol – mruknął dziadek. – No to co lubisz robić?

– Hm, chyba to co wszyscy. Czytać książki. Oglądać filmy, czasami seriale. I sklejać modele figurek i je malować.

– Sztos.

– Tak?

– Jeszcze pokręć.

Chłopiec powtórzył czynność z kołem. Lampka na przodzie jak nie świeciła, tak nie świeciła. Ludwik się nie poddawał.

– A ty co robiłeś w moim wieku? – zapytał Szymek.

– Biłem Turków u bram Wiednia.

– Serio?

– O czym te książki i te filmy są? Kryminały? Erotyki?

– Ja nie czyt... – urwał, widząc, że dziadek ciśnie z niego bekę. – Fantasy. Wiesz, o magii i takie tam. Smoki, królowie, czarownice...

– Twoja babcia jest czarownicą.

– Co?

– Pokręć.

Pokręcił. Lampka nadal nic. Maharadza mruknął.

– Nie wiedziałeś?

– Nie jest.

– To dlaczego ludzie przychodzą do niej po te maści, eliksiry i wróżby, zamiast iść do lekarzy?

Chłopak wpadł w zastanowienie.

– Nie zauważyłeś, że co roku przychodzi do niej ktoś z gazety po wróżbę na Siedmiu Braci Śpiących?

– Na co?

– Siedmiu Braci Śpiących. To wróżba. Dziesiątego lipca babcia robi jakieś gusła i mówi, jaka będzie pogoda przez czterdzieści kolejnych dni. I zawsze się sprawdza. Pokręć.

U lampy bez zmian. Dead.

– To co będzie z tym banem?

– Jutro coś ogarniemy. – Zdesperowany pan Złota Rączka dokręcił kabelek tak, że aż stał nacięcia na śrubce. – A kto tego chłopaka od wypracowania tak rozjechał?

– No kto? Eryk.

– Ten Eryk? – Starzec wskazał okno wychodzące na ogród.

– Tia.

– Eryk – syknął pod nosem. *Zatem nie myliłem się co do tego gnojka.* – Eryk brzmi jak rudy.

Szymek parsknął, ale szybko się opanował.

– Musimy jeszcze zawrzeć umowę.

– Jaką?

– Że jak ci już dam tę karę, to się na mnie nie obrazisz. Po koleżeńsku. *Deal?*

Chłopiec pomyślał.

– Sztymniutko.

– Dobra, pokręć ostatni raz. – Dziadek wlepił wzrok w żarówkę lampy.

– Ale dziadek...

– *What?*

– Po co ja ci pedałuje, jak dynamo jest z przodu?

Maharadza spojrział w dół i nabrał powietrza w płuca.

Szymek zostawił dziadka wpatrującego się w prądnicę jak zaklinacz węży w kobrę.

Trudno. Wstał, zakręcił przednim kołem i z lampy wystrzelił słaby snop światła. Dokładnie w tej chwili jego stare radyjko, wytrzeszczało pierwsze taktę *Think Arethy Franklin.*

– *Freedom...* – Uśmiechnął się, spoglądając na bramę.



ROZDZIAŁ VIII

Po kolacji, podczas której panowała wisielcza atmosfera, Szymek udał się do swojego pokoju, a Michał postanowił wyręczyć zmęczoną małżonkę. I tak czekała go dziś bezsenna noc. Czuł to w kościach. Widział jej nadciągające widmo.

Natomiast to, czego nie widział, to przemykający za oknem, siwy łeb Maharadży na rowerze.

Znoszone laczki naciskały z ogromną siłą skrzypiące pedały. Ludwik nie tracił czasu. Uła mogła skończyć to swoje magiczne pierdololo w każdej chwili.

Przemknął na szagę przez skrzyżowanie, by wjechać na biegnącą prostopadle ulicę 1 Maja.

Michał polerował stół, próbując zająć czymś myśli. Na próżno. Jak film przewijały mu się przed oczami stopklatki z całego dnia.

W końcu pojawił się i ten kadr, na którym jego własna matka zrugala go i nazwała Agcą.

Ta ksywka niezwykle go drażniła. Niosła ze sobą tak wstydlivy bagaż wspomnień, że aż zachciało mu się porąbać ten cholerny stół w drzazgi.

Agca.

Sklep, do którego zjechał Ludwik, był bezpiecznym miejscem na takie zakupy, bo choć oddalony od ich domu zaledwie o czterysta metrów, nie był odwiedzany przez resztę rodziny.

Wychodząc z podzwaniającymi w siatce dwiema butelkami pysznego, grodziskiego piwa, Macherski natknął się na trójkę mężczyzn. Jeden z nich, dorosły chłop z pieprzykiem pod okiem, płakał jak dziecko.

– Panie Maharadża, panie Maharadża! – zawołał drugi, najwyraźniej pocieszyciel, gdy ujrzął znanego mędrca.

– Słucham.

– Pan pumoże. Kolegę dziś Bóg pokaroł. Babę mu olśnił czy coś... Zostawiła go i nie mogomy z nim dojść do wyprostu.

– Zlituj się pan nad bidokiem – poprosił trzeci.

Ludwik podszedł do zapłakanego niczym Jezus do trędowatego. Tylko patrzył na niego inaczej.

– Baba cię zostawiła, he? Posłuj no mje dobrze. Nie rycz! – Dał mu delikatnego plaskacza na uwagę. – Nie rycz już i słu'ej tu mje ino.

Słuchali wszyscy.

– Zapamiyntej se... Nikt go tak nie chyci w rynke jak ty sam.

Cudu stało się zadość. Zapłakany przestał dudlać.

– Racja! – poklepali go po plecach kumple. – Widzio'eś? Mówiułem, że pan Maharadża to jes rychtyg gość.

Podziękowaniom na klęczkach nie było końca, za to kończył się już czas. Ludwik spojrział na zegarek.

Myśli przyspieszały, a jego swędziało wszystko w środku. Jakby miał tam mrowisko.

Wyjrzał przez okno w gwieździste niebo. Z dalekiej wieży kościelnej, popłynął hejnał mariacki.

Dwudziesta pierwsza, panie Agca – odezwał się jego wewnętrzny przedrzeźniacz.

Michał już wiedział, że przegrał tę walkę. Wiedział, że to wspomnienie do niego nadjeżdża. Słyszał już ten ciężki parowóz, podjeżdżający do jego peronu. Słyszał jak hamuje, a później stęka ciężko, wypuszczając kominem siwy dym.

Proszę wsiadać, drzwi zamykać! – usłyszał tego chama ze swojej głowy.

Wsiadł.

Odjazd! Kolejna stacja, szkoła dwójka, czerwiec dziewięćdziesiątego pierwszego!

Ludwik był już w połowie drogi, gdy jego oczom ukazał się niecodzienny widok. Pod jednym z domów w świetle latarni stał nie kto inny jak Eryczek. Opleciony wokół kruchej blondyneczki, oddawał się długiemu, mlaszczącemu pocałunkowi. Miał na sobie ocozobnie białe spodnie i czarną, skórzaną ramoneskę.

A to ci gratka – pomyślał Maharadża. – *Eryczek w kurtce z asfaltu.*

Zahamował przy nich z głośnym chrzęstem opon. Zaskoczony młodzik odskoczył od dziewczyny. Macherski nie czekał na powitanie. Spojrział na dziewczuszkę.

– Teraz cię kocha – powiedział do niej. – A później cię będzie bić.

Blondyneczka rozdziawiła usta, a Ludwik nadepnął na pedały.

Pociąg wspomnień szarpnął wagonami.

Michał wpatrywał się w świat za szybą jak pasażer regionalnych.

Znów miał czternaście lat. Jako chłopiec nie wyróżniał się niczym szczególnym poza tym zawadiackim błyskiem w oczach, dzięki któremu został szefem klasowej bandy. Na to spojrzenie można było wiele ugrać, ale i z wielu spraw się wyłgać!

Wraz z niepełnoletnią mafią stał teraz przy drzwiach szkoły i groźnie wpatrywał się w starszego o rok brata Maksyma.

– Zajuchciłeś mi śniadanie i ściagi! – napompował się Michaś. – Jak ja mam iść na matkę? Głodny i po szmatę?!

– Nie śajuchciłem – zaseplenił Maksym.

Jeśli znakiem rozpoznawczym Michała był błysk w oku, to Maksyma charakteryzowały wystające z ust, królicze jedyńki. Były rozmiarów nart.

– Dzwon albo nakabluję ojcu!

– Ale co mam powieść?

– Sam se wymyśl. Dzwonisz. Już.

Osaczony chłystek przekalkulował swoje opcje. Po dopięciu wszystkich obliczeń i naciągnięciu kilku wyników podszedł do budki telefonicznej przytwierdzonej do ściany. Spojrzał jeszcze w górę schodów, na portierkę. Wóźnej nie było. Wcisnął więc w automat kartę magnetyczną z wizerunkiem papieża Polaka i wystukał jakiś numer. Nie zdążył wybrzmieć pierwszy z sygnałów, gdy...

– Halo? – Maksym sam się zdziwił, że ktoś odebrał!

Połowa sukcesu była już za nimi. Co się zaś tyczy drugiej połowy, to...

– F szkole jeś bomba.

Podeksytowany Maks odwrócił się do bandziorków i pokazał im uniesiony kciuk, że jest okej.

– On sobie jaja robi – szepnął jeden z kumpli Michała.

Zbrodnia doskonała nie istnieje. Zazwyczaj posiada przynajmniej jeden wyłom. Zbrodnia Maksyma składała się wyłącznie z wyłomów. Po pierwsze: każda budka posiada swój numer. Po drugie, i to go położyło: na ośmiuset uczniów tej szkoły tylko on seplenił.

Nie wiadomo, według jakiego wzoru Maks ułożył swój plan, wiadomo jednak, że dyrektor po drugiej stronie słuchawki dodał sobie dwa do dwóch.

– Ojej. – Zagrał na czas. – A jaką mam tę bombę? Na pilota czy z zapalnikiem czasowym?

– Śaraś śobaciś jak ci tę budę w kośmoś fypierdołę.

– Maksym?! – Dyrektor stał na szczycie schodów jak helikopter bojowy z nowoczesnym telefonem bezprzewodowym przy uchu. – Chodź no tu do mnie.

Maks spojrzął na Michała.

Michał nawet wiele lat później wspominał, że takie oczy widział tylko dwa razy w życiu. Pierwszy raz pod tą budką telefoniczną, a drugi, jak się koń w bagnie topił.

Matka obiecała załatwić Michałowi pracę w bakutilu, ojciec w elewatorze, a kumple z klasy w akcie szacunku, podarowali mu ksywkę: Ali Agca.

Nawet z tej promenady radosnych wspomnień Michał usłyszał przeciągły odgłos klaksonu i pisk hamowania. Jednak o tej godzinie nie było to w tym mieście niczym nadzwyczajnym. Ot, zwykłe odgłosy nocnego grodziskiego żywota.

Ignorując więc wszelkie odgłosy, wrócił nasz Michaś do rozważań.

Przez te wszystkie lata Justyna wierzyła, że Michał nie da pracy Maksymowi, bojąc się reakcji ojca, który wyklął go z rodziny. Natomiast prawda leżała w jego własnych ślubach sumi...

Czekaj. Coś poruszyło się pod parapetem. Michał oderwał wzrok od gwiazd i...

– AAA!!! – ryknął przerażony.

Wy też byście krzyknęły, widząc za oknem Hannibala Lectera, który właśnie uciekł z tej karetki w Memphis.

Skacząc na jednej nodze, dr Maharadża Lecter ciągnął za sobą pogięty rower, a jego obłąkańczy wzrok, który mówił trochę „a ku-ku”, a trochę „ała”, zawiesił się gdzieś między nim a synem. Na szybie. Na puchowej odbitce w kształcie... gołębia.

– AAA! – zacytował syna Ludwik.

Z niedostatku innych opcji i tlenu Michał wziął i zemdlał. Zanim odjechał na białą salę, usłyszał jeszcze czyjś krzyk z ulicy:

– Panie Maharadża, zgiubił pan laczka!



ROZDZIAŁ IX

Największą chwilę grozy przeżył Szymek. To właśnie on znalazł w kuchni nieprzytomnego ojca i popielaty pokiereszowany łeb za oknem, który zakomunikował mu, że „chyba potrącił auto”.

Moniu stał teraz obok babci i bladych rodziców, wpatrując się w siedzącego na swojej ławeczce Maharadzę.

Ludwik jak to Ludwik, z plastrami na nosie oraz gipsem aż pod kolano wpatrywał się w krzyżówkę, ignorując ich obecność. Niestety babcia to nie telewizor na pilota, więc musiał zaakceptować fonię.

Ostatnie dziesięć minut spędził więc na emocjonującym roller coasterze, napędzanym furią Urszuli. W jej spontanicznym wykładzie pojawiły się takie słowa jak „patafian”, „szplin” czy „szuszfol”. I to już w pierwszym zdaniu!

Gdy w końcu Ula skończyła, jej nozdrza falowały jak u wściekłego byka.

– Miejsmy to za sobą i chodźmy odespać noc – zarządziła w końcu. – Twój wnuc czeka na karę. Maharadża wyrżał zza krzyżówki.

Wiedźma. – Poruszył palcami połamanej nogi. – *Prognostyczka krzywdy. Delficka imigrantka...*

– Dziadku? – Szymek wyglądał wyjątkowo słabo.

Ludwik poczuł, jak fala odpływu wyciąga z niego nagromadzone ciśnienie.

– Dobrze. Kara. Ale bez przemówienia.

– Bez przemówienia – zgodziła się Urszula.

– Napiszesz książkę.

– Książkę?! – wyrwało się Szymkowi.

Justyna z Michałem wymienili się zdziwionymi spojrzeniami.

– Książkę? – zapytali dla pewności.

– Ale nie byle jaką. – Ludwik wycelował palcem w Urszulę. – Napiszesz książkę o czarownicach.

W tej chwili wulkan Yellow Stone wyglądał przy Uli jak korsarz za złotówkę. Kobieta aż zadrżała.

– Zgoda? – zapytał „szuszfol” z ławki.

Przez chwilę wydawało się, że Urszula położyła na stół veto, ale nie.

– Zgoda. – Spojrzała na rodziców chłopca.

– Chyba... zgoda – przytaknęli.

Teraz przyszedł czas na Szymona. Cała czwórka przyglądała mu się wyczekująco. Chłopiec zmierzył hardo dziadka. Nie podobało mu się to, ale przypomniał sobie wczorajszą, koleżeńską umowę.

Bez obrażania.

Zmełł w ustach sprzeciw i schował urazę do kieszeni. Jak prawdziwy facet z filmów.

– To i ja zgoda – powiedział.

Michał wytrzeszczył oczy.

– A ciebie kto pytał o zdanie? Do pisania!

– Aha – bąknął Szymek.

Babcia klasnęła w ręce jak krupier komunikujący odejście od stołu i poprowadziła delegację w stronę domu.

– Czy teraz mogę dostać piwko? – zawołał za małżonką Maharadża.

Babcia zatrzymała się, posyłając mu jadowite spojrzenie.

– Nie.

– Czemu?!

– Jak się tylko dowiem, a dowiem się na pewno, że zachachmęciłeś od kogoś piwo, to ci się ta noga złamie jeszcze raz.

U la la. Ludwik zmarszczył brwi.

– Był sobie drwal – mruknął zza krzyżówki. – Co p...

Ula jednym przecwiczonym już kopnięciem wystrzeliła z przydepniętego przedłużacza kabel radia.

– Coś ci tu wypadło. – Pokazała palcem, wychodząc z ogrodu.

Szymek wrócił do swojego pokoju w przekonaniu, że po ostatnich ciężkich przeżyciach jego rodzina znowu osiągnęła jako taką harmonię.

Ale z tą książką... – Pokręcił głową.

Wiedział, że rodzice mu nie odpuszczą. Może nie będą wymagać, żeby napisał nowy *Potop*, ale coś napisać musi! Nie ustąpią, dopóki nie zobaczą chociaż części efektów. A im szybciej je zobaczą...

Usiadł przy biurku.

– Czarownice – szepnął, wodząc wzrokiem po regałach z książkami.

Dobra. – Otworzył laptopa. – *Trzydzieści stron może dam radę.*

Ekran rozświetlił się bielą czystego, wordowskiego arkusza. Wyciągnięta nad klawiaturę dłoń zawisła w bezruchu, aż w końcu jeden z palców poddał się i delikatnie stuknął w pierwszy z klawiszy.



KSIĘGA II

KOŁOMYJA



ROZDZIAŁ I

Nie wiedział, jak długo spał. Nagle ktoś włożył rękę do zimnej wody, w której topiły go sny, i wyciągnął na powierzchnię. Pierwszy oddech bolał. Pierwsze otwarcie oczu przeszywało czaszkę. Pierwszy ruch palił mięśnie. Pierwszy krok skończył się upadkiem. Znowu widział twarze córeczki i żony.

Gdy ocknął się ponownie, był już suchy, czysty, ubrany i skuty w kajdany.

Kilkoro ludzi ciągnęło go przez długi, betonowy korytarz, nie czekając, aż przypomni sobie, jak chodzić.

Gdy mijali podłużne okno, uniósł głowę i jęknął. Strażnicy zatrzymali się, czekając, aż coś powie, lecz on milczał. Patrzył przez szybę na świat. Ten nowy świat. Słoneczny, upstrzony budynkami w kształcie owali i obelisków. Między nimi rosły jednakowe drzewa. Ten świat wyglądał geometrycznie. Sterylnie. Po niebie jak mrówki przesuwaly się jakieś punkciki. Dopiero po chwili zrozumiał, że to statki powietrzne.

Mundurowi zaprowadzili go do okrągłego gabinetu bez okien. Na środku stało zabytkowe biurko, niepasujące do reszty. Na ścianach nie było obrazów, tylko dziwne monitory. Dziwne, bo obraz wyświetlał się w powietrzu, a nie na ekranie. Wyświetlały się stare ryciny, malunki i jakieś zapiski.

Za biurkiem siedział mężczyzna w grafitowym uniformie. Na piersi dziwacznej marynarki miał jakieś kolorowe znaczki, chyba medale. Pięćdziesięciolatek o oliwkowej cerze zmrużył błękitne oczy.

– Wiktor Crush – mruknął, gdy więzień spoczął na krześle przed biurkiem.

Mężczyzna nie pamiętał, kiedy ostatnio słyszał czyjś głos. Wraz z wolnością odebrano mu rachubę czasu.

– A pan? – zachrypiął.

– Waldemar Morris – przedstawił się tamten. – Jestem dyrektorem tej placówki. Oczywiście nie masz pojęcia, co to za miejsce. Nie istniało, kiedy cię skazano i zamrożono.

– Pow...

– Skazano cię w dwa tysiące siedemdziesiątym pierwszym roku. Obecnie mamy rok dwa tysiące trzysta pięćdziesiąty.

Wiktor walczył z zawrotami głowy.

– Byłeś zahibernowany przez dwieście osiemdziesiąt lat, sto dziewięćdziesiąt dni, cztery godziny i osiem minut.

– To znaczy, że moja córka i żona...

– Tak. Ale dożyły Nowego Porządku Świata. Po Wielkiej Wojnie całą Europę i część Azji zajęło nowe królestwo.

– Królestwo?

– Wielkie Królestwo Pyrlandii. Znajdujemy się w jego stolicy, Poznaniu, a dokładniej w dzielnicy Grodzisk – wyjaśnił Waldemar. – Budynek, w którym jesteś, to jedyny na świecie Instytut Czasu.

– Instytut czego?

Morris był człowiekiem o nieodgadnionym wyrazie twarzy.

– Kiedy leżałeś w więziennej łodówce, ludzkość pogalopowała do przodu z wynalazkami i nauką. Dzisiejszy świat jest inny, niż go pamiętasz. Po długiej wojnie udało nam się w końcu odtajnić czasowy patent...

– Chwila. Instytut Czasu? Czy to coś w stylu Instytutu Pamięci Narodowej?

– Nie. – W oczach Morrisa zabyły refleksy. – Mój instytut zajmuje się podróżami w czasie. Wiktora zemdlilo.

– Jest jedna zasada. Nie ingerujemy w bieg historii – mówił dalej Waldemar. – Ale badamy ją. Poznajemy. Dlatego cię obudziliśmy.

– Nie kumam.

Dyrektor spojrział na jednego ze strażników.

– „Nie kumać” znaczyło dawniej „nie rozumieć” – wyjaśnił tamten, posiłkując się urządzeniem wielkości telefonu komórkowego.

Morris skinął głową w stronę drzwi.

– Wszyscy wyjść.

Wyszli natychmiast.

– Twój wyrok to osiemset lat. Ale mam dla ciebie propozycję. Jeśli odmówisz, wrócisz do łodówki. Lecz jeśli się zgodzisz i wykonasz zadanie, które ci wymyśliłem, wrócisz do świata żywych jako pełnoprawny obywatel z białą kartą.

– Jakie zadanie?

– Zbadaliśmy już prawie wszystko, co mogłoby przysłużyć się rozwojowi ludzkości. Badaliśmy powstanie świata. Erę dinozaurów. Wydarzenia z Biblii... Trochę nam się wtedy noga powinęła i powstały księgi Ezechiela i Henocha. Dlatego wprowadzono protokół o nieingerowaniu w czas. Ale dzięki badaniom odkryliśmy wiele dobrego. Ludzkość stała się potęgą.

– Chcesz mnie przenieść w czasie?

– Tak. – Waldemar Morris spojrział na hologramy ze zdjęciami jakichś mężczyzn. Chyba astronautów.

– W tej chwili badamy kolejną zagadkę. Wiedzmy.

– Geta fakał – prychnął Crush.

– Pewnie pamiętasz z lekcji historii, że w średniowieczu, a nawet później, zabijano kobiety podejrzane o czary.

Zapadła długa cisza.

– Wyślemy cię w przeszłość, a ty znajdziesz prawdziwą wiedźmę. Pojmiesz ją i sprowadzisz do nas. Pokażemy ci jak.

– A jeśli mi się nie uda?

Brak odpowiedzi był najlepszą z możliwych.

Wiktor prychnął.

– Moja żona i córka...

– Jeśli ci się uda, dam ci możliwość cofnięcia się do nich w czasie.

Crush spojrzął Morrisowi w oczy.

– Dobra. Gdzie jest ta wasza kołomyja?

Morris zamrugał.

– Damian! Chodź tu z tym translatorem!

*

Przygotowania trwały zaledwie cztery godziny. Historycy Instytutu przebrali Crusha w lniane spodnie, wysokie obuwie na obcasie, ciemny żupan i kontusz. Wszystko to znaleźli i dopasowali w sali muzealnej.

Później zaprowadzono go do owalnego pomieszczenia. Pośrodku znajdowała się betonowa misa pełna małych, srebrnych kuleczek, na których stała dziwna kapsuła o kształcie chromowanego jajka. Otwarte wewnątrz migotało błękitnymi i pomarańczowymi barwami. Był tam też hologramowy monitor z wykresami i licznikiem.

Wiktor zauważył, że siedzenie pasażera wyposażono w stalowe kajdany przytwierdzone do oparcia i podłokietników.

– Co chcesz z nią zrobić? – zapytał cicho.

– Już czas. – Usłyszał w odpowiedzi.

Morris odsunął się, patrząc, jak zamykające się drzwi czynią kapsułę idealnie gładką. Następnie podszedł do jednego z pulpity pod ścianą i zainicjował start.

Nad wehikułem trzasnął piorun. Później następny. W pomieszczeniu poderwał się podmuch ozonowego wiatru. Kuleczki z misy uniosły się jak ławica ryb i wirowały z coraz większą prędkością. Niektóre wpadały na siebie, plując błękitnymi iskrami.

Wiatr przybrał na sile, a kolejne pioruny na mocy.

W końcu rąbnęło po raz ostatni. Kuleczki z grzechotem opadły do misy. Wehikuł zniknął.

Waldemar Morris zwrócił się do ludzi stojących za innymi panelami.

– Historycy na stanowiska. Śledzić go.

Przez dębowe, zdobione drzwi przeszli do archiwum. Wyglądało jak biblioteka uniwersytecka. Między regałami ustawiono stanowiska z hologramowymi ekranami. Wyświetlały wszystkie zapiski, jakie posiadano o roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym pierwszym.

– Szukajcie każdej, najmniejszej zmiany w historii.

Tylko tak byli w stanie go śledzić.

– Czego się spodziewać? – zapytał jeden z archiwistów.

Morris zmrugał oczy.

– Kołomyi.



ROZDZIAŁ II

Grzmot rozdarł noc, płosząc śpiące w koronach drzew ptaki.

Kapsuła pojawiła się znikąd, upadając ciężko na ziemię. Wiktor Crush dyszał, próbując uspokoić swoje wnętrze.

Gdy tylko uwolnił się z pasów, drzwi kapsuły otworzyły się z syknięciem. Wyskakując z wehikułu, Wiktor rozejrzył się wokół. W świetle księżyca dostrzegł, że wylądował na jakimś pastwisku bądź łące.

Spojrzał w bezchmurne niebo i aż jęknął z podziwu. Gwiazdy świeciły jaśniej niż te, które widział w filmach. Nagle gdzieś przed nim zamigotał zielonkawy ognik. A później kolejne dwa i następne. Z każdą chwilą było ich coraz więcej, otaczały go.

Nie wiedząc, z czym ma do czynienia, sięgnął po urządzenie, które dostał od Damiana. Rzeczywiście przypominało smartfona.

Szybko uruchomił aparat i wykonał zdjęcie światełek. Ekranik natychmiast wyświetlił definicję zjawiska.

„Światełko świętojański” głosiła nazwa. „Gatunek wymarły”.

Owady falowały nad łąką i tylko jedna ich grupa, zbита w łańcuszek, pozostawała nieruchoma. Po chwili Wiktor zorientował się, że to światła pobliskiej wsi.

Schował „telefon” i poprawiając ubiór, ruszył w stronę zabudowań.

Wioska składała się z kilkunastu chat. W oknie każdej z nich żarzyło się blade światło paleniska.

Jeden z budynków był rozświetlony mocniej. Z jego wnętrza dochodził gwar rozmów.

– Aha, chyba znalazłem jakąś dyskotekę – mruknął Wiktor.

Zdażył wejść do budynku i zrobić zaledwie krok, gdy sala zamilkła. Liczni chłopcy przyglądali mu się spode łbów.

Crush przełknął ślinę, rozglądając się niepewnie. Było tu kilka drewnianych stołów, przy których biesiadowali jacyś ziomkowie. Kilku z nich było ubranych podobnie do niego.

Wiktor uznał, że za późno już na ucieczkę, więc podszedł do kontuaru, za którym stał gruby karczmarz.

– Czego? – Mężczyzna miał monstrualnego wąsa.

– Poproszę prosecco.

Komuś wypadł z ręki kufel. Podróżnik rzucił okiem za siebie. Wtedy po raz pierwszy zauważył siedzącego w ciemnej wnęce człowieka, skrytego pod czarnym kapturem. Nie widział jego twarzy, ale czuł na sobie jego spojrzenie. Było w nim coś złowieszczonego. Wiktor wrócił wzrokiem do karczmarza.

– To może... – Próbował sobie przypomnieć cokolwiek, co usłyszał od historyków Morrisa. – Yyy, miod! Miodu poproszę!

Karczmarz postawił przed nim gliniane naczynie. Nalał do niego z antałka i podsunął przybyszowi, czekając na zapłatę.

– A tak. – Crush się zreflektował i sięgnął do kieszeni po okrągłe, metalowe przedmioty, które wcisnęli mu w muzeum. Położył je na blacie i... zadziało!

Z glinianym kuflem w ręce rozejrzał się, szukając wolnego miejsca. Niestety jedyne znajdowało się we wnęce kaptownika. Wiktor czuł, że ów wciąż mu się przygląda. Dostał gęsiej skórki.

– Mości wędrowcze! A skąd cię Bóg przysłał aż do mojej wsi?! – zawołał za nim donośny głos.

Przy Wiktorze wyrósł szlachcic o gabarytach beczki. Miał rumieńce na pyzatyach policzkach i podchmielone wejrzenie.

– Przybywam ja ci z... tego... – Crush poczuł, że się poci. Nie miał pojęcia, czy i z jakimi państwami tutejszy naród był w stanie wojny. W końcu postawił wszystko na jedną kartę. – Z Dubaju.

Władyka zmarszczył czoło.

– A daleko to stąd?

– No. Daleko.

– Jak długo do nas jechałeś?

Było tak cicho, że Crush słyszał skrzypienie drewnianych ław. Wszyscy się przysłuchiwali i Wiktor dałby sobie łeb odciąć, że kilku mężczyzn trzyma ręce pod stołami.

Jak oni mierzą czas?

– Ze trzy strzały z łuku – wypalił.

Włodarz uniósł brwi, rozdziawił usta i zarechotał głośno. Sala zawtórowała mu tym samym.

– Siadaj gości...?

– Wiktor Przyszły – improwizował podróżnik.

– Jam Onufry Opaliński, herbu Łodzia. Witaj w mojej wsi. Siadaj, siadaj – machnął ręką na kilku parobków i ława opustoszała. – Co cię do nas sprowadza, mości Wiktorze?

– Jestem atestowanym łowcą czarownic.

– Ates... to z łaciny?

– To znaczy, że jestem uznany przez kościół. – Wiktor szył jak Gucci.

– To znacznys ktoś. Ale pech ci nogę podłożył. Pewno wieści do ciebie dotarły, że u nas wiedźma nieszczęścia sprawuje i prawda to. Ale złapaliśmy ją już. Będzie ze dwa dni. Heksa w zamknięciu, na torturach się przyznała. Jutro spłonie na stosie.

Wiktor jęknął.

– Nie markotniej, Wiktorze Przyszły. Znajdziesz jeszcze fach i nagrodę.

– A za co spłonie ta, którą macie?

Władyka sposepniał.

– Wichurę sprowadziła. Położyła pola. A później deszcze i wszystko spleśniało.

Podróżnik już chciał coś powiedzieć, gdy znowu dostrzegł zakapturzonego. Zamilkł natychmiast i pokiwał głową.

– No, ale dość już o smutnych sprawach. Hetera pojmana. Jutro święto. Bawmy się! – Opaliński machnął do wioskowych muzykantów. – Zagrajcie nam co skocznego!

Rozbrzmiała muzyka. Wszyscy tupali, stukając się kufłami.

– A może ty, mości Wiktorze, zaszczyisz nas jakąś przyśpiewką? Widzi mi się, że jako wędrowiec, dużo ich znasz!

– O, ja nie...

– Mój gość nam zaśpiewa!

Nie wiedząc kiedy i jak, Wiktor znalazł się przed ławą. Cała sala bujała się w rytm melodii, czekając na jakieś słowa.

Wiktor spanikował i...

– Jedzie bana od Kościana, a jo sobie gwizdum! Wyleciała czorno baba z ogoloną pizdum!

– Wyleciała czorno baba z ogoloną pizdum! – ryknęła sala.

– Hej! Ho!

Śpiewali tak głośno, że aż trzęsło budą. Zakapturzony w zdumieniu wychylił się z wnęki. Spod nakrycia głowy błysnęły iskierki oczu. Wstał i zamiatając podłogę długim płaszczem, wyszedł z gospody.

– Piękna i wesoła to pieśń! – pochwalił pan Onufry. – Zechciej być jutro moim gościem na egzekucji heksy!

– Gościem? – Wiktor wywalił gały.

– Pierwszy rząd, najlepsze miejsce! Przyjmujesz?

Opaliński wyciągnął szufłę.

– Przyjmuję!

– He, he! No to... Jedzie bana od Kościana, a jo sobie gwizdum!



ROZDZIAŁ III

Na wzgórzu za wioską wznosił się trawiasty pagórek. Na jego szczycie ustawiono stos z drewna, zwieńczony przywiązaną do pala kobietą.

Wyglądała na starszą od Wiktora. Jej twarz okalały długie, czarne włosy, przeplatane siwymi pasmami. Uwagę mężczyzny zwracał nie tyle garbaty nos, co złoty ząb, który połyskiwał, gdy ta oblizywała wargi. Rozglądała się dookoła, lecz bez strachu.

Wiktor zmarszczył brwi i powiódł wzrokiem po widowni, która zebrała się u podnóża pagórka. Czyżby nikt się nie jorgnął, że kobieta nie okazuje cienia obaw? Spojrzał na stojącego obok władkę.

– A właściwie to jak doszłicie do tego, że to ona czarowała pogodę? – zapytał.

Pan Onufry zzezował na niego i wyciągnął coś z kieszeni. Była to niewielka skórzana sakiewka.

– Kilka dni temu nad ranem znaleźliśmy ją przy jakiejś metalowej, takiej srebrnej kapliczce w polu. Pewnie budowała ją, żeby z diabłem pomówić. – Podał Wiktorowi woreczek. – Znaleźliśmy to przy niej.

Crush rozplątał woreczek i wysypał na otwartą dłoń owalne przedmioty w kolorach srebra, błękitu i rubinu. Natychmiast rozpoznał w nich guziki z wehikułu.

– Może kogoś okradła? Przecież...

– I jeszcze to! – Pan Onufry wyjął prostokątny przedmiot, który Wiktor dobrze znał. Natychmiast opuścił dłoń, by sprawdzić, czy nie zgubił swojego „telefonu”. Na szczęście nie.

– Skąd...?

– Uważaj, mości Wiktorze. To jest szkatułka do przetrzymywania pogody. – Mężczyzna nacisnął guziczek z boku urządzenia i ekranik rozbłysnął, ukazując tapetę ze zdjęciem pioruna, rozcinającego granatowe niebo nad polami. – Ona z tego wypuszcza burzę. Diabelski przyrząd. Spłonie razem z nią.

To mówiąc, podszedł do stosu, przy którym stał kat i mnich.

Wiktor rozejrzał się dookoła. Wiedział ponad wszelką wątpliwość, że kobieta znalazła czyjś wehikuł. Nie jego, rzecz jasna, tylko kogoś, kto znalazł się tu co najmniej cztery dni temu.

Pan Onufry zaczął odczytywać akt oskarżenia, posądzając kobietę o spisek i konszachty z diabłem. Wiktor z szeroko otwartymi oczami przyglądał się kobiecie. W pewnej chwili ona również nań spojrzała i mrugnęła okiem. W jej uśmiešku błysnął złoty ząb.

– Skazuję cię na śmierć poprzez spalenie na stosie! – zakończył odczyt właściciel wsi.

Tłum zaczął klaskać.

– Nie zesraj się – zakrakała kobieta.

Urażony Onufry podszedł i strzelił ją wierzchem dłoni w policzek.

– Nic nie bolało. – Kobieta splunęła mu pod nogi.

– Strzel ją w papę jeszcze raz! – zawołał ktoś z tłumu.

– W pa-pe! W pa-pe! – skandowali inni.

Opaliński jęknął cicho, ale uległ namowom i palnął kobietę ponownie.

– Mam powiedzieć „ała”?

– Co?

– „Ała”! – zawołała niewzruszona wiedźma.

– Milcz!

– Kopnij ją w plecy! – zawołał ktoś z gawiedzi.

– Ta'est! W ple-cy! W ple-cy!

– Przecież ona jest plecami do pala przywiązana! – Onufry próbował przekrzyknąć tłum.

– No to kopnij ją w staw skokowy!

Władyka przechylił głowę z dziwnym wyrazem twarzy.

– W co?

– Nie wiesz, gdzie jest staw skokowy? – zapytała czarownica. – To jak ty skończyłeś szkołę? Stary nosił belfrom kiełbasę i masło?

– DOŚĆ! – Poniżony Onufry łypnął wściekle na kobietę. – Z mojej ręki spłoniesz, wszetecznico diabła.

Podszedł do kata, wyrwał mu z ręki pochodnię i stanął przed stosem.

– Nie! – krzyknął Wiktor, wybiegając z tłumu. Po tej krótkiej kłótni był przekonany, że znalazł prawdziwą wiedźmę. Ona nie mogła spłonąć. Musiał ją uratować! Wracać! Odzyskać swoją żonę i córkę!

W sekundę stanął oko w oko z zaskoczonym włodarzem.

– A waść czego?!

Wiktor myślał gorączkowo, szukając pomysłu na ratunek. W końcu pomysł uderzył go jak grom z jasnego nieba. Sięgnął pod ubranie i wyjął swój „telefon”. Władyka wytrzeszczył oczy i już otwierał usta, by oskarżyć go o spiskowanie z wiedźmą, ale Crush był szybszy.

– To nie jest szkatułka do trzymania pogody! To szkatułka na dusze! – Wybudził urządzenie, włączając aparat. Przedni panel urządzenia błysnął Onufremu prosto w twarz, utrwalając go na fotografii. Tłum jęknął.

Wiktor odwrócił ekran w stronę władyki, ukazując mu jego własną, wygiętą w głupkowatym wyrazie twarz.

– Widzisz?! Wystarczy, że dotknę „usuń” i twoja dusza przepadnie! Chyba że uwolnisz wiedźmę!

Pod pagórkciem zapanowała cisza. Opaliński zamknął usta, popatrzył na swój portret, uśmiechnął się i zamrugał jak głupi do baterijki, a później sztywny jak kłoda upadł na polany smołą stós.

Języki płomieni wystrzeliły w górę. Tłum zaczął krzyczeć z przerażenia i uciekać w każdym możliwym kierunku. Ludzie tratowali się nawzajem.

Wiktor pochylił się, osłaniając twarz ramieniem. Sięgnął po szablę, którą miał przypiętą do pasa rozpalony pan Onufry. Dobywając oręża, obiegił stos i zaczął rozcinać grube liny, którymi przywiązano do pala czarownicę.

Sznur był naprawdę solidny, a ogień utrudniał zadanie. Nagle Crush poczuł silne uderzenie i zwałił się na bok. Przyłgął do napastnika. Był nim nie kto inny jak zakapturzony mężczyzna z gospody. Najpewniej łowca czarownic, który złapał tę nieszcześnicę!

Spłeceni w żelaznym uścisku, poturlali się w dół zbocza.

– Zostaw ją! – zacharczał zakapturzony, ale Wiktor ani myślał go usłuchać. Spróbował zamachnąć się szablą, lecz ten sprawnie obezwładnił go, wykręcając rękę. Po chwili przygwożdżony do ziemi Wiktor poczuł zimne ostrze sztyletu na gardzieli. Zamarł, wiedząc, że to już koniec. Teraz zginie.

Ale zamiast tego zakapturzona głowa wskazała mu stos.

– Patrz, debilu!

Wiktor spojrział na stos. Ku jego zdziwieniu, kobieta otoczona płomieniami nie krzyczała. Wręcz przeciwnie! Chichotała, jakby ją ktoś laskotał i potrząsała przy tym ramionami.

– Co ona robi?

– Patrz! – powtórzył czarny. – Wiedzmy nie płoną. To jedyna szansa, żeby rozpoznać prawdziwą.

Wtem oplatając ją linę przepalił ogień. Sznur opadł, wzbijając obłok iskier. Kobieta zeskoczyła po drugiej stronie ogniska, rozcierając zdrętwiałe nadgarstki. Spojrzała na nich zza ognistej kurtyny i pokazała im język.

– Za nią! – Zakapturzony zerwał się na równe nogi, ciągnąc za sobą Wiktora i obaj ruszyli w pościg.

Wiedzma już gnała przez łąkę w stronę odległego lasu. Mężczyźni deptali jej po piętach, gdy ta odwróciła się i z chytrym uśmiechem zerwała z ziemi niebieski kwiatek. Wcisnęła go do ust, przegryzła, zamamrotała coś pod nosem i klasnęła nad głową w dłonie.

Huknęło. Ciepła bańka powietrza rozeszła się jak fala uderzeniowa, odrzucając ścigających ją mężczyzn. Przelecieli w powietrzu dobrych kilka metrów, zanim rąbnęli plecami o ziemię.

Człowiek w czerni wsparł się na łokciu, wdychając i kręcąc głową. Wiktor dostrzegł to dopiero po chwili.

Wiedzmy już nie było. Łąki też. Był za to gęsty las.

– Jak ona to zrobiła? – zapytał Crush.

– Ty głąbie! – wydarł się zakapturzony, wstając. W rękę wciąż trzymał nóż.

Wiktor zadrzał w obawie przed kolejnym atakiem, ale ten nie nastąpił.

W ciszy usłyszeli odległe wrzaski chłopów. Od strony wsi nadbiegała grupa wieśniaków z widłami i pochodniami w rękach.

Zakapturzony zaklął pod nosem i wyciągnął dłoń do Wiktora.

– Zbierajmy się stąd.

– Ale...

– Uciekasz ze mną, czy jesteś tak głupi jak twoi poprzednicy?

Wiktor Crush zmarszczył brwi i spojrział na ostrze noża. Widział już taki w muzeum tuż przed podróżą. To nie był zwykły nóż. To był bagnet wojskowy z innych, późniejszych czasów.

– Kim jesteś? – zapytał.

Mężczyzna odciągnął kaptur, odsłaniając poznaną bliznami łysą głowę. Jedna ze szram przecinała mu policzek, znikając w krótkim, siwym zarostcie.

– Kiedy Waldemar Morris zapakował cię do kapsuły? – zapytał ostro, rzucając okiem na nadciągających chłopów. Byli już w połowie drogi.

– Pierwszego lipca dwa tysiące trzysta pięćdziesiątego – wyrecytował Crush.

Łysy mruknął.

– Nazywam się Antoni von Nacht. Wysłano mnie trzy dni wcześniej od ciebie. Jestem tu od czterech lat.

Chłopi zbliżali się nieubłaganie, krzycząc jeden przez drugiego. Ktoś rzucił kamieniem. Wiktor chwycił wyciągniętą dłoń Antoniego, wstając z ziemi.

– Wiejmy! W las!



ROZDZIAŁ IV

Jeden z hologramowych monitorów zabłysnął na czerwono. Rozległ się też dźwięk przypominający alarm. Cichy, lecz mimo to prawie ogłuszający we flaucie, jaka panowała w archiwach Instytutu Czasu.

Historycy natychmiast poderwali się zza biurka i podbiegli, by odczytać zaznaczone na czerwono fragmenty zeskanowanego tekstu. Pismo wyglądało na stare.

Zza nich wyłonił się Waldemar Morris. Jego twarz pozostawała nieodgadniona.

– Macie coś? – zapytał.

– Według zapisów jednego ze skrybów znacznie zmieniła się linia zalesienia wokół wsi Albertowsko. Ale to nie wszystko. – Pochylił się, poprawiając okulary na nosie. – Właściciel wsi, Onufry Opaliński umiera siedemnaście lat wcześniej, niż podawał wcześniejszy zapis.

Morris przeniósł wzrok z monitora na spoconego historyka.

– Czy to coś zmienia?

– Sprawdzimy. Trzeba wyznaczyć algorytm śledzenia tego wątku. Za godzinę będzie na pana biurku.

– Za dziesięć minut – poprawił go dyrektor.

– Jest coś jeszcze! – zauważył inny jajogłowy.

Mężczyzna zbladł, a jego oczy nabrały rozmiaru globusów.

– Podczas egzekucji oskarżonej o czary kobiety doszło do zamieszek. Kobieta uciekła, uwolniona przez wędrowca nazwiskiem Przyszły.

Morris zastanowił się przez chwilę.

– Śledzić go. Szukać. Raportować.



ROZDZIAŁ V

Bieg przeszedł w trucht, a po chwili w szybki marsz. Zgubili pościg. Otaczający ich las w niczym nie przypominał tych, które Wiktor znał z lekcji historii i kolorowych fotosów. Drzewa nie rosły w równych rzędach, nie było też utwardzonych dróg.

Szli wydeptaną przez zwierzynę ścieżką. Powietrze pachniało, jakby ktoś wepchnął im w nos choinkę zapachową, a nad głowami śpiewały leśne ptaki. Były też owady. Wielkie ważki i... Wiktor nie miał pojęcia, co to za natrętna chmara latających bzyków próbuje na nim wylądować.

Szybko zrobił im zdjęcie i odczytał wynik wyszukiwania.

„Komar. Gatunek wymarły wskutek działań człowieka, wytępiony podczas jednej z pandemii”.

Nagle coś dużego poruszyło się między sękatymi dębami. Antoni dał znak, żeby się zatrzymać i być cicho.

Kilka metrów przed nimi wyłoniło się z zarośli i przeszło w poprzek ścieżki niemałe stado ogromnych, brązowych krów z dziwnymi grzywami i rogami. Było ich około piętnastu i nie zwracały na nich uwagi. Wiktor uznał, że to dobrze, bo jedno takie bydlę musiało ważyć więcej niż pół tony. Może nawet tonę!

– Żubry – szepnął Antoni, uśmiechając się jak dziecko, które pierwszy raz w życiu widzi żywego dinozaura. – Wyginęły w czasie Wielkiej Wojny. Piękne, dostojne ssaki.

– Aha – podzielił jego entuzjazm Wiktor. – Wyglądają groźnie.

Zwierzęta zniknęły w zaroślach po drugiej stronie duktu.

– Chodźmy – Antoni ruszył pierwszy.

– Skoro już możemy porozmawiać, to chciałbym wiedzieć, czy Morris zlecił ci tę samą misję co mnie.

– Wiedźmę?

– Tak.

– On nas wszystkich wysłał tu po wiedźmę.

– Czyli mnie i ciebie. No i wspominałeś jeszcze coś o tych poprzednich. Ilu nas tu jest?

– Ilu nas tu było – poprawił go von Nacht. – W sumie natknąłem się na jeszcze dwóch, co razem z tobą daje czterech, ale w gabinecie Morrisa widziałem trzy portrety, więc powinno nas być pięciu.

Tego jednego nigdy nie znalazłem.

– Faktycznie, tam były portrety! – przypomniał sobie Wiktor.

– Ile ich widziałeś, jak byłeś u niego?

– Nie zwróciłem uwagi. – Crush poczuł się strasznie głupio. – Myślałem, że to jacyś astronauta.

– Nieważne. – Antoni machnął ręką. – Ten trzeci pewnie też nie żyje. Albo wylądował w czasach, które są dopiero przed nami.

– No tak. Ty jesteś tu od czterech lat.

– Morris wysłał kolejnych podróżników w różne okresy i miejsca. Wszędzie tam, gdzie historia wspomniała o jakichś czarow nicach. Dwójka, którą napotkałem, była tu o wiele dłużej. Jeden z nich, niejaki Robert, miał dość szukania w ciemno i pojechał przez Polskę aż do obozu Chmielnickiego. Wiesz, tam niedawno trwała jeszcze mała zadyma z kozakami. Robercik dowiedział się, że Chmielnicki ma kilka wież, które mu doradzają. Chciał poprosić o jedną.

– I co?

– Miał pecha.

– Bo?

– Bo na nazwisko miał Skrzetuski.

– A co się stało z drugim?

– Ten drugi miał na imię Jakub. I tu wszystko szło elegancko. Imię i nazwisko nie rzucało się w uszy, ale na starość zaczęły go boleć zęby. W końcu tak go napażyły, że się zapomniał i zapytał właściciela gospody, czy ma jakiś Ibuprofen. Chłopi w knajpie myśleli, że staruszek rzuca jakieś zaklęcia i mu nawiksowali. I może by na tym poprzestali, ale jak się już szczerbaty Kubuś wyłożył na klepce, to mu z kieszeni wypadło to. – Antoni wskazał palcem na urządzenie, które Wiktor wciąż trzymał w ręku. – Na tapecie miał ulubionego piosenkarza.

– Ja rozumiem, że Opaliński przestraszył się tapety z burzą ale...

– Marilyna Mansona – przerwał mu Antoni.

– Ale to wszystko znaczy, że... – Crush przełknął głośno ślinę. – Mogę tu spędzić lata, zanim wrócę z czarownicą do Morrisa.

– Jeśli uda ci się ją znaleźć i złapać. Mnie się jeszcze nie udało. Ale byłem blisko. Sam widziałeś.

Wiktor zmarkotniał. Uszło z niego powietrze i przez następnych kilka długich sekund nic nie mówił. Wycinający im drogę w zaroślach Antoni zauważył, że jego nowy kompan jest podłamany.

– Głowa do góry. Lepiej mi powiedz, za co cię wsadzili do tej cholernej lodówki.

– A ciebie?

– Mnie za poczwórne morderstwo. – Antek machnął bagnetem, ścinając grubą gałąź leszczyny.

– To grubo.

– A ciebie?

Wiktora ścięło.

Przecież mu nie powiem, że za alimenty!

– No, mnie też za morderstwo – wypalił, próbując być przekonujący.

– Za jedno?

– Za dwa – podbijał Crush.

– Tylko dwa?

– Tak. Ale można powiedzieć, że trzy, bo teściową zabiłem dwa razy. Nieźle mnie zgrzała, więc ją reanimowałem i zabiłem jeszcze raz. Tak mi się to spodobało.

Von Nacht zatrzymał się i odwrócił. Jego bagnet był ogromny, co nie umknęło uwadze przerażonego Wiktora.

– Niezły z ciebie świr – przyznał z miną łobuza. – Polubimy się. Myślę, że...

– AAA!!! – ryknął Wiktor, cofając się gwałtownie i wskazując palcem na jakieś dziwne, rude stworzenie, które wyskoczyło na nich z krzaków. Miało puszysty ogon w kolorze ognia i wykonywało gwałtowne ruchy.

Antoni też się zerwał.

– Co to jest?! – krzyczał przerażony Crush. – Zastrzel to nożem!

Von Nacht przyjrzał się stworzeniu, które czmychnęło z powrotem w krzaki.

– Ty psycholu. To tylko wiewiórka.

– Czy to powinno tu być?

Mężczyzna pokręcił z dezaprobatą głową.

– Chodź. Bo cię zagryzą.

– Nie wróci?

– Chodź już.

– A dokąd idziemy?

– Jak znajdziemy drogę, to trafimy na jakąś wieś. A z niej już prosto do miasta. Jeśli mnie pamięć nie myli, to gdzieś tu niedaleko musi być Grodzisko.

– Grodzisko... Grodzisk Wielkopolski?

– Za kilka stuleci. Tak.



KSIĘGA III

DEMONY PRZYCHODZĄ NOCĄ



ROZDZIAŁ I

Drukarka zatrzeszczała, wypływając ostatni arkusz jego powieści. Szymek wyrównał kartki o kant biurka i pakując je do foliowej koszulki, wyszedł z pokoju.

W progu zatrzymały go odgłosy rozmowy dobiegające z kuchni.

– Myślę, że za bardzo wziął sobie do serca tę karę – żalił się Michał. – Od trzech tygodni nic, tylko stuka w klawiaturę i przegląda książki. A może on naprawdę ma problemy? Depresja? Może narkotyki?

– Narkotyki? – zapytała babcia. – Pizdnij się w łeb.

Usłyszawszy jej kroki, Szymon schował się za drzwiami. Wyszedł dopiero po kilku sekundach, będąc pewnym, że babcia opuściła dom.

Jednak nie udało się jej uniknąć. Zauważyła go, gdy maszerował w stronę ogrodu.

– O! Dokąd to?

– Do dziadka.

Babcia przyjrzała się plikowi kartek w owijce.

– To ta twoja książka?

– Część. – Pokiwał głową. – Babcia, mam pytanie. E... Jakie były naprawdę wiedźmy?

Urszula uśmiechnęła się i oparła o futrynę.

– Nazwa „wiedźmy” wzięła się od „wiedzy”. To były kobiety, które ją posiadały. Ale wiesz... Nawet dzisiaj mężczyźni nie lubią być głupszy od kobiet. Ale kiedyś mogli je za to prześladować i palić na stosach.

– Czyli nie było nigdy żadnej magii?

W oczach babci zagościło wyjątkowe ciepło.

– Magii... Nie dość, że była, to jest do dziś. Wystarczy się tylko rozejrzeć.

Chłopiec się zamyślił.

– Skoro już idziesz do dziadka, zanieś mu to. – Urszula podała wnukowi tacę z miską orzeszków i szklanką mleka.

Ludwik Macherski wyglądał jak pomnik z gipsem na nodze. Dopiero gdy Szymek położył na stoliku obok ławki tacę, wychylił się zza krzyżówki.

– Mleko? – Zrobił zbolalą minę. – Ta kobieta chce mnie zabić.

- Ma dużo wapnia i jest zdrowe.
- Kiedyś był taki święty, co dla zdrowia mył ręce co dziesięć minut. – Maharadża odłożył zeszynek i sięgnął po garść pistacji.
- I co?
- Skamieniał. – Dziadek zawiesił wzrok na kartkach. – Co to?
- Książka. Chciałbym, żebyś ją sprawdził i może doradził.
- Ludwik podrzucił w dłoni kolejną porcję pistacji, rozmyślając nad czymś intensywnie.
- Dobra. Sprawdzę i poradzę, ale coś za coś. – Spojrzał w stronę garażu. – W zamian coś mi pożyczysz.



ROZDZIAŁ II

Justyna wycisnęła mopa do wiaderka i z zadowoleniem przyjrzała się efektom swoich wysiłków. Posadzka lśniła jak lustro i to dosłownie, bo w chwilę później dostrzegła w niej odbicie otwierających się szybko drzwi wejściowych. Potem po płytkach przebiegł jakiś nieznanzy typek z pieprzykiem pod okiem. Wyskoczył jak Łazarz z jamy, tylko zamiast „elo ludzie”, zaczął się trząść i płacząco błagać:

– Pani kochana, ratuj! Bo mnie zabiją!

Nieborak nie miał zielonego pojęcia, że uciekł wprost na arenę Koloseum.

Justynie chyba wywaliło bezpiecznik od powiek, bo przestała mrugać.

– Pani jest tu kierowniczką? – zapytał Łazarz.

– Nie. Jestem lodówką. Musisz przestać do mnie mówić, bo wezmą cię za wariata.

– C-co?

– A ty coś za jeden? – Kobieta o oczach z kryptonitu, przyjęła bojową postawę. – Wypad mi stąd!

– Kierowniczo, ale oni chcą mnie bić!

– Kto?

Drzwi wejściowe otworzyły się z impetem.

Dracula zahamował piętami, wpadając w długi, piszczący poślizg i zostawił za sobą dwa tak równe ślady, jakby mu ktoś w obcasach zamontował cyrkle.

– Szefowa, dawaj mi go tu! – zażądał.

– Co tu się dzieje?! – Justyna już sięgała po odświeżacz powietrza.

– Ten pener obraził panią – wyjaśnił Maksym, przybierając pozę posągu trochę zaniedbanej Temidy.

– Ano, to jak obraził panią, to zaraz go dostaniesz. – Puściła oczko do Draculi, że niby mają sztamę. – Poczekaj przed sklepem.

– Dobra, ale...

Justyna pokazała odświeżacz. Dracula wyszedł przed pawilon, bo sztamy tracić nie chciał. Dzięki sztampie mógł przecież czasem dostać coś na krechę. Gdy zostali sami, szefowa szarpnęła obcego faceta za bluzę, wyprowadzając go na zaplecze.

– Widzisz te drzwi? – zapytała, prezentując je jak iluzjonista swój najlepszy rekwizyt. Żulik skinął głową. – Super. To zapraszam przez nie wypierdalać.

– Ale...

– Fyrej mi stąd i to szybko, bo on tu zaraz wróci – pokazała kciukiem za siebie. – Dobra rada: wracaj na swój rewir i się go trzymaj!

Wypchnęła go na rampę i zatrzasnęła odrzwia.

Ufff – odetchnęła Justynka, wracając z zaplecza na sklep. Jednak nie długo przyszło jej się cieszyć odzyskanym spokojem, bo już po niecałej minucie pojawił się z powrotem zniecierpliwiony sędzia Dreed.

– Gdzie on jest?!

– No co ty? Nie widziałeś?! – Justyna miała dziś lepsze aktorskie *flow* niż Meryl Streep. – Tyłem mi uciekł! O tam!

Maksym zawarczał, zaklekotał podeszwami na śliskiej posadzce i po chwili wystartował, rzucając się w pościg.

Tymczasem w domu Macherskich Szymek tropił ojca. Znalazł go przy kuchennym oknie.

– Tato?

– Tak? – Michał oparł się zadkiem o parapet.

– Zajęcia już się skończyły, więc pomyślałem, że może ci w czymś pomóc.

Michał dał się zrobić w ciula jak młody. Nawet poczuł, jak jego serce pompuje się hełmem.

Boże, to taki dobry chłopak – pomyślał dokładnie w chwili, gdy za plecami śmignął mu Maharadza na rowerze.

Bo właśnie taki był ich wspólny, kumpelski plan! Pożyczyć dziadkowi BMX-a i odwrócić uwagę ojca.

A Oscara zdobywa... – usłyszał w myślach chłopiec.

– Możesz zanieść prababce Pelci leki i zakupy.

...Forrest Gump!

Ledwie chłopak z symptomami wylewu na twarzy i tobołkiem w rękę opuścił kuchnię, gdy rozdzwoniła się komórka jego ojca.

– Halo? – Michała zaskoczył telefon od starego znajomego. – Jacek?

– Siemasz, Agcza! – Mężczyzna miał jowialny głos. Całkiem inny niż wtedy pod budką telefoniczną. – Słuchaj, zlecenie mam dla ciebie. Wiem, że cię skroili i szukasz czegośkolwiek. I że sprzętu nie masz, ale tu wiele nie trzeba. Musimy przemałować kilka pomieszczeń w szpitalu. Pomyślałem o tobie, wiesz, przez wzgląd na stare czasy!

– To fantastyczna wiadomość! – Macherski się ucieszył. – Dla ciebie wszystko!

– Kostnicę?! – Justyna prawie upuściła telefon.

– Ja tam nie wejść – jęknął Michał.

– Ale jak już się zgodziłeś, to... – Kobieta dostrzegła dwójkę policjantów, wchodzących do jej królestwa. Zmrużyła oczy. – Oddzwonię.

Mundurowi prowadzili kulejącego mężczyznę z pieprzykiem pod jednym okiem i śliwą pod drugim.

– A ty co?! – Szefowa przypuściła atak. – Ty myślisz, że pani policjant nie ma co robić, tylko cię po mieście wozić?!

Policjantka uśmiechnęła się pod nosem.

– Proszę pani, musimy wyjaśnić pewną sprawę – wytłumaczył jej kolega z notesem w ręce. – Czy ten pan był tu w przeciagu ostatniej godziny?

– No. – Justyna zaplotła ręce na piersi i cmoknęła z niesmakiem. – Był.

– Czy prosił panią o pomoc?

– Proszę pana. – Justyna wycelowała tipsem w Łazarza. – Ten facet przed moim sklepem obraził kobietę.

– Bo tam taki pan ją podrywał... – wyjęczał poturbowany.

– I to jest powód do obrażania?!

– Bo ja ją do domu chciałem zabrać.

– Co?! Pani policjant powinna ci jeszcze poprawić! Pani to słyszała? Erosomanie, ty...!

– ALE TO JEST MOJA ŻONA!

Cisza.

Justyna uniosła brwi.

– I co mi pani teraz mądrego powie? – Łazarz też uniół brwi.

Ciężki wdech tylko dodał powagi, z jaką Macherska wypowiedziała kolejne słowa:

– „Nie gwarantuję, że będę tym, który odmieni świat, ale gwarantuję, że oświecę umysł który to zrobi. Więc głowa do góry, rób co masz do zrobienia, a wtedy wewnątrz ciebie odrodzę się”.

Łazarz rozdziawił usta.

– O czym to teraz było? – zapytał.

– No chciałeś coś mądrego, czy nie? – zagrała zdziwienie Justynka.

Wtem do tej błyskotliwej rozmowy włączyła się policjantka, która tymczasem dobytek służbowego notesu.

– Przepraszam panią. To wcześniej to był cytat? – zapytała niepewnie.

– Będzie pani świetnym detektywem. – Uśmiechnięta Justyna znów miała głos miękki jak aksamit.

– Dziękuję – zarumieniła się pani podoficer. – To powiedział... Jezus?

– Nie. – Macherska nie wychodziła z roli. – Tupac.

Czynności wyjaśniające trwały pięć minut. W szóstej policjanci wyszli, a w siódmej rozległo się pukanie do drzwi na zapleczu.

Dracula przeraził się nie na żarty, kiedy bratowa wciągnęła go za frak do środka i przyparła do ściany łokciem.

– Cho no tu szplinie!

– Nie psikaj! – Zasłonił oczy dłonią. – Ja tylko robiłem rekosemp... roksos...

– Powiedz ładnie „rozeznanie” – odpowiedziała mu Justyna.

– Rozeznanie.

– Ładnie – pochwaliła. – Po co?

– Bo ten facet jest z Berlina i może to właśnie on okradł Michała! Pod pośredniakiem ich zobaczyłem i zagałem do jego baby, żeby podpytać!

Justyna spojrzała przez małe okienko na budynek urzędu pracy, z którym sąsiedował jej sklep, i opuściła rękę.

– Tyś jest durch głupi! Miałeś odpracować ten sprzęt, a nie bawić się w Kojaka.

– Odpracować – prychnął. – Niby jak?

Kobieta już chciała odparować jakąś zgrabną ripostą, gdy nagle między zwojami zakwitła jej pewna myśl. I to dość grubego kalibru, bo aż zmrużyła oczy i przygryzła wargę.



ROZDZIAŁ III

Michał patrzył na swoją komórkę jak na kamień z Rosetty. Zastanawiał się, czy aby na pewno dobrze zrozumiał małżonkę. A może podczas śniadania pomyliła słoik dżemu z tym, w którym babcia kiwała jaszczurkę?

Dumał tak, gdy za jego plecami, tuż nad parapetem, prześmignął skokami siwy łeb. Coś zaszurało.

Michał odwrócił się, by omieść wzrokiem pusty już podjazd. Złe przecucia spiętrzyły się, gdy ujrzał uchyloną bramę garażu. Przez chwilę przyglądał się jej jak na teście Rorschacha, aż w końcu skleił wątki.

– Ojciec – szepnął.

Z kuchni wyszedł krokiem pewnym, z domu niestabilnym, a z werandy kalafiorowym, by stając w bramie garażowej, nie iść już wcale.

Przecucia okazały się co najmniej niedoszacowane. Bo i owszem, na końcu garażu siedział na ryczce Ludwik M. alias Maharadża. A obok niego leżał pogięty BMX.

– Co się...?

– Nic.

– To jest nic?! – Wskazał na połamany gips na nodze ojca. – Coś ty zrobił?!

– Ciszey, to ci opowiem. Otóż... siedziałem w ogrodzie, gdy nagle usłyszałem krzyk dzieci po drugiej stronie ulicy. Patrzę, a wokół nich, jak ławica... Wiesz co to ławica, nie?

– Wiem, takie stado ryb – Michał pokiwał głową.

– Dokładnie. Ławice poruszają się tak synchronicznie jak jedno ciało.

– Tak. Widziałem w telewizji.

– Imponujące, jak taka ławica potrafi szybko zmieniać kierunek.

– Fakt.

– No więc patrzę, a wokół tych dzieci lata ławica szerszeni. Wsiadłem więc na rower Szymka i ruszyłem im na ratunek, gdy...

– Ja już wiem – pojął Michał, strzelając palcami. – Ty jechałeś po piwo do sklepu!

– Ciiiicho!

– Jechałeś po piwo czy nie?

Maharadża pokręcił rozczochranym łbem.

– Nie, nie jechałem po piwo.

– Nie?

– Nie.

– To może jechałeś z piwem?

Ludwik zacisnął szczękę, aż coś chrupnęło. Michał uniósł brew.

– Wiedziałem! Czyje auto potrąciłeś tym razem?

– Nie potrąciłem auta.

Michał spojrzął na powyginany rower. Jeśli ojciec nie uderzył w auto, to chyba w nosorożca.

– Więc jak to się stało? – zapytał z niepokojem.

– Otóż... jechałem sobie drogą, aż tu nagle patrzę, idzie dwoje głuchoniemych.

Niepokój okazał się słuszny.

Michałowi zrobiło się miękko w kolanach. Jeszcze raz spojrzął na rower.

– Myślałem, że mnie widzą, ale tak się ze sobą zagadali... – Ludwik pomachał rękoma, jakby odganiał osę. – Że mąż tej kobity mnie nie zauważył i wpadł mi pod koła.

– Boże – jęknął Michał, chowając twarz w dłoniach. – Zabiłeś go?

– Nie! Uciekli, jak tylko się pozbierał.

– Cyganisz!

Ludwik bardzo przekonująco pokręcił głową.

– Chyba rozmawiali o czymś ważnym – zadumał się Maharadża.

#flashback

„A ten znasz?” – migąła kobieta do swojego męża. – „Wchodzi ślepy do kuchni, maca tarkę i mówi: takich głupot dawno nie czytałem”.

Mężczyzna nie chciał pozostać dłużny.

„Znam lepszy. Facet dostał ślepą złotą rybkę...”

„Stój”.

„Daj dokończyć. – Wyprzedził żonę o krok. – No więc dost...”

ŁUP!

Zmieciony z planszy facet poturlał się po jezdni razem z rowerem, laczkiem, Maharadżą i czymś, co się stłukło na asfalcie.

*

– A teraz przestań drzeć kalafę i przynieś gips – powiedział Ludwik.

Michałowi aż cofnęła się zuchwa.

– Co?

– Nie dyskutuj i przynieś gips, zanim babcia nas nakryje. Zakleimy to i po sprawie. – Ludwik pokazał popękana skorupę na nodze.

– Nie. To jest... Mowy nie ma!

Maharadża sposepniał. Patrzył teraz na syna spod ciężkich, krzaczastych brwi.

– Był sobie drwal, co pracował w wielkim lesie – zaczął powoli, nasycając każde słowo groźbą. – Pewnego ranka, jak każdego poprzedniego, spakował śniadanie, zarzucił na barki siekierę i z pierwszym

brzaskiem udał się do puszczy.

Michał przełknął ślinę, ale ani drgnął.

Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna...

– Mijając dobrze mu znaną polanę, gdzie odpoczywał w czasie przerwy od rąbania, podszedł do ogromnego kamienia na jej środku i położył na nim zawinięty w papier chleb z szynką.

Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami...

– Robił tak od lat, gdy pewnego dnia, wracając na posiłek, ujrzał coś dziwnego. Na zielonej trawie, leżał rozdarty papier śniadaniowy, a obok szynka... i dwie, rozkindrzone skibki...

– Dobra! Idę po gips!



ROZDZIAŁ IV

Tym razem siata dla prababki była o wiele lżejsza, więc tułaczka przez miasto, wydawała się przyjemna.

Szymek uśmiechnął się pod nosem i zamiast pójść krótszą drogą, wybrał tę przez centrum.

Pomimo trwającej wciąż pandemii, część obostrzeń wycofano i można było poczuć się w miarę normalnie. Zostały tylko te cholerne godziny dla seniorów w sklepach.

Będąc już niemal u kresu swej wyprawy, nasz dzielny wędrowiec natknął się na duet, który zdążyliśmy już poznać.

Jako pierwszy zauważył go Eboła, który właśnie odbierał od sprzedawcy łoda w wafelku.

– O! Elo byczq!

– E-mm-ua! – przyłączył się J.R. Borsuk.

– Słuchaj, jak tam ta twoja kara? – zagadnął Eboal. – Bo w weekend lecimy rowerami nad jezioro do Kuźnicy. Puszczą cię starzy?

Chłopiec zastanowił się chwilę.

– *Shit*, nie wiem. W sumie to mam już trochę napisane, ale to wciąż bardziej opowiadanie niż książka.

– No to stary, na co czekasz? Oceny w pierdolniku powystawiane, wakacje za dwa tygodnie, to chyba trochę cię odbanują? – wtrącił Borsuk. – No chyba że gniota wystrugałeś. Jakby co, to mogę ci pomóc. W końcu się na tym znam.

– Ty wiesz, jak się pyrki sadzi – mruknął Moniu.



ROZDZIAŁ V

Maharadża dotknął palcem lepkiego gipsu. Jeszcze się nie związał jak trzeba, ale efekt wspólnych wysiłków wyglądał zadowalająco. Przynajmniej w oczach Ludwika, bo oplukujący ręce w zlewie Michał miał w oczach coś innego.

– Pojutrze masz zdjęcie gipsu, mogliśmy tego nie ruszać albo już sami zdjąć – fuknął.

– Żeby Ula faflotała?

– Nawet by nie zauważyła.

– To czarownica. Ona wszystko widzi.

Michał odwiesił ręcznik, natrafiając błędzonym wzrokiem na plik wydrukowanych kartek.

– To książka Szymona? – zapytał, wskazując na blat do majsterkowania.

– Tak. Przyniósł do sprawdzenia.

– Mogę później przeczytać?

Ludwik przestał macać gips i sparaliżował syna grobową miną.

– Nie.

– Dlaczego?

Zamiast odpowiedzi Maharadża spojrział w stronę wąskiego okienka wychodzącego na ogród.

– Mój gołąb. Jeszcze nie wrócił.

Michał poczuł chłodny powiew na plecach. Nie miał ochoty na tę grę.



ROZDZIAŁ VI

– O czymś rozmawiają. – Justyna na bieżąco relacjonowała to, co widzi zza kuchennej firanki. Od dziesięciu minut podlewała kaktusa, który teraz wyglądał, jakby był kwiatem wodno-błotnistym. – Maharadża ma jego książkę.

– Ciekawe o czym jest. – Michał podał jej nową konewkę z wodą.

– O czarownicach, a niby o czym?

– Długo gadają. Pewnie jest bez ładu i składu. Poprawia go.

– Daj następną konewkę. – Justyna wychyliła się bardziej.

Podał.

– Taki mały szczun nie może napisać chyba nic dobrego, nie?

– W szkole mówili, że może. – Justyna przygryzła dolną wargę. – Pewnie ma to po mnie w genach.

Przez chwilę dumali w ciszy.

– Dziadek nie chciał mi pokazać tej książki, a Szymon też jeszcze nie jest gotowy – stwierdził Michał. – A skibnąć jej nie możemy.

– Neeee – przeciągnęła oburzona Justyna.

– To by było bardzo nie w porządku, wobec młodego.

– Bardzo. – Justyna zmarszczyła nos. – Jaki byśmy dali mu przykład?

– Okropny.

– No właśnie.

– Ale tak trzeba.

– No tak. Trzeba.

– I co? Będzie coś z tego bigosu? – zapytał ostrożnie Szymek.

Dziadkowi tyknęła brewka.

– Cóż, jeśli myślisz, że to jest cringe – wskazał podbródkiem na wydruki – to cię zawiodę. Jest fest.

– Serio?!

– Ale... Czegoś mi tu brakuje. – Maharadża rozejrzał się po garażu, błędząc we własnych myślach. – Fajnie, że pogrzebałeś trochę w historii i ją wplotłeś. To jest gitowa. Nie bój się nią kręcić na

lewo i prawo. Możesz ją naginać.

– Ale to będzie kłamanie, jak coś w niej natytram.

– Nie. – Maharadża puścił do niego oko. – Książki rządzą się własnymi prawami. Możesz w nich napisać, cokolwiek zechcesz. I jak zechcesz. Wiesz, co jest w pisaniu najlepsze?

Szymek nie miał pojęcia.

– Że książka to nie film. Nie masz budżetu. Jak chcesz rozkındrzyć nasz ratusz, to śmiało. Nikt nie każe ci za to płacić. I nie ma też rzeczy niemożliwych. Jak chcesz upiększyć w niej na przykład Marylę, tę koleżankę babci, żeby każdy czytelnik... A nie. To do kitu przykład. Ale wiesz o co mi kaman?

– Tak. Czaję.

– No właśnie, już wiem, czego brakuje! – Maharadża klepnęła ręką w kolano. – Humoru! Musisz wyhodować tej książce większe jaja. Ludzie nie lubią smętów. Strzał za strzałem! No i musi być morał. Masz jakiś?

Chłopiec spuścił wzrok.

– Morał? Ja nawet nie mam tytułu wymyślonego.

– Tytuł wymyśla się na końcu. Zresztą on sam cię znajdzie. A co do morału, to wykmiń coś takiego izi. Coś co łatwo przedstawić w finale.

– Ale... wiesz, ja już myślałem, że tyle wystarczy – przyznał Szymek.

– Tylko tyle? – Ludwik uniósł brwi.

– To nie jest mało!

Dziadek westchnął ciężko.

– No w sumie nie. Skoro mówisz, że tak to ma się skończyć, to może i masz rację. Nie pisz na siłę. Szymon poczuł ulgę.

– Tylko szkoda, że czarownicy nie było – mruknął pod nosem zawiedziony Maharadża.

– Jak to nie było? Była! Uciekła przecież!

– No... – dziadek podrapał się po karku. – Spoko.

Szczypiorkowaty Moniu poczuł, jak coś łaskocze go w klatce piersiowej. Coraz mocniej i mocniej. To nie było nic przyjemnego. Zaciśnął usta w wąską linię i pokiwał głową.

– Właśnie tak to chciałem zakończyć – powiedział z przekonaniem.

A Maharadża nie powiedział już nic więcej, wpatrując się w swój gips.

Coś się z nim działo. Z gipsem. Jakby z godziny na godzinę, zmieniał swoją... barwę?

Zamyślony Ludwik sięgnął do miseczki po ostatnią garść pistacji.

Z podwójną prędkością światła, z poczwórną szybkością rakiety, kucająca Justyna, przyrznęła w mechanizm rolety.

Michał też natychmiast kucnął.

– Wracają! – syknęła, rozmasowując szczękę. – Zostawili książkę w garażu.

– Po kolacji. – Michał miał w głosie i oczach całe Navy SEALs. – Zdobędę ją.

Wykradnięcie książki z pałacu wielkiego króla okazało się jednak trudniejsze niż zakładał. Cisza nocna, galopujące myśli o rychłej śmierci i ta dziadowska, skrzypiąca brama skutecznie utrudniały to zadanie.

Gdy Michał wrócił do kuchni z plikiem kartek, było grubo po pierwszej w nocy. Maharadża chrapał tak głośno i dziwnie, jakby zasysając powietrze, zdzierał boazerię ze ścian. Szymek spał już od dawna.

Oni też powinni, ale ciekawość wygrała.

– No otwieraj! – syknęła Justyna.

Czytali w ciszy, raz po raz stukając się skroniami. W końcu zsynchronizowali tempo pochłaniania tekstu.

Zdanie po zdaniu. Akapit po akapicie. Stronę po stronie.

Szło im całkiem szybko, gdy nagle rozdzwoniła się komórka Justyny. Kobieta podskoczyła znad książki, rzucając się w stronę telefonu jak wrestler.

– Halo? – sapnęła w aparat.

Dzwoniła jej pracownica.

– Kierowniczką, bo ja kluczy nie mam do pawilonu.

– O tej godzinie z takimi żalami mi dzwonisz? Na urodziny ci dorobię.

– No, ale jest dziesięć po piątej i... Szefowa, zaspalaś?

Justyna wytrzeszczyła oczy, patrząc na Michała. Ten wyglądał jak Seti I tuż przed bandażowaniem.

– O psio krew!

– Też, kierowniczką – kontynuowała pracownica. – Bo tu ten Dracula idzie i mi macha. Będę schowana za rampą jakby co.



ROZDZIAŁ VII

Bracia Macherscy mierzyli się spode łbów. Na wszelki wypadek, by uniknąć eskalacji emocji i roszczeń własnościowych, stanął między nimi społeczny arbiter pokoju: Justyna z odświeżaczem powietrza w dłoni.

– Słuchaj – zaczął powoli Michał, zezując niepewnie na psikotko. – Jeśli na serio chcesz odpracować mój sprzęt, to mam dla ciebie pracę. I jeszcze z pięć stów zgarniesz do ręki.

– Trzy – skorygowała go Justyna.

– Mogą być cztery – zgodził się Maksym.

– Fucha łatwizna. Odmalujesz miejską kostnicę.

Dracula wzruszył ramionami.

– Jakby nie było, będzie bardzo miło.

Michał aż cofnął głowę.

– Tak po prostu? Bez żadnego „ale”?

Ludwik skalibrował wzrok na gipsie. Pod jakimkolwiek kątem by go nie oglądał, jakiegokolwiek oświetlenia by nie użył... gips był szary.

Stojący przed ojcem Michał schował się za powiekami i rozmasowywał sobie czoło.

– Ten gips jest szary – zauważył bardzo ładnie Maharadża.

– Co ty gadasz? Poważnie? – Michał udał zdziwienie.

– Czemu nie jest biały?

– A widziałeś kiedyś biały gips do szpachlowania ścian?

– Nie widziałem białego gipsu do szpachlowania, ale widziałem białą ścianę, którą wcześniej szpachlowano gipsem do szpachlowania.

Przez chwilę Michał rozrysowywał sobie w głowie schemat tej wypowiedzi. Tam dodał dwa, tam sobie przerzucił trzy w pamięci...

– Dlaczego na ścianach wychodzi biały? – Maharadża przyglądał się swojej skorupie.

– Bo jest pomalowana unigruntem i farbą? – zapytał retorycznie Michaś.

– No to co ty tu jeszcze robisz? – Retoryce nie było dziś końca.

– Chyba żartujesz?

– Chcesz usłyszeć żart?

Złękniony Michał pokręcił łbem.

– Nie. I nie, nie mam w domu ani gruntu, ani farby.

Długo myślał nasz Ludwik, aż w końcu dał się uprowadzić ze ścieżki racjonalności swej własnej fantazji.

– Musisz mi przynieść coś z kuchni – powiedział konspiracyjnie. – Ale tak na jednym łączku.

– Niby co?

Godzinę później Michał stał pod ścianą gabinetu zabiegowego, zakrywając oczy dłonią. I to nie dlatego, że całe pomieszczenie wypełniło się chmurą gipsowego pyłu i mgłą z mąki. On się po prostu palił ze wstydu.

– Nie ma szans, żeby się wydało – zapewnił go jeszcze w garażu zadowolony ojciec, oklepując gips mąką.

A wydało się szybciej niż sądzili.

Chirurg zdjął właśnie trzecią tarczkę w piłce i w tumanach kurzu katował czwartą. Ta też się zajechała.

Ordynator spojrzał na Maharadzę.

– Kim pan jest z zawodu? – zapytał.

Okurzony Ludwik wyglądał jak posąg Lincolna w Kapitolu.

– Gladiatorem – odparł.

– Widać. Bo murarz z pana marny.

– Ale i tak lepszy niż z pańskiego syna kierowca.

Doktor zmarszczył czoło.

– Proszę?

– Przepraszam za ojca – włączył się do rozmowy Michał. – Czasem plecie od rzeczy, kiedy...

– W nocy wykrada panu auto i wozi się z szczunami po fyrtku.

– Nonsens!

– Pan go nie słucha! – błagał zakłopotany Michał. – Coś mu się pofajtało w głowie.

Ludwik nie powiedział już nic więcej.

Ordynator spochmurniał i wrócił do rozcinania gipsu.

Był już w połowie.



ROZDZIAŁ VIII

Tego dnia e-lekcje zakończyły się dokładnie w porze obiadu. Szymek zamknął laptopa i jeszcze nie zdążył rozmasować zmęczonych oczu, gdy usłyszał wołanie matki.

Rodzice czekali na niego w kuchni, ale zamiast posiłku, na stole leżała jego książka. Dostrzegłszy ją, chłopiec zastygł, jakby stanął na minie przeciwpiechotnej.

– Synku – zaczęła Justyna. – Za pozwoleniem dziadka przeczytaliśmy z ojcem twoje opowiadanie...

– To jest książka – poprawił ją chłopiec.

– Książkę. W porządku. Więc... Jesteśmy z tatą pod wrażeniem.

– Serio? Podobała wam się?

– Tak. Przeczytaliśmy ją za pozwoleniem dziadka, jak już wspomniała mama i... – Michał próbował wykonać jakiś sensowny gest ręką, ale wyszło, jakby stroił niewidzialną okarynę. – Emm... Postanowiliśmy, że cofamy ci karę. Odwaliłeś kawał dobrej roboty. Jesteś wolny.

Szymon poczuł, jakby ktoś wrzucił mu do serca musującą multiwitaminę. Chciał się jednocześnie uśmiechnąć, podskoczyć, krzyknąć z radości, ale z drugiej strony dręczyło go to jedno pytanie.

– A nie uważacie, że jednak za mało tam było tej heksy? Dziadek mówił, że mogło być więcej.

Justyna spojrzała na męża.

– Nie, chyba jest dobrze. – Michał zbyt pewny nie był. – Nikt nie mówił, że czarownica ma być główną bohaterką. Zresztą każdy czytelnik może sobie wyobrazić tę twoją wiedźmę, jak chce. To go tak jakby chyba angażuje w historię.

– Tak? – Szymek uśmiechnął się nieśmiało. – A wy jak ją sobie wyobraziliście? To znaczy, jaka ona była według was?

– Bo ja wiem? – Justyna czuła się jak na lekcji polskiego. Niby czytała lekturę, ale mówienie o niej to już była fizyka kwantowa, a nie polski. – No, jak to wiedźmę. One były... dziwne takie.

– Były dziwadłami, wybrykami natury – ośmielił się Michał, który świetnie odnalazłby się jako krawiec. – Lepiej było trzymać się od nich z daleka – doprecyzował.

Uśmiech zniknął z twarzy chłopca, a jego czoło opadło o dobre trzy centymetry. Szymek nie wierzył własnym uszom. W jego głowie ktoś włączył pralkę.

Wy bumerscy, zakłamani hipokryci... – rozpoczął oficjalnym tonem swój wewnętrzny monolog. – To ja dostaję bana za jedno tylko brzydkie słowo w pogadance o homofobii, stając po stronie prześladowanych... Książkę piszę w pokucie jak mnich jakiś, a wy...

– Wszystko okej? – zapytała matka, widząc, że chłopiec pokraśniał.

Szymek zmierzył ich jak sam Maharadża. Od góry do dołu, z miną, jakby zaskoczył go fakt, że potrafią chodzić w pozycji wyprostowa nej. Jednak słowa „prześladowcy” nawet w myślach ostatecznie nie użył.

– Tak – pokiwał powoli głową. – Rychtyg, elegancko.

To mówiąc, wyszedł sztywno z kuchni.



ROZDZIAŁ IX

Małe, upačkane tynkiem radyjko, zagrało pierwsze takty piosenki *Out of Time* zespołu Rolling Stones.

Dracula, ubrany w granatowy kitel, w papierowej czapce na głowie, wymaszerował sprężystym krokiem z kostnicy. Szurając trzewikami po kamiennych schodkach, wydostał się na tyły starego szpitala, gdzie oparł się plecami o chłodną, zacienioną fasadę i sięgnął do kieszeni po papierosy.

Ledwie się zaciągnął, gdy zauważył przechodzącą obok młodą lekarzkę. Po chwili okazało się, że to dziewczyna, która kiedyś chodziła z nim do klasy! Anetka!

– Cześć, Anetka! – uchylił nakrycie głowy. – A ty w szpitalu robisz?!

Oczy doktor Anetki zatrzymały się na szpitalnych pieczęciach z podpisami, które ozdabiały bok jego czapeczki.

– Nie. Przy spływach kajakowych.

Sarkazm prima sort. Widać, że kobieta wykształcona i z miasta.

– Ćmiczka? – zaproponował ekskluzywny pener.

– Palenie szkodzi zdrowiu. – Lekarka oddaliła się, stukając drewniakami.

– Wiem – mruknął Dracula, przyglądając się papierosowi.



ROZDZIAŁ X

Michał trzymał wargę przy kuchennym oknie, obserwując krzątającego się po garażu ojca. Ostatnio często w nim przebywał.

– Ciągnie tam jak wół do ślumpy – ostrzegła ich Urszula. – Miejcie go na oku.

Miał więc.

Wargę przerwał mu telefon. Wyświetlacz pokazywał stacjonarny numer podpisany „kostnica”.

– Halo?

– Kłaniam się, z tej strony Maksym Ma...

– Czego?

– Słuchaj brat, jest problem.

Michał odwrócił się od okna, profilaktycznie pocąc się jak mysz. Dracula kontynuował.

– Bo widzisz, z robotą wszystko elegancko. Odrapałem ściany szpachelką, zakłajstrowałem wyprawki gipsem, gruntem śmigłem i przed chwilą pomalowałem olejnicą. Ściany, wnęki okienne, a w gratisie nawet ten betonowy stół, tylko...

– Tylko co?

– Poszedłem sobie na ćmiczka z kulturką, nie? Na zewnątrz. I ja tu wracam, patrzę... a tymczasem lapiduchy z zakładu pogrzebowego przywiozły jakiegoś staruszka.

Przed oczami Michała zatańczyły jaskrawe, kolorowe plamy.

– I położyły go na tym stole. Jeszcze mokrym... – dokończył Maks. – Halo? Michał...? Halo?

Szymonowi udało się zasnąć grubo po północy, choć o spokojnym odpoczynku nie było mowy. Wiercił się, przebudzał, aż w końcu nadszedł sen, w którym został na dłużej.

Śniło mu się, że stał pod szkołą ze swoimi kumplami, Ebołą i Borsukiem. Wszystko było takie jak wtedy. Takie jak tamtego dnia.

Nawet rozmawiali o tym samym. Borsuk marudził, że jest głodny, bo od południa nic nie jadł. Eboła powiedział, że jest wpół do pierwszej.

Kłótnię przerwał im głos Eryka. Ubrany w ramoneskę chłopak zaskoczył ich, stając przed nimi jak rewolwerowiec.

– No proszę, kogo my tu mamy. Dzieci z Bullerbyn.

Trójka chłopców wyczuła nadchodzący łomot. Wiedzieli, że jak już Eryk do kogoś podszedł, to raczej nie po to, żeby zapytać o drogę do biblioteki.

– Wyskakiwać z kieszonkowego.

– Nie mamy – zająknął się Borsuk.

– To się zaraz okaże. – Eryk zrobił krok w ich stronę.

Stojący na przodzie Szymon chwycił się brzytwy i widząc wchodzącego do szkoły Alana, pokazał go palcem.

– O, a tam ciota idzie! – wypalił.

Eryk spojrział w stronę chłopaczka. Miał tęczową naszywkę na rękawie kurtki.

– Rzeczywiście – odwrócił się na pięcie i pobiegł za Alanem. – Tej! Ciepłutki! Cho no tu!

– Uff... – Borsuk wypuścił powietrze z płuc. – Uratowałeś nas!

Ebola poklepał go po barku.

– Dzięki stary! Prawdziwy z ciebie bohater!

Nagle Szymon poczuł, że coś jest nie tak. Niby wszystko było jak wtedy, a jednak zaszła jakaś zmiana. Sen zafalował, ale się nie urwał.

– Psst! Bohater! – zawołał go jakiś damski głos.

Moniu spojrział w kierunku drzew rosnących wokół klasztoru. Z dziupli w jednym z nich wyłoniła się znajoma twarz. Kobieta miała ciemny kaptur i uśmiechała się, błyskając złotym zębem.

Wiedźma.

Chciał pokazać ją kolegom, ale Borsuk i Ebola zamienili się w kamienne posągi.

Czas się zatrzymał. Chłopiec podszedł do drzewa. Czarownica przywoływała go długim, sękatym palcem, zachęcając, by wszedł tam za nią.

Nogi Szymka wydłużyły się jak szczudła, unosząc go na wysokość czarnej dziury. Ostrożnie zajrzał w nieprzenikloną nicość, gdy niespodziewanie wyskoczyła z niej ręka i szarpnęła go za kurtkę.

– A! – Szymon usiadł szybko, szamocząc się z pościelą.

Dysząc ciężko, rozejrzał się po pokoju. By być pewnym, że sen się skończył, uszczypnął się w policzek.

Spojrzął na zegarek. Czwarta rano. Opuścił głowę i rozmasowując sobie twarz, próbował wyrzucić z niej koszmar. Nic z tego.

Spojrzął w stronę biurka.

Pierwsza e-lekcja zaczyna się za cztery godziny.

Wstał i powoli podszedł do laptopa. Otworzył go i delikatnie przesunął palcami po klawiaturze.

– Okej – mruknął. – Sama chciałaś...

Usiadł.

Całym sobą czuł, że musi to zrobić. Tym razem dla siebie.

– Idę po ciebie ty cio... – Wstrzymał się i z zakłopotaniem rzucił okiem w stronę drzwi. – Ty szczoto.



KSIĘGA IV

SPRYT BABA



ROZDZIAŁ I

Nierówna tafla falującej zieleni ciągnęła się aż po horyzont. Leśnym duktem pod osłoną dębów przemykały dwie postaci. Zbliżyły się. Zanurkujmy lotem jaskółki między drzewa.

Wiktor Crush wzdrygał się za każdym razem, gdy zauważył jakieś zwierzę. Większość z nich widział pierwszy raz w życiu.

Wreszcie dotarli na skraj lasu.

– W końcu. – Von Nacht rozejrzał się po okolicy. Wiktor przystanął obok niego i osłaniając ręką oczy, powiódł wzrokiem po pagórkowatym terenie.

– Jakaś wieża. – Wskazał palcem krzywą, kamienną budowlę.

– Ratunku! – zawołało echo kobiecego głosu.

Crush nie czekał na kolejne wezwanie. Spiął się do biegu, ale powstrzymała go ręka von Nachta.

– Poczekaj. Tam ktoś jest.

Wiktor skalibrował wzrok. Rzeczywiście, pod wieżą stała jakaś postać wsparta na kosturze.

– Czarownica?

– Mówię o tamtej dwójce. – Antoni pokazał mu palcem.

Od drugiej strony ubitą drogą nadjeżdżała dwójka jeźdźców.

– Rycerze? – zapytał Wiktor.

– Nie wiem. Może.

– Co teraz?

– Chodź. – Antoni poprowadził go zacienionym skrajem lasu. – Przyjrzyjmy się temu, tylko ostrożnie.

– Ratunku! – zawołało echo.

*

Wiosenne słońce przyjemnie grzało ich skórzane kurtki. Cwałowali na swych koniach, klucząc dzikimi borami. Powietrze pachniało słodko, a uszu dobiegało przyjemne brzęczenie owadów.

To od kwiatów – pomyślał do niedawna jeszcze młody Ryszard, kiwając głową.

– Ty, Rychu, patrz! Zdechła sarna. – Jego przyjaciel Fabio wskazał na truchło w krzakach.

A nie, to od padliny.

– E, już się do niczego nie nadaje – skwaślił się Fabio. – Nawet na portfel.

– Fabito, chciałbym ci podziękować. – Ryszard zmienił temat. Już od dłuższego czasu zbierał się na chwilę szczerości.

– Za co?

– Jak to za co? – Machnął przed sobą ręką. – Za mój wieczór kawalerski!

– Przecież to ty mnie zaprosiłeś.

Ryszard opuścił rękę.

– Aha – mruknął i ruszył dalej.

Fabio szybko go dogonił.

– A poza tym – dodał głośniejszym głosem niż musiał. – Obiecałeś, że będziemy jeździć po Polsce, pładrować wioski i brać kobiety jak popadnie. No więc... gdzie te kobiety?

Ryszard wciągnął nosem powietrze, udając, że delektuje się naturą.

– Tylko ty jeden przyjąłeś moje zaproszenie, za co jestem ci...

– Ryyychu, kobiety. Gdzie są kobiety? Wiesz, takie podobne do ciebie, dwie ręce, dwie nogi, tylko bez wąsa.

Przystanęli na szczycie wzgórza. Fabio przyglądał mu się w ciszy.

– Kobiety – powtórzył twardo.

– RATUNKUUU! – usłyszeli kobiecy krzyk.

Spojrzeni w dół pagórka. Niedaleko, tuż przy drodze, stała samotna wieża. Obok niej, ostatkiem sił wznosiła się stara rozpadająca się szopka i...

– O, masz kobietę – powiedział zaskoczony tym widokiem Ryszard. – To miała być niespodzianka dla ciebie, ale...

– Nie planowałeś tego.

– RATUNKUUU!

Ryszard pokręcił głową.

– Nie.

– Debil.

– RATUNKUUU KURWA MAĆ!!!

– Ruszajmy! – Ryszard dobył miecza i puścił się galopem w stronę wieży, krzycząc donośnie: – Na cześć Bogu i ku chwale króla Wazy!

Pod wieżą zastali wspartą na kiju staruchę o poprzepłatanych siwizną włosach. Była odziana w poszarpane i brudne lachy. Miała też garbaty nos i gdy tylko zjawili się dwaj rycerze, od razu zwęszyła nim kłopoty.

– Szlag – mruknęła.

– To ty wzywałaś pomocy? – Ryszard zatrzymał się przed nią.

– Aaa... – zmieszła się starucha. – No, ja.

– Kim jesteś? – Tym razem to Fabio zadał jej pytanie. Zatrzymał się obok przyjaciela, który miał dokładnie taką samą minę jak przy zdechłej sarnie.

– Ja jestem. – Wywinęła na chwilę wzrok ku górze. – Pistacja. A wołałam o pomoc, bo się do domu nie mogę dostać i...

– TO JA WOŁAŁAM O POMOC! – Rozległ się krzyk nad ich głowami.

– Och, szlag. – Pistacja opuściła wzrok.

– ZACNI PANOWIE, TOŻ TO CZAROWNICA, KTÓRA CHCE MNIE UBIĆ I PRZEROBIC NA ELIKSIR MŁODOŚCI, KTÓRY PRZYRZĄDZA SIĘ Z DZIEWIC – piał głos z góry.

Ryszard spojrział na małe okienko u szczytu wieży. Nikogo tam nie dojrzał.

– To prawda? Jesteś wiedźmą? – Fabio wyciągnął miecz w stronę starowiny. – Mam cię na muszce. Moją prawdę.

– A więc, drodzy panowie – zaczęła Pistacja, podpierając się na kiju. – Tam w wieży zatrzasnęła się moja córka Dominika, bo się boi, że dostanie łomot od matki. Znaczą mnie.

– Łomot? – zdziwił się Ryszard. – Dlaczego?

– No bo... z wywiadówki wracam. I jej się należy. Boi się i wymyśliła historię, że jestem czarownicą. Więc pięknie dziękujemy za fatygę szanownym panom. – Ukłoniła się po czym spojrzała w górę wieży. – A ty Dominika otwieraj chatę! Już!

– ONA MA NA KRYCE, KTÓRĄ SIĘ PODPIERA, MAGICZNY KAMIEŃ. TO JEJ RÓŻDŻKA!

– Ooo, kurwa – jęknęła Pistacja, patrząc na jarzący się delikatną poświatą kryształ. – Zapomniałam.

– Rzuć to! – rozkazał Fabio, poprawiając uścisk na rękojeści miecza.

Pistacja przecząco pokręciła głową.

– Nie mogę. Jak to rzucę, to się wystrzelę na trawnik. Dzięki niej jeszcze stoję.

– To oddawaj kamień! Tylko powoli. – Fabio wyciągnął ku niej ostrożnie rękę.

Starucha westchnęła ciężko i zaczęła mocować się z magicznym kamieniem.

– Co tak długo? – pieklił się mężczyzna.

Kobieta spojrzała na niego z ukosa.

– Gwint się zapiekł – rzuciła z sarkazmem. Po chwili wyjęła kamień i podała go rycerzowi. – Masz. Tylko ostrożnie. Łap se nie poparz.

Mężczyzna przyjrzał się artefaktowi.

– Dobra Fabio, pilnuj jej! – rozkazał Ryszard. – Zdaje się, że właśnie uratowaliśmy dziewczę przed niechybną śmiercią. – I zaraz dodał szeptem. – A wiesz, co to znaczą, nie?

Fabio uśmiechnął się znacząco i pokiwał głową, przebiegle mrucząc oczy.

– Panno Dominiko! – krzyknął Ryszard. – Możesz już wyjść. Nic ci nie grozi. Sytuacja jest opanowana. Wiedźma została rozbrojona i już cię nie skrzywdzi.

Chwilę trwało, zanim niewiasta podeszła do okna. Najpierw ukradkiem rzuciła okiem, czy aby na pewno wiedźma została pozbawiona swego magicznego atrybutu. Ryszard dostrzegł jej błękitne spojrzenie. Sekundę później wyjrzała zza parapetu i...

Magiczny kamień wypadł z ręki Fabia.

– Już wiem, dlaczego jest dziewczicą – szepnął, przyglądając się kreaturze.

Błady jak ściana Rychu spojrział na czarownicę. Ta wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przeproszająco.

– No taka mi wyszła, co zrobić?

– I co teraz? – zapytał kompana przyszyły pan młody.

Fabio uznał, że jeśli ta chwila jest gwoździem dzisiejszego programu, to wbije go bardzo mocno i głęboko.

– Drogi Ryszardzie – zaczął. – W królestwie słyniesz jako „Janko Bzykant” i... Sam tak mówieś, nie?

– No, tak, ale...

– Żadne „ale”. – Uśmiechnął się do niego. – To twój wieczór kawalerski, więc korzystaj chłopie. Dziewica jest twoja.

– Ale to ty chciałeś...

Nawet przelatujące owady zatrzymały się, by zobaczyć, co robi Rychu.

Kreatura w oknie spojrzała prosto w oczy swego wybawcy. Ten z kolei zmrzył swoje, próbując przewalczyć pewne „niedociągnięcia kosmetyczne”.

– Co? – zapytał Fabio. – Chcesz się wycofać i przyznać, że nie jesteś taki dobry w te klocki, jak powiadałeś?

– N-nie. – Rysio przelknął ślinę. Zastanawiał się, jak to załatwić.

– Będziemy się tościć? – zapytała dziewczina.

Tyle wystarczyło. Ryszard odwrócił się na pięcie.

– Oddaj kamień wiedźmie! – rozkazał.

– Już mi oddał. – Pistacja pokiwała kijem. – To co? Panowie będą się już zbierać, czy wołać córkę na dół? Może mnie posłucha w końcu.

– Nie – zdecydował Ryszard. – Będziemy się zwijać, bo się ciemno robi i...

– Zaraz, zaraz – przerwał mu Fabio. – Rozumiem, że odpuszczasz, bo jesteś pipa, ale jeśli wiedźmę przy życiu zostawisz, to już w ogóle...

– Wypraszam sobie – zaprotestowała starucha. – Nie jestem wiedźmą, tylko wróżką.

– O, widzisz? – Ryszard już zawracał konia. – Wiedźmy są zabronione w naszym państwie, ale wróżki nie. Jedziemy.

– Czekaj! – nie odpuszczał Fabio. – Dlaczego wiedźmy są zabronione, a wróżki nie?

– Bo wiedźmy uprawiają czary, rzucają uroki i mordują dziewice na kompot młodości, a wróżki spełniają życzenia.

Ostatni wyraz okazał się słowem-kluczem. Ryszard skleił wątki w ułamku sekundy. Fabio był jeszcze szybszy. Teraz obaj wpatrywali się w staruchę wspartą na kiju.

– Psiooo krew – jęknęła, widząc te spojrzenia. W tej samej chwili Antoni i Wiktor, którym udało się bezszelestnie podkraść od drugiej strony wieży, nadstawili uszu, próbując zrozumieć, z kim mają do czynienia.

– Czy oni powiedzieli „wróżka”? – zapytał szeptem Antoni.

– Musimy mieć pewność.

– Jeśli naprawdę jesteś wróżką, spełnisz kilka naszych życzeń – zaczął Fabio, znowu celując w Pistację mieczem.

– Trzy – powiedziała.

– Na łebka – doprecyzował Ryszard.

– Ty chyba chcesz, żebym emerytury nie dożyła. Trzy to i tak dużo w moim wieku – targowała się starucha.

– Ale to nie wyjdzie po równo.

Wróżka wzruszyła ramionami i bezceremonialnie zatkała palcem jedną z dziurek nosa, wysmarkując na trawnik gila.

– Niech będą trzy. Ja mam wieczór kawalerski to mi się należą dwa – powiedział Ryszard. – Ty dostaniesz jedno i będzie po równo. Widzisz?

Fabio wybałuszył oczy, lecz zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, wróżka zapytała:

– To czego chcesz?

– Chcę być nieśmiertelny.

Pistacja uderzyła kijem o ziemię i skinęła głową.

– Jesteś.

– Ale... Co jesteś? – zdziwił się Ryszard. – Tak po prostu? Bez zaklęcia?

– Mówiłem ci, że to wiedźma! – powiedział Fabio. – Tylko one nie wypowiadają formuły na głos, kiedy czarują.

– A! – kobieta klepnęła się w czoło. – Formuła. Już... Yyy...

Zastanowiła się chwilę i:

– Abra kadabra!

– No chyba sobie jaja robisz – skomentował to Fabio. – Abra kurwa kadabra? Bajkę nam czytasz?

– Sim salabim? – poprawiła się Pistacja.

– Dość tego! Zabijmy ją i wracajmy do zamku.

– Chwila! – zaprotestowała Pistacja. – Już wiem! – Wycelowała kijem w Ryszarda i krzyknęła – Hop-siup! Cztery baby, osiem dup!

Ryszard przyjrzał się swoim dłoniom, później pomacał się po korpucie i ramionach.

– Już? Jestem nieśmiertelny?

– Chcesz sprawdzić? – Starucha zwróciła się do drugiego z mężczyzn. – Ty, weź miecz i sieknij mu z całej siły.

– Okej. – Fabio zeskoczył z konia.

– Nie, nie, nie! – zaprotestował Rychu. – Najpierw trzeba to przetestować jakoś.

– Jak? Poczekamy, aż się zestarzejesz, izobaczymy czy umrzesz? – Wróżka przewróciła oczami.

– Nie. Ale teraz chcę, żeby mój koń był nieśmiertelny. To jest moje drugie życzenie, wróżko.

Pistacja zamachnęła się kijem, recytując zaklęcie.

– Uhu-ahu! Daj na piachu!

– Już? – Ryszard obczaił konia.

– Weź miecz i se sprawdź – podpowiedziała kobieta.

I tak zrobił. Zamachnął się i rąbnął z całej siły wierzchowca w łeb. Zwierzę cofnęło się o krok, rżąc głośno, ale na jego skórze nie pojawiła się choćby najmniejsza ranka.

– Łooo... – Fabio wytrzeszczył oczy. – To teraz ja.

– Chcę mieć genitalia jak mój koń! – wyprzedził go Ryszard.

Zanim Fabio zdołał zaprotestować i rzucić się na wróżkę, ta zamachnęła się kijem i...

– Uhu ona! Szoruj członaaa! – Uderzyła białym w ziemię.

– Ty frędzlu niemyty. – Fabio wycelował mieczem w Rycha. – To było moje życzenie!

– A to nie było drugie? – Ryszard udawał zmieszanego. – Myślałem, że to z koniem było na próbę i się nie liczy.

– Zabiję cię.

– Nie sądzę – uśmiechnął się Rysiu.

– To ja już pójdę. – Pistacja, która wyczuła, że zaraz zostanie zmuszona do dalszego czarowania, ukloniła się niezdarne. – Narka szparka, znikam jak... coś tam co znika. – uniosła kij w górę i...

– Teraz! – Antoni rzucił się pędem w stronę kobiety. Kij pikował ku ziemi. Von Nacht położył się w biegu i wślizgiem wykopnął kostur z rąk kobiety. Badył pękł na dwie części i potoczył się w dół pagórka.

Wróżka jęknęła, lecz nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Antoni już stał, przytykając jej bagnet do krtani.

– Ani drgnij wiedźmo!

Pistacja uniosła brwi.

– Wszelki duch pana Boga chwali. – Zapachniało teatrem. – Już myślałam, że nikt mnie nie uratuje. Zaczny panie...

Zrobiła krok w tył, wpadając plecami na Wiktora.

– Panowie – poprawiła się, całkowicie zaskoczona. – Zadni wybawcy... Ta dwójka, pomyliła mnie z czarownicą i...

– Japa – rozkazał Antoni.

– Co tu się dzieje?! – ocknął się z szoku Fabio. – Kim wy, do cholery, jesteście?

– To nie jest żadna wróżka, tylko wiedźma! – wyjaśnił krótko von Nacht.

– A ty to wiesz, bo...? – zapytał Ryszard.

– Opuść spodnie.

– Też, właśnie. – Fabio opuścił miecz. – Pokaż no tego kulfona.

– A co, chcecie rycinę z węzmem? – prychnął Rysio.

– Pokazuj albo rzucę cię knypem w czoło, zanim uniesiesz ten miecz – zagroził Antoni.

– No, jeśli chcecie się nabawić kompleksów, to proszę bardzo. – Mężczyzna szarpnął za pasek spodni, opuścił je do kostek i zapozował jak grecki posąg. – Łala!

Stał z dumną miną, jakby zawładnął całym światem. Ale tylko przez chwilę, bo...

– Haaaaa ha ha haaaaa! – Fabio zgiał się wpół.

Ryszard spojrział na niego z oburzoną miną, a później w dół i...

– ODCZARUJ TO!

– Ty debilu! – Fabio, aż się osmarkał. – Jechałeś na kłaczy!

– Mówiłem. To wiedźma! – Von Nacht przycisnął ostrze do szyi kobiety. – Pójdiesz z nami.

– Nie jestem żadną wiedźmą – powtórzyła Pistacja.

– Nie? A to, to niby co? – Antoni wskazał podbródkiem na olbrzymią waginę między nogami Ryszarda.

– Co „co”? Mało to się bab za facetów przebiera? – zachnęła się.

Antoni w zamyśleniu zmarszczył brwi i zacisnął wargi w cienką wstążkę.

– Widzi pan wybawca? Nic mu nie zrobiłam. Taki przyjechał.

– URATUJE MNIE KTOŚ?! – krzyknęła dziewczica z wieży.

– Nie! – odkrzyknął Fabio. – Siedź tam!

– Co to za jedna? – zainteresował się Antoni.

– Jej córka. Zatrzasnęła się, żeby jej matka nie sprząła za złe oceny w szkole.

– Otwórzcie jej! – rozkazał Antoni.

Fabio zamiast ruszyć się z miejsca, zawołał.

– Dominika! Pokaż się w oknie!

Dominika się pokazała.

– Nie otwierajcie jej – wyszeptał Antoni.

– To jest wiedźma! – krzyknęła dziewczyna.

– A ty jesteś głupia! – odparowała Pistacja. – W zeszłym roku oskarżyła swoją wuefistkę o bycie wiedźmą. Kobiętę wrzucili do stawu i patrzyli, czy utonie. Czarownice nie toną. Baba miała pecha, bo nosiła taką pufiastą suknię, co nie nasiąkała wodą.

– I co? – zainteresował się Wiktor.

– Wepchnęli ją pod wodę wiosłami.

– Przeżyła?

– Gdzie tam. Ale pośmiertnie oczyszczono ją z zarzutów.

– A co z tymi, co ją utopili? Skazali ich?

Pistacja zmarszczyła nos.

– Nie. Wpisali im to jako ćwiczenia i rozeszło się po kościach.

Wiktor obszedł kobietę i stanął przy posągowej postaci von Nachta.

– Nie możemy jej zabić.

– Nie chcę jej zabijać.

– Miło. – Pistacja zrobiła krok w tył.

– To co zrobimy? Pewności nie mamy. Sam słyszałeś.

– To panowie się tu naradzają, a ja w tym czasie idę do wsi po ślusarza. – Pistacja z uniesionymi rękoma zrobiła krok w bok i omijając zszokowanego człowieka z waginą, wkroczyła na ścieżkę.

– Stój! – krzyknął Antoni.

– Zaraz wrócę. Obiecuję!

– Idziemy z tobą!

– Szlag.

– Co powiedziałaś?!

Pistacja spojrzała pod nogi na swój połamany kostur.

– Że śmiało, śmiało. Zapraszam – zawołała.

– No to idziemy – Antoni ruszył pierwszy.

– A oni? – Wiktor spojrzał na pozostałą dwójkę.

– A ja mam to w dupie – załkał Ryszard. – Ja jadę do domu. Do żony... Przyszłej...

I podciągając spodnie, podszedł do swojego konia. Dwie sekundy później już się za nim kurzyło.

– A ty? – Crush zapytał drugiego.

– A ja... – Fabio powiódł wzrokiem za przyjacielem, później przeniósł go na wieżę.

Dominika puściła mu oczko.

– Klucz jest pod wycieraczką – szepnęła zalotnie.

– Idę z wami.



ROZDZIAŁ II

Znowu wędrowali przez las, tym razem traktem.

Idąca przodem Pistacja zachodziła w głowę jak pozbyć się natrętów. No i kim oni w ogóle są? Sprytna to była babka, więc szybko odkryła, że ten z dziwnym nożem musi być łowcą czarownic. Ale chyba dość ubogim.

Z kolei ten jego kompan, Wiktor, musiał mieć ciężko w szkole. Trzeci zaś, który przedstawił się jako Fabio Rodionov, mówił z dziwnym rusińskim akcentem i żył obecną chwilą, co zwiastowało, że długo to on jednak nie pożyje.

Idący za nią mężczyźni, szepotali między sobą.

– Ta piczka... – zapytał Antoni trzeciego. – Na pewno nie była wyczarowana?

– Tak mi się wydaje.

– A widziałeś kiedyś jego wajchę? – dopytał Wiktor.

– W sumie nie.

– Więc pewności nie masz.

– Ale jeśli miał się ożenić... – dywagował dalej Rusin.

– A byliście kiedyś w burdelu?

Rodionov wystawił przednie zęby.

– Nie. Ale czekaj. Miał załatwić na ten swój kawalerski jakieś dziewczki, ale się migał. Za każdym razem, jak go pytałem, gdzie są szprychy, zmieniał temat.

Wiktor spojrzął na Antoniego. Ten natychmiast wyczuł to na swoim karku.

– A ten nieśmiertelny koń?

– Miecz był tępy! – zawołała z przodu Pistacja.

– Nie podsłuchuj! – warknął von Nacht.

– Przepraszam.

– Tępy miecz. Widzisz? Nie mamy żadnych dowodów.

– Możecie za nim pojechać i spróbować go zabić dla pewności! – odpowiedziała Pistacja.

– Nie podsłuchuj!!!

– Przepraszam.

Antoni westchnął.

– Dobra. Nie mamy dowodu – mówił najciszej jak się da. – Ale jak tylko go zdobędziemy...

– Jak go zdobędziemy to zgoda. Zwijamy się stąd.

Ich ostatnich słów Pistacji nie udało się usłyszeć, co tylko podsyciło jej podejrzenia.

– Zgłodniałam! – zawołała. – Wstąpimy do wsi na obiad? Mają tu dobrego prochoła z rusztu.

– Nie! – odkrzyknął Antoni.

– No to powodzenia na szlaku! Ja idę! Cześć!

– Kur... – mruknął von Nacht, któremu brakowało już cierpliwości. – Czekaj! Idziemy.

– Szlag.

– Co powiedziałaś?!

– Że to Biała Wieś!

Wychodząc z lasu, ujrzeli wioskę usytuowaną na dość wysokim wzniesieniu. Wokół rozciągały się pastwiska, a daleko w tle górowało kolejne wzgórze. Wiktor dostrzegł kilka cienkich wstążek czarnego dymu. Tam też musiała być jakaś osada.

Jak w każdej napotykaney wsi, tradycyjnie powitały ich grobowe spojrzenia mieszkańców i wydmuchiwanie gili z nosa w odpowiedzi na „dzień dobry”.

Pistacja bez pudła znalazła gospodę. Wchodząc do środka, aż się uśmiechnęła, widząc jak wielu jest w niej chłopów. Po ciężkiej pracy w polu popijali piwo i średnioprzedni miód.

– Bogu chwała! – zawołała.

– Na wieki wieków! – odpowiedziała gawiedź.

– Dzień dobry! – przywitał się w ślad za nią Wiktor.

Cisza.

– Wchodź – ponaglił go Antoni. – Zajmij stół pod ścianą, na końcu. Zamówię nam coś.

Mało doświadczony Crash usiadł tyłem do sali. Pistacji zaś doświadczenia nie brakowało, bo siadła tak, by widzieć co się wewnątrz dzieje.

– Siadaj Rusek! – zachęciła Fabia, by przysiadł się obok.

Gdy wrócił Antoni i zobaczył, jak się porozsiadali, aż mu prądu w oczach zabrakło.

– Siadasz? – Pistacja uśmiechała się od ucha do ucha.

Ty glajdo – pomyślał von Nacht, ale grał dalej.

– Pewnie.

– Co zamówiłeś?

– Prosiaka i po kuflu piwa.

– A na obiad co?

– Na ob... Przecież... To nie wystarczy?!

– Ja bym do ciebie na sylwestra nie przyszła.

– Dlaczego?

– Słuchaj. – Pistacja westchnęła. – Jeden prochol na czterech jest dobry, jak trzech wierzdy w Alladyna.

Westchnąwszy ciężko, von Nacht usiadł przy stole.

– Często tu bywasz? – zapytał.

Pistacja pogrzebała palcem w nosie i przyjrzała się uważnie temu, co z niego wyciągnęła.

– Dość często.

– Z mężem?

Kobieta skrzywiła się i von Nacht myślał przez chwilę, że może popełnił gafę i nie wymyślono jeszcze tego słowa, ale nie!

– Miałam jednego – powiedziała Pistacja. – Ale wziął i umarł.

– Niech spoczywa w pokoju – mruknął w zadumie Fabio.

– Bez przesady. – Pistacja spojrzała na niego jak na głupka.

– Innego sobie nie chciałaś poszukać? – dopytywał Antoni. Wiedział bowiem, że wiedźmy nie zawierają ślubów, bo to katolicki obrządek. Czekał tylko na jakieś potwierdzenie.

– Nie.

– Dlaczego?

– Antoni, przestań panią zawstydzać – upomniął go Wiktor.

– No co? Przecież to normalne pytanie, prawda pani Pistacja?

Wróżka rozejrzała się po pomieszczeniu i wzruszyła ramionami.

– No więc dlaczego? – Antoni potrzebował jakiegoś dowodu. Wskazówki choćby.

– Wyjdę za mąż, a później co? Pójdę do roboty, a on będzie moim drewnem w piecu palił, he?

Trzy czoła synchronicznie uniosły się jak kurtyny.

– Muszę to zapamiętać – rzekł Fabio Rodionov, skręcając coś pod stołem.

– Swoją cholę! – ucieszyła się wróżka i wystawiła rękę do przybicia piątki. Fabio nie przybił, bo właśnie kończył zawiązać... – Co to jest?

– To? – zaprezentował im skręta.

Antoni wytrzeszczył oczy.

– W moich stronach mówią na to ćmik. To taka fajka, tyle że z tytoniu i kawałka papieru. Na końcu zawiązasz taki czopek, żeby iskra w migdał nie strzeliła przy zaciąganiu.

– To się pali?

– Nie – szepnął przez stół przerażony Antoni. Obawiał się, że to wzbudzi w ludziach jakieś wrogie podejrzenia.

– Pali, a jak!

– Pokaż, co się tym robi – zachęciła Pistacja.

Fabio chwycił za świecę i przytknął ogień do końca ćmika, zaciągając się sownie. Zapachniało palonym tytoniem, a chwilę później Fabio i Pistacja zniknęli w chmurze siwego dymu.

Antoni instynktownie sięgnął po bagnet. Niepotrzebnie, ponieważ unosząca się mgławica znów odsłoniła wróżkę i Rusina.

– Mocne? – zapytała Pistacja.

– Trochę kopie. Chcesz spróbować?

– Nie. Mam astmę.

Wiktor kopnął Antoniego pod stołem, żeby puścił nóż, bo właśnie zbliżał się karczmarz z ich piwami.

Von Nacht położył dłonie na blacie.

– I tym się tylko tak pyka? Nie robi się z tym żadnych sztuczek? – dopytywała kobieta, przygryzając dolną wargę. Coś zamigotało w jej wejrzeniu. Ten sam błysk w oku miewają ludzie nadzwyczaj sprytni

oraz ci, którzy równają się inteligencją z kozą. Bowiem szaleństwo i geniusz rozpalają iskry z tego samego ogniska.

Antoni był już pewien, że naprzeciwko siedzi wcielenie przebiegłości. Prawdziwa spryt baba.

Von Nacht przeniósł szybko wzrok i chrząknął na Rodionova.

Karczmarz bez słowa postawił pierwsze piwo przed kobietą.

– Pewnie, że można się tym pobawić. – Fabio zaciągnął się jeszcze raz.

Drugie piwo wylądowało przed Wiktoorem.

Gdyby kręcenie głową Antoniego wybijało jakiś rytm, wszyscy tańczyliby teraz *Macarenę*. Ale Fabio tego nie widział, bo uniósł łeb ku górze.

Trzecie piwo wylądowało przed Antonim.

– Pa na to – powiedział stłumionym głosem Rodionov i wypuścił z ust kółko z dymu.

Obręcz poszybowwała nad stołem i rozszerzając się, objęła wyciągniętą rękę bladego karczmarza.

W knajpie momentalnie zapanowała cisza.

Antoni już nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć co się dzieje. Z rozdziawionymi ustami patrzył na Pistację. Kobieta dostrzegła, że mężczyzna ma problemy z wypowiedzeniem słowa obrazującego sytuację, więc pośpieszyła z pomocą.

– Szlag – odpowiedziała szeptem.

Von Nacht skinął głową.

– Szlag.

Czwarte piwo... zaparkowało w twarzązcaszce Fabia, pozbawiając go przytomności.

Wrzask dziesiątek chłopskich głosów uniósł się pod sufit gospody. Antoni von Nacht poderwał się z miejsca, dobywając bagnetu, ale wytrącono mu go z ręki jednym, ale celnie rzuconym chłopem.

Wiktor miał więcej szczęścia, bo w porę uchylił się przed nadlatującą pięścią. Karczmarz miał szczęścia trochę mniej, bo chwilę później chrapał już obok odłączonego Fabia.

Von Nacht wyskoczył znad ławki jak sarna z truskawek i za pomocą czoła złamał nos jakiemuś bambrowi.

– Gdzie ona jest?! – wrzasnął ponad dziczą.

– Piwo sobie piję! – odpowiedziała Pistacja. – Czarownikowi wstrętny czarodziejski!

Antoni znokautował kolejnego chłopca i spojrzał za siebie. Pistacji nie było przy stole. Przeciskała się pod prąd, przez tłum napierających na nich wsioków.

– Łap ją! – rozkazał Wiktorowi.

Ale Wiktor nie ruszał się z miejsca. W zasadzie to leżał na ziemi i z przerażeniem macał się po zakrwawionych ustach.

– Ej, mam wszystkie zęby? – zapytał, gdy napotkał zaskoczone spojrzenie kolegi.

Wtem znad stołu wynurzył się zmartwychwstały Fabio. Coś było nie tak z jego twarzą.

– Ja ją złapię! – krzyknął i rozpędzając się, wbiegł w von Nachta.

Obaj runęli jak podcięte drzewa. Antoni spojrzał na Rusina i zmarszczył brwi. Rodionov patrzył na podłogę obok, ale mówił do towarzysza.

– Coś mi się stało w oczy.

– Chłopie. Ty masz zeza!

Von Nacht podniósł go i podstawiając mu nogę, popchnął na nadbiegających napastników. Kilku podciętych chłopów bezwładnie poleciało w przód, w tym jeden na walecznego Antka, który zarobił

z dyni w kluk. Von Nacht poczuł metaliczny smak krwi, a po chwili namysłu... zemdłał.

– He he! – Pistacja była już blisko drzwi, które nagle otwały się z impetem.

Kobieta przystanąła, przechylając głowę. W wejściu stał zdyszany luj, tarasując przejście.

– Chłopy! – próbował ich przekrzyczeć. – Chłopyyy!

Nic. Gwar bójki był zbyt głośny, a sama bójka o wiele ciekawsza niż Jaromir, florysta. Sięgnął więc za pas po swój samopał.

Pistacja kalkulowała jakie ma szanse na przepychankę w futrynie, ale nie doczekała się wyniku analiz, bo facet strzelił w sufit. Kula roztrzaskała jeden z dwóch łańcuchów, na których zwiślała belka ze świecami i ta, ruchem jednostajnie przyśpieszonym zdzieliła Pistację prosto w rozdziawioną kalafę. I to tak mocno, że zanim ta straciła przytomność, zdążyła jeszcze zobaczyć własne laczki, szybujące wyżej od niej.

W knajpie zrobiło się cicho.

– Chłopy! – powtórzył florysta. – Wojna!

– Z kim w tym miesiącu? – zapytał słaby głosik z tłumu.

– Czorni napadli syna dziedzica.

– Kto to są czorni? – Fabio patrzył w okno zamiast w drzwi.

Trzymający go za kurtkę bamber spojrział na niego z odrazą i rąbnął pięścią w szczękę.

Zrobiło się ciemno.

Czorno*.



ROZDZIAŁ III

Dziedzic był klasyczny. Gruby, łysiejący, z wąsem i czerwonym nosem. Stał przed zwołanymi na zbiórkę wsiokami i podpierając się pod boki, tłumaczył, co zaszło.

– Dziś rano mój syn Falusław poszedł na łąkę między wzgórzami wypasać krowy!

– Czemu on? – zapytała skrępowana sznurami Pistacja. Na czole miała bordowego guza wielkości pomarańczy. Ale to i tak nic przy Wiktorze, który stał obok z rozciętą wargą, von Nachtem ze zranioną dumą czy z Fabiem, który wyglądał, jakby go sam Mojżesz deknął lolą między gały.

– Wami zajmujemy się za chwilę, czarcie bękarty! – zagrzmiął dziedzic.

– Gdzie on jest? – zapytał szeptem Rodionov, próbując go namierzyć.

– Spróbuj patrzeć w lewo – podpowiedziała Pistacja, gdyż w rzeczywistości dziedzic był po prawej. – I jak?

– Teraz widzę. Dzięki.

– MILCZEĆ!

– Przepraszam – powiedziała Pistacja i zarobiła od dziedzica liścia w potylicę. Gdy już się uspokoiła, przemawiał dalej:

– Mój syn poszedł jak co rano wypasać krowy. Na naszą łąkę.

– Naszą! – zawtórowali mu wieśniacy.

– Naszą, a jak! – Dziedzic tupnął nogą i pokiwał głową. – Z dziada pradziada. Aż tu nagle z Czarnej Wsi przyszedł pierworodny ich władcy i mu pizdnął!

– Ołł – zareagował tłum.

– Przegonił go! Powiedział, że to jest jego łąka!

– I zabrał mu krowy! – poniosło kogoś z wiochy.

Dziedzic zmarszczył czoło i rozejrzał się niepewnie po chłopach i babach.

– Nie, aż tak to nie. Przegonił go, roszcząc sobie prawo do łąki! Naszej łąki!

– I mu zostawił krowy! – znowu ten głos.

– I mu zostawił krowy! – przytaknął dziedzic.

– I mu zerwał gwint!

– O Boże w niebiosach! – zawodziły baby. – On mu zerwał gwint!

– NIKT MU NICZEGO NIE ZERWAŁ! CISZAAAAA!!!

Dziedzic aż falował z nerwów. Chwilę trwało, aż się okiełznał.

– On go tylko przegonił i tyle. Ale przegonił go z naszej łąki. Nikt nie będzie poniżać mojego syna! Policzek dla niego to policzek dla mnie!

– Policzek dla ciebie! – powtórzyły ziomki.

– A policzek dla mnie, to policzek dla nas wszystkich!

– Policzek dla ciebie!

Dziedzic zahamował w połowie kolejnego słowa i teraz zmarszczył też nos.

– Powiedziałem, że dla nas wszystkich!

– Nie, powiedział pan, że dla pana.

– Nie! Powiedziałem, że policzek dla niego to policzek dla mnie, a policzek dla mnie to...

– No właśnie. Powiedział pan!

– Tak właśnie powiedział – zawtórowała jakaś baba. – Ja też słyszałam.

– PSIO MAĆ!

– Przepraszam! – wtrąciła się Pistacja. – To może pan sobie z ziomkami ustali, kto tu dostał w papę, a my sobie pójdziemy, żeby nie przeszkadzać?

Mężczyzna nie wytrzymał i dzielił domniemaną czarownicę po łbie.

– Milcz! Jak tylko wygramy wojnę, zajmę się i wami. Spłoniecie na stosie!

– Jaką wojnę? – zapytał tłum.

Dziedzic odchrząknął.

– No wojnę! Normalną, tyle że wygraną!

– No to chyba nie normalną, bo zazwyczaj dostajemy...

– ZAMKNIJCIE SIĘ!

– No, najlepi. Ciekawe jak my tę wojnę wygramy. Chyba na tych krowach pojedziemy – mamrotała inna baba w pierwszym rzędzie.

– A na kozach pojedą dragoni – podpowiedział ktoś inny.

– Dragoni na kogutach! A na kozach husaria – poprawił go inny głos.

Dziedzic usiadł na drewnianym kołeczku i schował twarz w dłoniach. Odczekał, aż skończą się pyskówki, i dopiero wtedy zawył zza palców.

– Ja się panu nie dziwię – powiedziała Pistacja.

– Dzięki... To znaczy... – Dziedzic poderwał się z kołka. – MILCZ!

To mówiąc, dobył samopału i oddał strzał w górę. Widać popularna i skuteczna była to metoda w tej wsi.

– Zaatakujemy ich nad ranem, kiedy będą jeszcze spać. Zmieciemy ich w proch jednym tylko strzałem – mówił dziedzic poważnym głosem. – Wystarczy, że zbudujemy armatę!

Słowo armata odbiło się echem nad głowami pełnej podziwu gawiedzi. Pełnej podziwu, bo czegoś równie głupiego już od dawna nie słyszeli.

– Ale my nie umiemy budować armat.

– To żadna sztuka. Armata nie jest skomplikowana.

– Armaty nie da się zbudować w jeden wieczór i noc. Ją się robi dniami! – zawołał inny ziomek.

– No to najwyżej zaatakujemy ich w przyszłym tygodniu! – zlekceważył go dziedzic. – A wtedy...!

– Do budowy armaty potrzeba żelaza. I przydałby się jakiś tokarz czy ktoś.

– A nie mamy tokarza we wsi?

– Nie.

– To skąd macie taczki? – Dziedzic podwinął brwi aż do karku.

– Proszę pana, my jesteśmy rolnikami i drwalami. Z tego armaty nie będzie. Co najwyżej możemy panu iść narąbać drewna na stos, dla tych tu. – Chłop pokazał podbródkiem na związanych więźniów.

– Nie, no co wy?! – odezwał się nagle Wiktor. – Pójdziemy się bić z wami, tylko nas nie palcie.

– Spalimy was – odpowiedział mu dziedzic.

– Nie. Nie palcie nas – negocjował Wiktor.

– Spalimy was.

– Spalcie nas – powiedziała Pistacja.

– Nie, nie spalimy was – odpowiedział dziedzic i dopiero po chwili zrozumiał, jaką gafę strzelił.

– Ha! – ucieszyła się kobieta.

Dziedzic brał już kolejny zamach, gdy ta wypaliła krzykiem:

– Nie bij, to ci powiem, jak zbudować w jedną noc armatę!

Ręka zatrzymała się w powietrzu.

– Kłamiesz – wycedził przez zęby gruby jegomość.

– Nie, nie kłamie – postawił się w jej obronie Wiktor. – Ona naprawdę wie, jak to zrobić. –

A później spojrział na Pistację i zapytał: – Wiesz, prawda?

Starucha pokiwała głową.

– Wiem. Armata jest prosta do zbudowania. Nie musi być z żelaza. Masz tu we wsi drwali. Wyślij ich do lasu i niech jeszcze dziś zetną najgrubsze drzewo, jakie znajdą.

– Po co?

Pistacja pociągnęła nosem.

– Jak to po co? Niech oni później to drzewo wydrążą, załadują na powóz i masz armatę.

Przez kilka sekund na linii Pistacja – wioskowy Bonzo panowała cisza. Dziedzic opuścił rękę i kalkulował słowa kobiety. W oczach śmigały mu plusy, minusy, sinusy i kotangensy, aż w końcu...

– Tak zrobimy! – zawołał. – Drwale do lasu po dęba!

– Lepiej po olchę! – podpowiedział florysta.

Dziedzic warknął i dobył samopalu. Wsioki rozbiegły się w panice. Część się schowała przed gniewem pana, ale ta druga część pobiegła do lasu po dąb.

A samopalu to nie półautomat, żeby strzelił drugi raz bez ponownego nabicia, więc krzesiwo tylko kliknęło i tyle.



ROZDZIAŁ IV

Zbliżał się zmrok, jednak im to nie przeszkadzało. Wioskowi drwale oraz wszyscy, którzy mieli obie nogi i przynajmniej jedną rękę, a także ci, którzy bali się samopału dziedzica, poczłapali do lasu. Targali ze sobą piły, dłuta, młotki oraz wózek ze związaną wróżką.

– Musi być największe! – przypomniała.

– Tak jest! Największe! – potwierdzili drwale. – Może być ta brzoza?

Pistacja westchnęła i spojrzała na dziedzica, który nie miał już siły na kolejną dyskusję.

– Ale się panu wieś trafiła, nie?

– Nic mi nie mów. Dostałem od ojca... to znaczy MILCZ!

– Tamten dąb! – wskazała podbródkiem.

– Tu jest niezły modrzew!

– Zastrzel go – poleciła Pistacja.

Do morderstwa nie doszło, bo wystarczyło, że dziedzic tylko opuścił rękę do pasa.

– Dąb! Dąb! Tak jest!

Zęby piły tarły o korę, wrzynając się coraz głębiej i głębiej. Trociny pokryły ściółkę, a kilka chwil później potężne drzewo zaczęło się przechylać.

– LEEEEECI! – zawołał jeden z drwali.

– Co leci? – zapytał ten, który później już nigdy więcej o nic nie zapytał.

Drzewo położyło się z łoskotem. Z góry posypały się liście i gałęzie. Później według wskazówek odcięto koronę i przy świetle pochodni zaczęto najcięższe zadanie. Drażnienie pnia.

Młotki uderzały w dłuta przez całą noc, a gdy nadszedł świt, armata była gotowa.

Pistacja szturchnęła butem drzemiącego na wozie dziedzica i wskazała oczami efekt ich pracy.

Mężczyzna w niemym podziwieniu i radości ze spełnionego marzenia rozdziawił usta.

Armata prezentowała się imponująco. Była ogromna i solidna. Żeby ułożyć ją na powozie, musiano usypać trap i użyć wszystkich wolnych rąk. Pomagały nawet kobiety przynoszące śniadanie.

Działo było ukończony i wszyscy się radowali, poklepując się wzajemnie po barkach, ściskając i przybijając piąteczki.

– Dobra robota! – pochwalił dziedzic. – Chociaż raz byliście w czymś zgodni i przydatni!

– Adam trochę ściemniał!
– A ty trochę pracowałeś, ośle.
– DOOOŚĆ! Idziemy na wojnę! Wytoczyć działo na szczyt wzgórza i wycelować w tych wiejskich pazurów z Czarnej Wsi!

I tak zrobili! Wspólnymi siłami wypchnęli armatę na skraj lasu, zatrzymując ją tuż przez urwiskiem, skąd mieli idealny widok na sąsiadującą z nimi wioskę.

Wokół dziedzica i nowo mianowanego kanoniera zebrała się cała tubylcza ludność. Przyciągnięto nawet Wiktora, Antoniego i Rodionowa.

– Gdzie jest ta wieś? – zapytał ten ostatni.

Pistacja pokazała w przeciwnym kierunku.

– Ach, faktycznie. Dzięki.

Na widok olbrzymiej armaty Wiktor aż zbladł.

– Nie sądziłem, że im się uda – przyznał szeptem.

W odpowiedzi, Antoni schował się za Fabiem.

– Załadować działo! – rozkazał dziedzic, a kanonier wpełznął w nie olbrzymi owalny kamień i napchał ciasno pakuł.

Crush zaczął rozumieć, więc skrył się za Antonim.

Kanonier nasypał prochu.

Pistacja rozumiała od samego początku, dlatego schowała się za Wiktorem.

– Ludu Białej Wsi! Zapamiętajcie ten dzień jako dzień naszego wielkiego zwycięstwa i chwały! – zagrział dziedzic. – Od tej chwili nasza wieś, niczym nieskrępowana, będzie mogła już tylko rosnąć w siłę! Na chwałę Boga i króla Wazy!

– Na chwałę Boga! – zawołał tłum.

– I...?

– No i króla Wazy – dodali niechętnie.

– A na Jezusa też? – zaskrzeczała jakaś staruszka.

Dziedzic miał dość. Skinął głową i machnął ręką do kanoniera z pochodnią.

– OGNIA!

Jak klocki domino najpierw pochylił się Antoni, za nim Wiktor, a na końcu Pistacja. Rodionowowi zabrakło tylko kilku stopni w kącie widzenia, żeby ich zobaczyć, więc się nie schylił i tak dorobił się wakat na dwie przednie jedynki, bo...

BUM!

Armata eksplodowała, ścinając wszystkich, którzy stali wokół niej, łącznie z dziedzicem. W powietrze, w różnych kierunkach, poleciały części rozerwanych ciał.

Znokautowany Fabio, który z całej bandy był najbardziej doświadczony w traceniu przytomności, padł jak długi, odsłaniając Antoniemu groteskowy widok.

Po armacie został tylko kamień i koła od wozu, wokół których leżało co najmniej dwadzieścia trupów. Ci, którzy stali trochę dalej, kaszleli jak gruźlicy albo krzyczeli, że im czegoś brakuje, na przykład klatki piersiowej albo pleców. Ale byli też tacy, którzy stojąc najdalej, zakończyli całą hecę saltem i podartymi łachami. Tych ostatnich było około dziesięciu i z wściekłością patrzyli na spętanych złoczyńców. Zemsta kiełkowała w nich jak ognisty kwiat.

– Coś ty, babo, narobiła?! – wrzasnęła chyba właśnie Adam, co zawsze stał z tyłu, jak była robota.

– Wygrałam wam wojnę! – odpowiedziała Pistacja.

– CO?!

– Pomyślcie, zacni ludzie! Skoro tylu naszych zginęło, to ilu ich mogło przeżyć?! – machnęła głową w stronę Czarnej Wsi.

Ziomkowie przez chwilę rozważali jej słowa, by w końcu...

– HURRAAAAA!!! – ryknęli razem.

– JUHUUU!!!

– Dobra, dobra! – przerwała im Pistacja. – To teraz tak... Bo dziedzic się trochę zniszczył. Kto nas uwolni, zostanie nowym dziedzicem wsi!

– Ja! – zawołał Adam.

– Ja was uwolnię i dam wam jeszcze konia z wozem! – przelicytował go inny.

– O! – Pistacja przytupnęła i spojrzała na leniwego Adasia. – Masz coś lepszego?

– Nie mam.

– To idź w pyry. Oto nowy dziedzic wsi! – zawołała na cześć zwycięzcy. – Jak masz na imię, dziedzicu?

Mężczyzna już rozciął jej pęta na plecach.

– Pipośław – wysapał jej do ucha.

– No to powiedzmy, że ROMAN! – skorygowała Pistacja.

I tak oto sprytem i podstępem ocaliła siebie i swoją poturbowaną brygadę z opresji.

No i załatwiła im podwózkę do miasta.



ROZDZIAŁ V

Koła wozu stukały na kamieniach, gdy pokonywali drogę przez las, prowadzącą ku miastu.

Fabio leżał z tyłu, wciąż niegotowy, by sparować jaźń z rzeczywistością. Wiktor siedział obok zamyślanej Pistacji, a Antoni powoził.

– Daleko jeszcze? – Crush obawiał się otaczających ich kniei.

– Nie – odparła kobieta. – Słuchajcie panowie. Bo... Fajnie się z wami podróżuje i całkiem wesoła z nas ekipa, ale powiedzmy sobie szczerze: uratowałam wam dupy, drugi raz może mi się nie udać. Po co kusić los, nie?

– Zaryzykuję. – Antoni strzelił lejcami.

– Może lepiej się rozejdźmy? Uściśniemy sobie dłonie, damy sobie po przytulasku, może nawet buziaku... – Spojrzała na Wiktora, a ten zrobił dzioba, jakby zjadł cytrynę.

– Nie – powiedział. – Lepiej się nie żegnajmy.

Pistacja westchnęła.

– Nie wiem, o co tu chodzi, ale najwyraźniej szukacie czarownicy. Ja nią nie jestem, więc szkoda waszego czasu. Może poszukajcie sobie jakiejś innej i wszyscy będziemy zadowoleni.

Antoni spojrzał przez ramię.

– A kto ci powiedział, że szukamy czarownicy?

Oj, troszkę się zdradziła.

– Pomagamy ci szukać ślusarza, nie pamiętasz? – Von Nacht uśmiechnęła się dobrotliwie.

– Och, jak wspaniale! – Pistacja zmieniła ton na weselszy, choć nie do końca dobrze zagrany. – Już żem się obawiała. W takim razie zgoda.

– ŁOOO! – krzyknął ktoś z tyłu, o mało nie przyprawiając ich o zawał.

Rodionov zakończył proces resetu i usiadł na wozie jak wampir w horrorach.

– Dżo się od... Moje dżemby!!!

– Już dojeżdżamy – uspokoiła go wróżka. – W mieście koledzy zaprowadzą cię do kowala, to zrobi ci nowe.

– O mój Bodże – szlochał Rodionov, macając się po szufladzie.

– Nie jest tak źle – pocieszał go Wiktor, który jeszcze pod armatą widział, jak się nieszczęśnikowi koraliki wysypały z buzi. – Powiedz „kot”.

– Kot.

– Widzisz? Ładnie mówisz. Mówiłem, nie jest tak...

– A powiedz „ziemba” – wciąga się Pistacja.

– Dżemba... yyyhyhyhyhyhy – zadudłał Rodionov. – O mój Jedżu, dża co mnie pokaradżes tą wródką?!

– Wytrzymaj. Widać już miasto – Antoni wskazał przed siebie.

– Dże?

Pistacja skierowała mu głowę w las.

– Tam.

– Dżenki.

Wyjchawszy spod baldachimu leśnych koron, znaleźli się na otwartej przestrzeni, okalającej duże miasto na wzgórzu. Już stąd widzieli rotundę bazyliki, którą okalały drewniane i kamienne budowle wszelkich rozmiarów i wysokości. Między siwymi i czarnymi wstążkami dymu lawirowały stada gołębi, mieniąc się w słońcu jak ławice drobnych rybek. Grodzisko wyglądało z tej perspektywy majestatycznie i obiecująco.

– No. To wio na rynek – poleciła Pistacja. – Na targu na pewno znajdziemy ślusarza.

– A nie w warsztacie? – zdziwił się Antoni.

– Co to jest warsztat?

– Yyy... – Antoni zmieszał się, wiedząc, że tym razem popełnił gafę.

Z pomocą przyszedł mu Wiktor.

– Warsztat to takie miejsce, gdzie ludzie przychodzą prosić ślusarza o pomoc.

– Czyli targowisko na rynku. – Pistacja pokiwała głową.

– Taa – przyznał Antoni, choć wyczuwał, że kobieta robi ich w balona. Coś mu się nie podobało w jej bladym uśmiechku pod nosem.

Może ona coś knuje? Albo nas podpuszcza i sprawdza?

– A nie chodziło wam wcześniej o cech? – zapytała po chwili z miną, jakby nadal ich sondowała.

– Cech. Pewnie, że cech! – Von Nacht klepnął się w czoło.

No tak. Oni tutaj mówią cech.

– Jakby go nie nazwać, nadal jest na targowisku.

– A kowal? – padło pytanie zza pleców.

– W Rozstarzewie.

– W Rodźdźtadźewie?!

– Żartuję, he, he...

– Głupia pidźda.

– Heee, he, he!

Wozem zabujało na rozstaju dróg. Naburmuszony woźnica wstrzymał konia i wskazał na pagórek między nimi a miastem.

– To szubienice? – zapytał, przyglądając się drewnianym konstrukcjom.

– Nie inacy. – Pistacja przytknęła do nosa dłoń i smarknęła w palce, by po chwili rzucić gilem na drogę. Antoni odchrząknął. Brzydziło go jej zachowanie, ale starał się zachować spokój. Tymczasem

kobieta podjęła beztrasko: – To wzgórze nazywa się Szubianki, więc na pewno nie patrzysz na plac zabaw.

Antoni rozejrzył się i wskazał na małą osadę, do której prowadziła mniej uczęszczana ścieżka, odbiegająca ze skrzyżowania.

– Pojedziemy tamtędy.

– Uuu. – Pistacja zrobiła dziubek. – Nie radzę. Tam jest Doktorowo.

– Czyli co? – zainteresował się Wiktor.

– Doktorowo to taka wieś, w której mieszkają same doktory. Ja bym tam nie jechała.

– Doktorzy to porządni ludzie! – Wiktor nie rozumiał jej niechęci.

Pistacja spojrzała na niego i uśmiechnęła się jak żaba.

– Skoro tak mówisz.

– Modże mi dżemby wstawią.

Antoni zapodał „wio” i wóz ruszył.

*

Z Doktorowa szli już piechotą. Antoni szedł bez bagnetu i resztek dumy, Wiktor bez „telefonu” i w podartych łachmanach, Fabio bez papierosów i jednego buta, a Pistacja z jabłkiem w rękę i szyderczym uśmiechem pod nosem.

– Mówiłam.

– Nie mówiłaś – stęknął Wiktor.

– Ja bym tamtędy nie jechała. Tak mówiłam.

– Ale nie mówiłaś dlaczego! Ała... Jezu, jak mnie żebro boli.

– Nie pytaliście. Ale możecie jeszcze zapytać.

Antoni jęknął, rozmasowując sobie policzek.

– Dlaczego nie chciałaś tamtędy jechać?

Pistacja wgrzyzała się w jabłko, aż jej sok pocieknął po podbródku.

– Bo... – Przegryzła kęs. – W Doktorowie mieszkają same doktory. Tak się mówi... mmmm, jakie dobre... Tak się mówi na kieszonkowców i zbójów, co leczą ludzi z pieniędzy... Jak widać... – przełknęła – są całkiem skuteczni.

Dalej szli w milczeniu. W końcu ich oczom ukazała się kolumna z przepięknie wykonaną figurą Jezusa. I faktycznie, jedno spojrzenie wystarczyło by wiedzieli, że wjeżdżają do bogatego miasta. Rynek Grodziska przypominał wielokulturowy tygiel. Była tu wuchta wiary! Z każdej strony słyszało się inny język. I to dość głośno. Kupcy przekrzykiwali się ze sprzedawcami i rzemieślnikami, których było tu od groma i ciut.

Idący na przodzie Antoni, który kątem oka lustrował Pistację, zdołał dojrzeć bednarzy, bartników, ceglarzy, cieśli, garncarzy, kuśnierzy, olejników, piekarzy, popielarzy, rzeźników i wielu innych, lecz najbardziej kaprawą zgrają stanowili piwowarzy. Stali przy obłożonej kamieniami studni ze źródłem i sprzedawali swe wyroby na beczki.

– A gdzie jest kowal? – zapytał Wiktor.

– Tam. – Pistacja wskazała narożnik rynku i rzeczywiście, znajdował się tam cech kowalski.

– Najpierw załatwimy mu nowe zęby. – Antoni skinął na Fabia. – Później znajdziemy ci ślusarza.

– Normalnie to bym się pożegnała, ale... – Pistacja przygryzła wargę. – To będzie niezłe widowisko.

I było.

Kiedy godzinę później udało im się ocucić Fabia, musieli pomóc mu ustać na nogach. Był błądy, spocony i miał nieobecny wzrok. Kowal po prostu wbił mu dwa metalowe zęby młotkiem w górną szczękę. Zamiast zapłaty poprosił tylko o odpowiedź na jedno pytanie:

– Tak między nami, to czemu nie poszliście z tym bidokiem do dentysty? Jest trzy kamienice dalej.

Żuchwa Wiktora cofnęła się i schowała za jabłkiem Adama. Antoni spojrzął na Pistację wzrokiem mordercy.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że macie tu dentystę? – syczał przez zęby.

– U dentysty jest gorzej.

– Gorzej niż tak?! – Wskazał na Rodionova, który wyglądał, jakby wrócił rowerem z orbity, a myślami był jeszcze gdzieś w okolicach Neptuna.

– Dentysta nie pozwala widowni patrzeć.

Antoni nabrał powietrza w płuca, gotowy dzielić tę niepoprawną babę w caban, ale ta tylko parsknęła i pokuśtykała w tłum.

– Teraz ślusarz!

– Ja nie chcę z nią iść – zajączał ładnie Fabio. – Puśćcie mnie.

– Chodź! Sam nie ustoisz – przekonał go Wiktor.

Mały spacer po rynku dobrze zrobił Fabiowi. Po kilku chwilach odzyskał część swej żywotności, a po dwóch następnych mógł już sam chodzić.

– Gdzie jest ten ślusarz? – Antoni dogonił Pistację.

Kobieta wyduła usta, rozglądając się po targowisku. Z kilometra było widać, że coś knuje. Ale było trzeba widzieć ją z przodu, a Antoni patrzył z profilu.

– Chyba tam. – Wskazała w stronę studni.

– Chyba?

– Nie pamiętam. Stara jestem, to i pamięć już nie ta.

– Co za melepeta...

– Nie wyzywaj jej! – Zawołał gdzieś od tyłu Wiktor. – Jak mój dziadek miał siedemdziesiąt lat, to też...

– Hola, hola! – Pistacja aż przystanęła. – Ja mam trzydzieści cztery lata, a nie siedemdziesiąt.

Zamurowało ich. Nawet twardej von Nacht rozdziawił usta. Rodnionov też, wystawiając dwa metalowe zęby królika Bugsa. Pistacja była przygarbiona, pomarszczona i miała siwiznę!

– Masz trzydzieści cztery lata? – zapytał Wiktor. – Ale przecież jesteście już... przepraszam, za to słowo, ale stara.

– Owszem, bo zestarzałam się w młodym wieku. – Spojrzała w prawo i wystawiła palec wskazujący na zastawiony pieczywem stół. – A teraz jestem głodna i chcę tego kołacza.

Wiktor zreflektował się pierwszy. Było mu żal tej kobiety. Wyglądała tak strasznie staro. Jak ciężkie musiało być życie w tych czasach? Jeśli ona ma trzydzieści cztery lata, to sprzedawca kołaczy ma ile? Siedem?

– Ja go kupię. – Crush podszedł do stoiska. – Ale... zabrali mi pieniądze – popatrzył błagalnie na von Nachta.

– Ech. – Ten pokręcił głową. Jako jedyny ukrył swoją forszę w rozpruciu paska do spodni.

– Cwane – przyznał Fabio. – Ja też chcę.

– W sumie, to i ja jestem głodny – zameldował z winą w głosie Wiktor.

Stojąca za nimi Pistacja rozejrzała się dookoła. Miejsce było idealne. Najwięcej wiary zawsze kręci się przy piwie. A tym bardziej, jeśli jest tak dobre jak tutaj.

Wyłowiła nad głowami kupców największego z piwowarów i cmoknęła w jego stronę. Chłop jej nie zauważył. Zagwizdała.

– Co ty robisz? – zaniepokoił się Antoni.

– Ale wielgachny kołacz! – improwizowała. – Taki to na dwóch starczy.

Von Nacht zastanowił się i przeliczył szybko pieniądze. I właśnie tego jej było trzeba. Wróciła wzrokiem do piwowarów i... tak! Ten wielki na nią patrzył! Zrobiła trąbkę z języka. Skonsternowany męczyzna szturchnął łokciem swoich kolegów i po chwili piwowarzy i kupcy patrzyli w jej stronę z dziwnym wyrazem twarzy.

Teraz.

Pistacja przystawiła obie dłonie do siebie, chowając kciuk lewej pod spód i udając, że łapie go palcami prawej. Wiecie, o co mi chodzi. Wiecie, co się zaraz stanie, prawda?

Pistacja przesunęła prawą dłoń, przestawiając kciuk w dół i w górę dłoni.

Przy stoisku piwowarów zapanowała cisza.

– Proszę, twój koł... – Antoni odwrócił się i zamarł z pieczywem w rękę. Zauważył ich. Oni jego też. Kołacz wypadł mu z ręki.

– WIEEEDŹMAAAA!!! – ryknął wielki piwowar.

W jednej sekundzie na rynku zawrzało.

– O szlag! – krzyknął von Nacht.

– Narka! – Pistacja wskoczyła w rozbiegający się tłum.

– Za nią! – Antoni szarpnął towarzyszy i ruszyli w pościg.

Przepychając się łokciami i kopiąc kolanami, przesuwali się w ślimaczym tempie w stronę północnego krańca targowiska. Odważni piwowarzy z drewnianymi młotami w rękach podąжали ich śladem. Jeden z nich był już na tyle blisko, że mógł się nim skutecznie zamachnąć.

Rodionov poczuł, jak coś podrzuca mu włosy na potylicy. Chwilę później usłyszał głucho uderzenie. Dostrzegł też, że z jego prawej strony w akompaniamencie kobiecych krzyków upada ciało bednarza z kraterem zamiast twarzy. To dodało mu kopa. Adrenalina wyparła krew z jego żył.

Rug cug! Rug cug! – dudniło jego serce.

Pistacja sprawnie unikała nadlatujących przypadkowych ciosów. W powietrzu zaczęły latać jajka, warzywa, butelki, ludzie poniżej metra pięćdziesięciu i siekiery.

– Za nią! – poganiał ich Antoni.

– Co się stało?! – zapytał Wiktor.

– To przez nią!

– Ale jak?!

– Jeszcze nie wiem, ale czas z tym skończyć! – Antoni zamachnął się i deknął pięścią w nos jakiegos śmiałka. Przeskakując nad nim, rozpychał się dalej. Widział już tylko podskakującą gdzieś przed nim siwą głowę Pistacji.

Mijając kolejnych przerażonych ludzi, Wiktor dostrzegł zakapturzoną kobietę z...

Nie. To nie mogła być ona – pomyślał. Miał bowiem wrażenie, że coś błysnęło między jej wargami.

– Stój!!! – ryknął Antoni za Pistacją, gdy udało im się wbić w wąską uliczkę w narożniku rynku.

– Chyba mosz z gorem! – Kobieta zasuwiała szybciej niż koń, zamiatając łachmanami po ubłoconej drodze między kamienicami.

Dobiegli do końca uliczki i stanęli w cieniu ogromnej rotundy z kopułą, wokół której ustawiono drewniane rusztowanie.

– Nie zrobi tego – wymamrotał Rodionov, przystając obok von Nachta.

– Yhy. Zrobi.

I miał rację, bo Pistacja zaczęła wspinać się po rusztowaniach.

– Diabolojyy! – Usłyszeli wrzask za sobą. Uliczką pędził tłum ludzi prowadzony przez piwowarów.

– Na górę, szybko! – zarządził Antoni.

– TAM?! – Rodionov wytrzeszczył oczy.

– A gdzie?! Tam?! – Von Nacht wskazał zalane błotem ulice, odbiegające od kościoła na wszystkie strony. Ruszył jako pierwszy i z wysokości złapał się belki rusztowania. – Prędko!

Podążyli za nim. Wspinali się w zatrważającym tempie, przerywanym tylko na chwilę przez jednego z murarzy, któremu w końcu Antoni musiał wmontować kielnię w czoło. Ciało murarza spadło prosto przed tłum ścigających ich mieszczan.

Rosły piwowar spojrzął w górę i z rozwścieczeniem splunął na ziemię. Wiedźma była już w połowie drogi na szczyt, a reszta ją doganiała.

– Lećcie po kata – rozkazał osiłek.

– Ułłł – westchnął tłum.

– PO KATA! JUŻ!

– Panie kacie! Panie kacieeee! – wołali już z daleka ci, którzy pobiegli. W drodze po wybawcę minęli zakapturzoną kobietę. Spojrzała za nimi swymi seledynowymi oczami, a później zmierzyła nimi Pistację, klnąc cicho. Wycofała się na bok i sięgnęła do małej sakiewki pełnej jakiegoś suszu w fioletowej barwie.

Pistacja wspinała się jak małpa. Najwyraźniej naprawdę miała dopiero trzydzieści cztery lata.

– Idioci – syknęła pod nosem, dostrzegając trójkę poniżej. Przeskakując z belki na belkę po zewnętrznej stronie konstrukcji, w końcu udało jej się dotrzeć na najwyższą kondygnację. Tu spotkała się z zaskoczonym robotnikiem murarskim.

– A...?

– A co wyjdzie ze skrzyżowania ryby z kocem? – wypaliła, zanim tamten pojął, co się dzieje.

– Co?

– Płaszczka! – Pistacja kopnęła go wklatę. Facet zjechał po kopule, znikając za jej załomem. Coś plasnęło o ziemię i w tej samej chwili znad rusztowania wyłonił się Antoni von Nacht. Za nim wyskoczyła pozostała dwójka.

– Wy uparte papudroki! – Pistacja odwróciła się i wyskoczyła, by cupnąć tyłkiem na kopule. Zjechała po niej prosto na spiczasty dach, między nimi a wieżą kościoła. Łądując na jego szczycie, omal nie spadła. Podciągnęła się z pierwszą oznaką zmęczenia.

– Poczekaj! – zawołał za nią Wiktor. – Musisz iść z nami! Nie mamy czasu, żeby ci to wytłumaczyć, ale nie chcemy cię...

– A skocz mi w pyry!

– Nie masz dokąd uciec, więc jeśli jesteś wiedźmą, to najwyższy czas, żebyś nas z tego wyciągnęła! – krzyczał Wiktor błagalnym tonem. – W zamian obiecuję, że nie stanie ci się żadna krzywda!

Pistacja, przesuwając się tyłkiem po szczycie, zatrzymała się i westchnęła ciężko, przymykając na chwilę powieki.

– Proszę! – powtórzył Wiktor.

– Nie wiem, za kogo wy mnie macie, wy melepety malowane, ale ja nie jestem żadną wie... – Odwróciła się i głos ugrzązł jej w gardle. Przez chwilę patrzyła na nich, później gdzieś ponad nich, coraz wyżej i wyżej...

Mężczyźni usłyszeli za sobą metaliczny szczęk. Kopuła zadrżała, a później zauważyli, że słońce przestało ich prażyć. Jakimś sposobem znaleźli się w cieniu.

Odwrócili się, jeden po drugim.

Za nimi stał na ugiętych nogach ogromny blaszany rzymski żołnierz z wąsem, unoszący w górę długą na kilka metrów pikę, która przez metalową chorągiewkę na szczycie wyglądała jak halabarda. Ożywiona rzeźba, która do tej pory ozdabiała kopułę kościoła, spozrzała na nich i wzięła zamach.

– AAA!!! – Cała trójka z nieludzkim krzykiem wyskoczyła w przód i zjechała po kopule.

Halabarda wbiła się w jej poszycie tuż za plecami Wiktora. Rzeźba mruknęła basowo i zrobiła krok naprzód.

Równie przerażona Pistacja zagęściła ruchy, przesuwając się tyłkiem po szczycie.

– Odczaruj go! – zażądał von Nacht.

– To nie moja sprawka!

Upadając na dach, Fabio przeturlał się przez załamanie i w ostatniej chwili złapał rękę Wiktora. Crush uśmiechnął się do kumpla.

– Mam cię – powiedział i dostrzegł dziwne, złote refleksy gdzieś w dole. Zmrużył oczy i wtedy ją ujrzał. Zakapturzona postać z uniesionymi w górę ramionami i głową mamrotała coś pod nosem, mrugając z ust złotym zębem.

– To ona! Tam w dole! Tam jest wiedźma! To ona czaruje rzeźbę! – krzyknął.

Antoni, który był trochę dalej i dla którego światło słoneczne padało pod innym kątem, nie dostrzegł odbłasku.

Dach zadrżał.

Pomalowany na złoto żołnierz zmierzał wprost na nich. Ponownie uniósł oręż i wydawało się, że dla trójki mężczyzn nie ma już ratunku, gdy nagle w twarz uderzył go ciesielski drewniany młotek.

– Tej, Florian! – Pistacja była już na rusztowaniu dzwonnicy. – Dajesz! Zabij ich!

– O ty pindo! – Von Nacht skoczył na równe nogi.

Tłum pod kościołem na zmianę artykułował „och”, „ach” i „prawie”. Ale gdy zauważyli kata przemierzającego morze mieszczan, krzyknęli „Jeeest!”, a później „Ed–mund! Ed–mund! Ed–mund!”.

A Edmund, wyższy o głowę od najwyższych w tłumie i w czarnej masce, kroczył jak maszyna bojowa, przewracając tych, którzy w porę nie zdążyli zejść mu spod trzewików. Miał na sobie skórzaną kamizelkę, z której wystawały grube jak pnie dębu bicepsy i silne ręce. W nich niósł połyskujący, katowski miecz.

Stając w cieniu fary, uniósł zamaskowany czerep do góry i zmrużył przekrwione ślepia. Czegoś takiego jeszcze nie widział. Święty Florian, patron miasta, walczył na szczycie kościoła z jakimiś ludźmi. To musiała być sprawka czarownicy. Po chwili i ją udało mu się dostrzec. Wspiwała się na dzwonnice, w kierunku okiennic.

– Zagrajmy w kamień, papier... – zaczął Antoni, pozwalając pozostałej dwójce, by go wyprzedziła. Florian nie posłuchał.

Von Nacht odskoczył, unikając ciosu halabardą. W dachu zrobiła się ogromna dziura. Błaszany żołnierz z trudem wyszarpnął z niej swój oręż. Po spadzie posypały się pokruszone dachówki i połamane belki. I właśnie wtedy Antoni wpadł na pewien pomysł.

– Taki jesteś kozak? Trafisz mnie kiedyś?

Florian z piskiem ocierających się o siebie blach zmarszczył brwi.

– No, co jest z tobą, terminator?! Celownik sobie zamontuj na tym ki...

Halabarda zaświszczała. Antoni potknął się o dachówkę i broń zaczarowanej rzeźby, wbiła się w dach między nogami renegata. Ten, blady z przerażenia, natychmiast podskoczył i zrobił kolejny krok w tył.

– ANTEK! – ryknął do niego Wiktor. – Uciekaj!

Ale von Nacht ani myślał uciekać.

– Do trzech razy sztuka, ty fordowski tłumiku!

– ANTEEEK! – darł się Wiktor, widząc, jak na jego przyjaciela leci rozpędzony oręż.

Edmund-kat przedarł się już przez tłum. Miecz, który niósł, raz za razem haczył o kocie łby, którymi wyłożono plac wokół fary. Dźwięk, jaki przy tym wydawał, wywoływał gęsią skórkę.

Tymczasem na szczycie:

Halabarda wbiła się w poszycie dachu po raz trzeci, poważnie uszkadzając jego konstrukcję. Antoni po omacku cofał się, by być jak najdalej od Floriana.

Jeszcze jeden raz. Jeszcze tylko jeden raz. – Wiedział, że tyle wystarczy, by ten sam odciął sobie drogę.

Florian zrobił długi krok, przeskakując nad dziurami.

– Zaczekaj! – Wiktor doganiał Pistację.

Kobieta była już w drewnianym, wysokim oknie dzwonnicy.

– Proszę. Nie chcemy cię skrzywdzić. Pozwól, że ci wyjaśnię.

Pistacja smarknęła.

– A haknij mnie w motykę! – Kopniakiem wyważyła okiennicę, znikając w środku.

Było tam pełno lin, drewnianych belek i dziwnych konstrukcji. Z boku zamontowano wysoką drabinę. Schodząc po niej w dół, przechodziło się obok ogromnego dzwonu.

To właśnie od niego są te wszystkie sznury – uświadomiła sobie kobieta. Schodząc niżej, dotarła do wąskich schodów.

Wiktor spojrział za siebie. Widok był przerażający, a jednocześnie chwytający za serce.

Antoni von Nacht, krzycząc jak heros, unikał kolejnych ciosów. W pewnej chwili, zwisając z prawej strony dachu, spojrział na niego zdeterminowanym wzrokiem i pokręcił głową.

– Uciekajcie – szepnął.

Ratował ich ceną własnego życia.

Wiktor wychylił się i ujrzał kata wchodzącego do kościoła. Też pokręcił głową.

– Nie ma dokąd.

Spojrzał w górę.

Nad dzwonnica zbudowano blaszaną kopułę. Jedyne miejsce, na które mogli jeszcze wejść.

– Chodź! – Szarpnął Rodionova za ramię i zaczęli się wspinać.

Antoni, przekładając rękę za ręką, przesuwał się w ich stronę.

Był już blisko wieży. Florian uniósł pikę i wycelował w jego głowę. Halabarda zaśpiewała. Antoni zamknął oczy.

BUM!

Ostrze chybiło. Hukowi łamanych dachówek towarzyszył inny dźwięk. Von Nacht uchylił jedną powiekę i ujrzał stado gołębi, które przelatując, wpadło w blaszanego żołnierza.

– Ha! – Wykorzystał ten moment, by podciągnąć się i pobiec w stronę wieży.

Florian odgonił ptaki i rozejrzał się po poszyciu fary. Gdyby nie miał ust z jednego kawałka blachy, wiadomo co by powiedział. Zamiast tego ruszył ku baszcie.

Antoni już się na nią wspinał.

Pistacja zbiegała po schodach jak młoda sarna. Tup-tup-tup-tup! Aż tu nagle! Łup! Odbiła się od czegoś twardego.

Uniosła czerep i spojrzała w przekrwione ślepia, wystające z...

...worka na śmieci?

Rusztowanie skrzypiało fatalistycznie, a jeszcze bardziej skrzypiał Florian. Ostrze przecięło belki poniżej nóg Antoniego. Konstrukcja ugięła się, ale wytrzymała.

Fontanna drewna i drzazg poleciała prosto na tłum.

– Łaaa! – jęknęli ludzie, osłaniając głowy.

Antek wspinał się dalej. Jego ręka namacała okno. Podciągnął się i wskoczył do środka.

Wiktor i Fabio stali po drugiej stronie. Zdziwili się na jego widok.

– Antoni?! Szybko! – Wiktor machnął ręką. – Mam plan!

Von Nacht ledwie odskoczył, gdy w oknie pojawił się pozłaczany łeb Floriana.

Jego straszne, matowe oczy, lustrowały ich tak, jak lew słabą antylopę. Usłyszeli jak unosi skrzypiące ramię.

Pistacja zmierzyła Edmunda i jego miecz, a później spojrzała na zwisające z dzwonnicy liny i wybierając jedną z nich, podała ją mężczyźnie.

– Masz pan. Przytrzymaj – powiedziała.

Zaskoczony jej prośbą kat, chwycił sznur i przyjrzał mu się z uwagą.

– Nada się do powieszenia czarownicy? – zapytała kobieta.

Edmund ścisnął sznur mocniej i pokręcił łbem.

– Nie. Za gruby.

– Czyli się nie przyda?

– Nie-e.

– Skoro nie, to na kij nam taki sznur, co? – Pistacja wyszarpnęła z za jego paska sztylet i błyskawicznie przecięła nim inną, naprężoną wiązkę lin.

Edzio zrobił:

– Hmm. – I wystrzelił w górę, mijając się z dzwonem w połowie drogi.

*

Halabarda rozpędziła się w stronę okna, gdy nagle...

Drewniana podłoga eksplodowała i głowę Floriana, a później poszycie kopuły, przestrzelił Edmundkat.

– HMMmmm...!

Łeb zaczarowanej rzeźby rozspął się jak metalowe kręgle. Ze szczytu wieży posypały się jego elementy, a w dole rozległ się dźwięk uderzenia dzwonu, łamania kamiennej posadzki, a na końcu grzmot przypominający ten, jaki wydają zawałające się budynki. W szybie dzwonnicy buchnęła chmura brązowego kurzu, ulatniając się każdym mijanym oknem.

– Ach! – Tłum był zachwycony.

Spocony jak mysz Antoni dyszał ciężko, podpierając się o ramię Wiktora. Dziura w podłodze była tylko o cal od jego stopy.

– Co teraz? – zapytał.

Wiktor pokazał na coś w dole, pod kościołem.

– Widzisz ten wóz z sianem?

– To...

– Zaufaj mi. – Klepnął go w ramię i rozłożył ręce, stając się ludzkim krzyżem. – Grałem w Assasin Creed'a.

– C..? Niiieee!

Ale było już za późno. Wiktor poszybował w dół na spotkanie z wozem... z... Już kit z tym, że to nie było siano. Ale Wiktor Crush wyrznął klątę prosto w koński zad, a później stracił dech i pociemniało mu w oczach. Świat przestał istnieć.

– Oż, ciul – mruknął z trwogą Antoni.

– Teraz ty – zachęcił go Fabio.

– A może ty?! To był wasz pomysł!

– Jego. Ja idę schodami.

Wtem ich oczom ukazała się Pistacja, która wyszła z kościoła jak gdyby nigdy nic i okrążając dzwonnice, zauważyła ciało Wiktora. Popatrzyła w górę ze szczerym, pełnym podziwu wyrazem twarzy, wystawiając z ust górne jedynki. Tak patrzy się tylko na kogoś, kto rzucił się na słońce z wężem ogrodowym.

Kobieta smarknęła, po czym kucnęła i zaczęła szeptać Crushowi do ucha.

– Ona czaruje! – krzyknął Antoni.

– ŁEEEEKURW...! – Wiktor zerwał się na równe nogi, macając się na oślep po klatce piersiowej i twarzy.

– Pobudeczka, bekon i jajeczka – powiedziała Pistacja, a później podążyła za jego zagubionym wzrokiem, który jednak coś odnalazł. A patrzył na zakapturzoną kobietę, stojącą w pewnej odległości

od nich, która...

CHLAST!

Została zmiażdżona przez upadającego na ziemię Edmunda. Jego miecz spadł chwilę później, nabijając ich obu jak szaszłyk.

– Szzzzłag – szepnęła Pistacja.

– Kto? – zapytał ich głos zza pleców.

Kobieta odwróciła się, stając przed wielkim piwowarem.

– O, fajnie, że pan jest. – Wyprostowała się, otrzepując rękawy. – Czy wie pan może, gdzie znaleźć ślusarza?



ROZDZIAŁ VI

Cela, w której wylądowali, była jedną z dwóch w zbitym z drewna więzieniu. Spomiędzy prętów w oknie, w świetle gasnącego dnia, widzieli wzgórze ze szubienicami. Obok nich trwała budowa stosu.

– Jeśli jesteś czarownicą, to najwyższy czas, żeby się przyznać i nas stąd uwolnić. – Antoni czuł, jak kajdany wbijają mu się w nadgarstki.

Nieopodal ich celi siedział za stołem strażnik o ciapkowatych rysach twarzy.

– Nie jestem – upierała się Pistacja.

– Nie? A ten Florian to co?

– To nie ja. Pod kościołem stała wiedźma. Chyba chciała się zabawić.

– To prawda – przyznał Crush. – Widziałem ją. To ta, która uciekła nam za pierwszym razem. Spadł na nią kat.

Pistacja zrobiła karpika ustami.

– Mam już dość – stęknął Rodionov. – Tęsknię za swoimi czasami.

Pozostali spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

– To ty nie jesteś stąd? – zapytał von Nacht.

– I tak nie uwierzycie.

– Przysłał cię Waldemar Morris? – dopytywał Crush.

– Nie. – Fabio pokręcił łbem. – Mój pan. Powiedział: „idź no tam, stań na polanie i się nie ruszaj”.

A później włączył maszynę, nad którą pracował w Tungusku. Błysło i tyle. Jestem tu.

– Jak się nazywał ten twój pan? – Antoni patrzył mu w oczy.

Fabio wzruszył ramionami.

– Nikola Tesla.

Wiktora oblała gęsia skóra.

– Tesla urodzi się za dwieście lat.

– Wiedziałam! – naburmuszyła się Pistacja. – To wy mnie od wiedźmy wyzywacie, a sami jesteście czarodziejami! Straż!

– Sznupa! – Von Nacht zatkał jej usta dłonią.

– Pssst! – syknął ktoś zza okna.

Wszyscy spojrzeli w jego stronę. Między prętami pojawiła się znajoma twarz.

– Rychu? – rozpoznał go Rodionov.

– Wróciłem po was, bo co mam w domu z pipą robić? – wysapał. – Dobrze mi się tu żyło, ale czas już wracać.

Wiktorowi zakręciło się w głowie.

– Co?

– Chwilę was podsłuchiwałem. Dla pewności. Też jestem od Morrisa. Wylądowałem tu pierwszy. Nawet się zadomowiłem – streścił. – Ale teraz potrzebuję operacji zmiany płci, więc czas na nas. Zaraz was uwolnię.

To mówiąc, przywiązał do prętów grubą linę i pomknął w stronę swojego nieśmiertelnego konia. Antoni rozkazał Wiktorowi pilno wać, czy nie idzie strażnik, a sam przyglądał się, jak Rychu przywiązuje linę do ogona swojej klaczy.

– Odsuń się! – zawołał Rychu i wbił pięty w końskie boki.

Zwierzę ruszyło z kopyta, nabierając prędkości, aż stała się rzecz niesłychana! Lina naprężyła się i CIACH! wyrwała ogon z końskiego zadu. Nieśmiertelna chabeta zakwiczała i zrzucając jeźdźca, pogalopowała w stronę odległego lasu.

– Co się tam dzieje? – zapytał Rodionov.

– Ja nawet nie wiem, jak mam to opisać. – Von Nacht mrugał jak sowa. – Rychu chyba nie żyje. Leży na ziemi.

Szok nie zdążył się w nich w pełni zawiązać, gdy do więzienia wparowała jakaś kobieta. Podeszła do zaspanego strażnika i dała mu w łapę. Mężczyzna ugryzł monetę i wskazał na ich celę.

– Tylko szybko.

Dzierlata podeszła, zwracając się od razu do Pistacji. Nie wyglądała na ubogą wieśniaczkę, sądząc choćby po zaśnieżonej biżuterii w śladowych ilościach.

– Jesteś wiedźmą. Jutro cię spalą i przypadnie moja nadzieja. Pomóż mi proszę i odkup swoje winy. Pan Bóg się za tobą wstawi, jeśli się zlitujesz.

Wiktor kopnął w kostkę zdziwioną Pistację.

– Eee... A co się stało? – próbowała wejść w rolę wróżka.

– Moje krowy już tydzień mleka nie dają. Na pewno jakaś wiedźma rzuciła na nie urok. Powiedz mi, co mam zrobić?

Pistacja czuła na swoim karku trzy spojrzenia. Presja była duża. Zastanowiła się więc chwilę, po czym machnęła ręką do kobiety.

– A, co mi tam. Chodź no dziewczę, powiem ci na ucho.

Chwilę to trwało. Pistacja szeptała jakieś niezrozumiałe instrukcje.

– Wystarczy! – zawołał strażnik.

– Dziękuję. – Wychodząca kobiecinka nie posiadała się z wdzięczności.

– Co jej powiedziałaś? – zapytał Antoni, zasłaniający plecami okno.

– Dobry wieczór! – odezwał się zza okna Ryszard.

– Dżizas! – Von Nacht odskoczył łapiąc się za serce.

– Uwolnij nas, bo zaraz zginiemy. – Crush wstał z pryczy.

– A to się dobrze składa – przyznał Rysio. – W takim razie mam dla państwa niezwykle korzystną polisę ubezpieczeniową na życie. Jeśli zdecydują się Państwo już dziś, otrzymacie ode mnie całkiem za

darmo ubezpieczenie OC...

– Ktoś idzie – syknął Wiktor.

BUM!

Von Nacht jak od ekierki rąbnął Rysia w żuchwę aż ten się odpiął od jaźni.

Tymczasem przed stołem strażnika pojawiła się nie jedna, a czternaście innych kobiet! Łapówka była sowita. Strażnik wskazał im celę i wyszedł przed więzienie.

– Pani czarownico kochana. Pani jutro spłonie, a z panią nasza nadzieja. Ratuj pani duszę, pomagając nam w niedoli. Pomóż znaleźć wiedźmę, co wyciąga mleko z wymion naszych krów – zalamentowała ta na przedzie.

– Rób coś, zanim Rychu wstanie – syknął Wiktor.

Pistacja westchnęła i machnęła ręką na przewodniczącą komitetu.

– Chodź. Powiem ci na ucho.

I znowu Pistacja wyszeptała jej dokładną instrukcję. Skończywszy, spotkała się z uśmiechem kobiety po weselszej stronie krat.

– Tak zrobimy. Dziękuję.

To powiedziawszy, zawinęła koleżanki z ciupy i zniknęły za drzwiami.

Przez chwilę byli sami, więc mogli porzucić mówienie półgłosem.

– Dobrze się bawisz, dziwołagu? – nie wytrzymał von Nacht.

– Ej. Nie nazywaj jej tak – postawił się Wiktor. Pistacja skinęła mu w uznaniu.

– Musimy stąd uciekać, a ta udziela porad!

– To pomoże – fuknęła Pistacja.

– Niby jak?!

– Cierpliwości.

Antoni prychnął i siadł na drewnianej ławce.

Przez kilkanaście minut siedzieli w ciszy. Słońce zaszło za horyzont, gdy nagle usłyszeli krzyki. I chyba darło sznupę całe miasto.

Do więzienia wpadł zaspany strażnik. Chwyciwszy miecz leżący na stole, natychmiast wybiegł.

– Zaczyna się. – Pistacja uniosła brew. – Złapali te kobiety.

Wiktor popatrzył w jej wesołe oczy.

– Co ty im właściwie nagadałaś?

– Tej pierwszej, że po zachodzie słońca ma wziąć resztkę mleka, która jej została i przelać do miski przez rozgrzany sierp, mówiąc trzy razy „trolo lolo”. Pierwsza baba, która stanie w progu jej domu, będzie wiedźmą, która zaczarowała jej krowę.

– A tej drugiej?

– Że jak chcą złapać wiedźmę, niech się przejdą przez miasto po zachodzie słońca i zobaczą spod okna, czy któraś z bab nie robi czarów z mlekiem.

– Genialne – mruknął Rodionov.

– Po co to zrobiłaś?! – ryknął von Nacht.

– Żeby się pozbyć klawisza. – Pistacja wyciągnęła z kieszeni zaśniedziałą szpilkę do włosów i mrugnęła okiem. – Dziwołagu...

Zaczęła grzebać drutem w swoich kajdanach. Von Nacht natychmiast podbiegł i wrywając jej szpilkę z ręki, uklęknął przy zamku ich celi.

– Najpierw drzewi.

Te ustąpiły w dwie sekundy.

– Szybko! – zarządził Antoni. Wybiegając z celi, rozejrzał się jeszcze po stanowisku strażnika. Na ścianie wisiał pistolet skałkowy. Zabrał go i upewniając się, że nikogo nie ma przed budynkiem, poprowadził ich na jego tyły.

– O, dobry wieczór! – Ryszard powstał. – Czy rozważali może państwo ubezpieczenie swoich domostw przed pożarem? – Wskazał na pomarańczową łunę nad miastem.

Grodzisko płonęło. Krzyki nasilały się.

Wiktor złapał go pod pachę i pociągnął za sobą.

– Chyba wiem, za co cię zamrozili.

Wzgórze szubienic ominęli okrężną drogą, kierując się w stronę lasu. Ten był już niedaleko.

– Spieprzajmy do mojego wehikułu i kończmy tę farsę – zarządził Wiktor. – Wiedźma czy nie, lepszej nie znajdziemy! Ta przynajmniej jest sprytna. Jeśli Morris chce poznać prawdę, oto prawda. Wiedźmy nie istnieją. Są tylko kobiety wiedzące. Możesz już podać nam tę szpilkę? Te kajdany są...

Biegnący na przodzie Antoni von Nacht zatrzymał się, wzdychając ciężko. Gdy odwrócił się ku nim, zauważyli zachodzącą w nim przemianę.

– Nie ma już twojego wehikułu – powiedział. – Zniszczyłem go w noc twojego przybycia.

Chwilę trwało, nim do Crusha dotarło znaczenie tych słów.

– Zniszczyłem wszystkie wehikuły. Każdy, na który trafiłem.

– Ale... Tamci dwaj, o których mówiłeś wcześniej.

– To ja ich zabiłem, kretynie. – Antoni naciągnął kurek samopału i wycelował nim w Wiktora.

– Dlaczego? – zapytał Crush łamiącym głosem. Czuł, jak łzy napływają mu do oczu.

Von Nacht parsknął.

– Będąc w hibernacji, przez wieczność śniłem ten sam sen. Widziałem w kółko te same obrazy – mówił przez zaciśnięte zęby. – Wszystkie morderstwa, których dokonałem. Cierpienie, które stworzyłem. Dlatego nie wracam. By nie dać się oszukać i znowu śnić. Nikt z nas nie wróci.

– To dlaczego nas uratowałeś? – Wzbierająca w oczach słońca ciecz rozmywała mu obraz.

– Morrisowi chodzi o wiedźmę. Chce zbadać to dziwadło. Odmieńca. Pomyłkę natury. Dla sławy i pieniędzy. Nie uratowałem was. Po prostu wiedźma nie umiera w ogniu. Można ją zabić tylko srebrem. – Włożył w lufę pistoletu szpilkę do włosów i ponownie wycelował. – Tam byłem nikim. Tu jestem kimś. Żyję na nowo, polując na cioty takie jak ta.

– Nie mów tak do niej!!! – Łzy wielkości grochu spłynęły po policzkach Wiktora.

Von Nacht wyszczerzył ku niemu zęby w obleśnym uśmiechu. Crush skulił się w sobie, podobnie jak pozostali, gdy...

BUM!

Między mężczyznami przeleciała kula ognia ze srebrzysto-błękitnym welonem iskier. Pociś trafił z impetem pyszałka, odrzucając go kilka metrów w tył.

Zaskoczony atakiem Antoni, spojrzął wybałuszonymi ślepiami gdzieś za nich.

Stała tam Pistacja i rozcierała sobie nadgarstki. Korzystając z chwili postępującego szoku u pozostałych, podeszła do leżącego na ziemi samopału. Uniosła go i wycelowała w klatkę piersiową von Nachta.

– Abra kadabra, pizdo.

Huk poniósł się echem w stronę miasta.

Wiktorowi zakręciło się w oczach.

– Wiedźma – szepnął słabo.

Ta pokazała im kolejną szpilkę do włosów.

– Tej drugiej też zwinęłam.

Zza wzgórza szubienic wybiegła siła chłopów. Mieli pochodnie, widły i cepy. Zbliżali się.

– Co teraz? – zapytał przerażony Rodionov.

– Normalnie wypięłabym się na was i zniknęła w sekundę – odparła Pistacja, pochylając się i zrywając z ziemi kilka fioletowych kwiatków. – Ale jeszcze nikt nigdy nie stanął w mojej obronie. To było... miłe.

Patrzyli na nią wyczekująco.

– A, jebać – mruknęła, patrząc na nadciągających chamów. – Lecicie ze mną?

– Lecimy – przytaknęli.

– Złapcie się mojej spódnicy – poleciła, wkładając do ust jeden z kwiatków i rozgryzając go.

– Lecimy? A gdzie lądujemy? – Wiktor wciąż był zdezorientowany. – O co tu cho...?

– Nie „gdzie”, tylko „kiedy” – uściśliła Pistacja. Widziała już wyraźnie twarze wściekłych chłopów. – Wybierajcie. Szybko!

– Za dwieście pięćdziesiąt lat, z dala od ognia! – wyprzedził Wiktora Rodionov.

– Ni...!

– ESSA! – Pistacja klasnęła nad głową.

Potężna siła szarpnęła ich w niewiadomym kierunku.

Rzucone ku nim widły wbiły się w ziemię.

*

Archiwum Instytutu Czasu mieniło się wszystkimi odcieniami czerwieni. Wyjące alarmy potęgowały niepokój historyków, którzy trzęsąc się jak osika, biegali od hologramu do hologramu.

– Co się dzieje?! – zapytał Waldemar Morris.

– Zmiana w historii Grodziska! – zaraportował jeden z mężczyzn. – W mieście spalono piętnaście niewinnych kobiet!

– Kolejna! – zawołał inny. – Masowa ucieczka z więzienia!

– Czarna Wieś pojawiła się w zapisie nagród Darwina!

– Gdzie oni są?! – Morris drżał.

– Zgubiliśmy ich!

– Tu! Są! – Błąd jak ściana historyk wskazywał na ostatni z hologramowych monitorów. Odczytując zmiany w kronikach, opadł na krzesło. – Szeffie, musi to pan zobaczyć.

Waldemar Morris podbiegł do wyświetlacza i przebiegł wzrokiem po zapiskach.

– O, Jezusie Świebodziński.

*

Wiktor ścisnął spódnicę wiedźmy z całych sił. Lecieli przez wirujący tunel w legendarnym odcieniu oktaryny. Magiczna barwa była tak cudowna i zapierająca dech w piersiach, że aż wywoływała gęsią

skórkę.

Gdzieś zza płynnych ścian tunelu przebłyskiwały raz za razem srebrne iskierki i dziwne, zamazane obrazy. Wyglądały jak stopklatki ze starych filmów, które kiedyś już widział.

Tubalny, łopoczący, niezmierny huk rozdzierał im bębni uszu i trząsał korzeniami zębów.

– Uwaga! – przekrzywała go Pistacja. – Zaraz lądujemy!

Tunel jęknął jak zraniona bestia, zwęził się do rozmiarów łebka szpilki i wypluł ich brutalnie na drewnianą podłogę.

Lądowanie było twarde i nieprzyjemne. Oprócz Pistacji wszyscy poturlali się po parkiecie.

I choć wciąż była noc, otaczał ich tłum rozbieganych ludzi w strojach z innej epoki. Słysząc było też muzykę.

Wiktor pomógł wstać kumplom, a później, uważając by nie wpaść komuś pod nogi, rozejrzał się dookoła.

– O, jesteśmy na jakimś promie. – Zauważył falujące wody za burtą górnego deku.

Gdy Crush zaczynał łączyć ze sobą wątki, Rodionov podszedł do siedzących pod ścianą muzyków.

– Witam! Dokąd płynie ten prom?

Mężczyzna z akordeonem przestał grać.

– To nie prom, tylko statek.

– Aha. A jak się nazywa?

Muzyk miał smutny wzrok.

– Titanic.



KSIĘGA V

KWARANTANNA



ROZDZIAŁ I

Skocznym krokiem po schodkach sklepu wspinał się Dracula. Gdy tylko Justyna zauważyła go kątem oka, chwyciła za odświeżacz i wybiegła mu na spotkanie.

Mężczyzna ledwie otworzył drzwi, gdy...

PSIIIK!

Aerozol skropił się na covidowej przyłbicy. Justyna uniosła brwi.

– Ha! – zatriumfował Maksym.

– Deknę cię w łeb! – Kierowniczką wzięła zamach, ale sprężynowy Maks uskoczył w bok, unosząc ręce.

– Moment! Nie możesz mnie bić!

– Znowu władowałeś brata w kłopoty!

– Ale nie specjalnie!

Justyna zatrzymała uniesione ramię, mierząc go morderczym spojrzeniem. Maksym wiedział, że każde słowo, na które się odważy, zadziała jak cyngiel dla tej katapulty. Czekał więc, aż szefowa przemówi pierwsza.

– Teraz to już w ogóle nie odpracujesz mu sprzętu. – Opuściła pięść. – Nikt ci już pracy nigdy nie da.

– Ano nie da! – zagotował się Dracula. – Kto w tym mieście dałby robotę recydywie? He? Nikt! I po co mi o tym co chwilę przypominasz! Dzień w dzień! Co ja mam niby z tym zrobić?!

Oburzenie Maksyma wyglądało na szczere. Justyna wróciła za kasę.

– Piwa też już nie dostaniesz na kreskę – skwitowała.

– A ja już nie chcę piwa!

Łooo! Macherska aż się zacięła i prawie dokonała autouduszenia śliną. Jeszcze raz zmierzyła Maksyma. On naprawdę wyglądał na wkurzonego.

Justyna zastanowiła się chwilę, a później znów wyszła zza lady. Dracula profilaktycznie poprawił przyłbicę i wyostrzył refleks.

– A może rentę sobie załatwisz? – zapytała łagodnie.

– Niby na co?

– Na żółte papiery. Romana organistę z Anyplacu znasz? No. To mówił, że wystarczy na pół roku trafić do szajbusów i jak się dobrze to rozegra, dają rentę.

Dracula aż uniósł osłonę i pokazał na siebie palcem.

– Czy ja wyglądam jakbym miał z gorym?!

Justyna przyjrzała mu się badawczo.

– No, tak trochę wyglądasz – przyznała. – Jakbyś wyjadał z butelki. Wiesz, taki niedoklepany. Zamówiony... nieodebrany.

Maks rozdziawił usta w oburzeniu.

– Oj, nie. Teraz to przesadziłaś szwagierka!

– Szwa... kto? – kierowniczką zmrużyła drapieżnie oczka.

– SZWA-GIER-KAAA! – Dracula podparł się pod boki, przestępując z nogi na nogę.

Justyna uśmiechnęła się do jego uniesionej przyłbicy. Maksym zdążył jeszcze wytrzeszczyć oczy.

– Ni...!

PSIIK!



ROZDZIAŁ II

Urszula zaprosiła do swojego przybytku kolejną „pacjentkę”. Znały się od lat. Maryla mieszkała na placu Anny. W dodatku świętej! Jeśli jednak będziecie kiedyś w Grodzisku Wielkopolskim i zapytacie o wspomniane miejsce, nikt nie będzie wiedział gdzie to jest. Ale zapytawszy, gdzie jest „anyplac”, grodziszczanie wskażą wam pięknie zadrzewiony skwer, zajmujący niemałą część centrum.

Maryla już od drzwi churchłała w chusteczkę, jakby zaraz miały jej wypaść nosem płuca.

– Cupnij se kochana. Dychnij źbiebko. – Ula wskazała na krzeselko przy starym, odmalowanym stole.

– Ah, zmachałam się. – Maryla wydmuchała nos. – Męża twojego po drodze spotkałam.

Urszula zmrużyła oczy, rzucając przelotne spojrzenie w stronę okienka.

– Pod sklepem? Miał piwo?

– Ty mu daj spokój. Wolałabym mieć takiego jak twój niż tego mojego.

Ula uśmiechnęła się pod nosem.

No tak. Oczywiście.

I nie mogła się powstrzymać, by nie zahaczyć tego hitu.

– A co tam u Romka organisty? – zapytała.

Maryla prychnęła.

– Ady mi nie godej – zaciągnęła po grodzisku.

– Oj, przesadzasz – podpuszczała ją Urszulka.

– No! – Churchłokowi na same wspomnienie zwężyły się źrenice i przedsiionki serca. – Zamknęli go u trzepniętych na pół roku.

– Ale rentę dostał – wskazała ten jeden plus Urszula.

– Tylko całe miasto wie, że chłopu mam głupiego!

– Oj Marylcia, Marylcia... Moja babcia, zawsze powiadała, że chłop dobry na męża to musi mieć tylko tyle rozumu, żeby wiedzieć jak się skarpetki zakłada i myśleć, że jest mądrzejszy od swojej baby.

– Hm. – Maryla zdusiła w sobie kolejny atak kaszlu.

Przez chwilę dumwały w ciszy.

– A tego mojego to gdzie w końcu widziałaś? – Ciekawość zwyciężyła nad Macherską. – Był pod jakimś sklepem albo z piwem szedł?

– Nie. Mówił, że do mamusi jedzie. To taki złoty człowiek.

– Do mamusi?! Pelagii? Przecież on jej nie odwiedza. Tylko w święta i to z przymusu. No i on by tak daleko nie szedł.

– Mówię, że jechał. Na rowerze. – Churchłok machnął ręką.

Ula spojrzała Maryli prosto w oczy, a w jej samych, zatańczyły ogniki.



ROZDZIAŁ III

– Tato! – Szymek wpadł do kuchni jak granat. – Mogę pożyczyć twój rower?

Widać było, że bardzo mu się śpieszy.

– A dokąd się wybierasz? – Michał stał na swoim posterunku wartowniczym przy oknie. I może to dzięki piosence *Aquarius/Let the Sunshine In*, którą wygrywało kuchenne radio, a może przez niezwykłe skupienie wyglądał jak posąg atlantyckiego bóstwa strzegącego wrót do wszechwiedzy.

Ale jak się zaraz okaże, wrażenia bywają mylne.

– Jedziemy z Ebołą i Borsukiem nad jezioro do Kuźnicy. Mama ci nie mówiła?

Michał pierwszy raz słyszał.

– Coś mówiła.

– To jak? Mogę?

– No, nie wiem...

– Tato! – W głosie Szymka rezonowała struna pretensji. – To nasza kumpelska wycieczka z okazji rozpoczęcia wakacji. Mama powiedziała, że jak będę mieć średnią pięć zero, to mogę jechać.

– Pięć zero? – Michał wyrzwał w stronę garażu, chcąc dostrzec czającego się w półmroku Maharadzę. Wiedział, że staruszek tylko czeka, aż ten straci czujność. – Tylko?

– Miałbym większą, ale z niemieckiego dostałem czwórę. Czekaaj, przyniosę ci zeszyt i mi powiesz, czy faktycznie źle napis...

– Dobra, możesz – uciął Michał, który wystraszył się słowa „niemiecki”. Chcąc zamaskować speszzenie, pochylił się jeszcze odrobinę, czując już na czole ciepło bijące od rozgrzanej szyby. – Tylko uważajcie, żeby was ktoś po drodze nie potr...

Michał zamilkł.

– Tato?

W sekundę jego twarz stała się terytorium rozszarpywanym przez takie państwa zaborcze jak Szok, Niedowierzanie, Podziw ibarbarzyńska Furia.

Szok, bo Maharadża pojawił się od strony wjazdu na posesję, a nie od garażu.

Niedowierzanie, bo szedł o własnych siłach.

Podziw, bo miał jeszcze moc ciągnąć za sobą potrzaskany rower Michała.

Furia, bo noż bulwa jasna, jak on to zrobił?! I kiedy?!

– Tato?

– Zabiję go – ten szepnął tylko i już biegł do garażu. Szymek ruszył w ślad za nim.

Gdy wpadli tam obaj, osaczony Maharadża siedział na taboreciku, przekładając przez głowę prowizoryczny temblak z ręczników.

– Czy ty jesteś normalny?! – krzyknął Michał, wskazując na wrak roweru. – Mogłeś kogoś zabić!

– Mogłem – przyznał, gdy nagle dostał wiatr pod werbalne narty. – Ale mi uciekł—H...a.

W podziwieniu za to brawurowe lądowanie Michał aż uniośł brwi.

#flashback

Pedały trzeszczały pod byczym naciskiem sfatygowanych łączków.

Ludwik jak koń z klapkami na oczach widział tylko jeden cel swej podróży. I to wcale nie był sklep.

Oj nie. On jechał po coś znacznie ważniejszego.

Po piwo to wjadę na powrocie – uspokoił sam siebie, no bo to aż dziwnie się słyszało, choć tylko w jego własnej głowie.

Wyjeżdżając, spod zielonego baldachimu drzew, prawie przeskoczył nad przejazdem kolejowym i z uśmiechem pod nosem...

FAH!

Nieludzka, czarna siła ze znacznikiem opła na masce wysadziła go z siodła i z łączków. Uderzenie przybyło od strony bagażnika.

Ludwik, szybując w przestworzach, leciał tak długo, że zdążył jeszcze pomyśleć, że na powrocie wyśle sobie totolotka, a sekundę później, że najbezpieczniej będzie upaść na plecy, zabezpieczając potylicę zaplecionymi dłońmi.

Lądował przy akompaniamencie pisku opon i szumu przelatujących gdzieś nad nim, dwóch skórzanych bumerangów, czytaj łączków.

Łup!

– Łaaaaa! – Maharadża rąbnęła o asfalt i leżała tak przez chwilę z rękoma pod głową jak na czarnej, wulkanicznej plaży.

– O Jezu, o Jezu! – usłyszał kobiecy głos, nadbiegający od strony czarnego opła.

Kobieta w kwiecie wieku, wyglądała na roztrzęsioną. Uspokoila się dopiero na widok mrugającego do niej Ludwika.

– Och! Panie Maharadża! – odsapnęła i pochylona wsparła się dłońmi o kolana. – Ale mnie pan przestraszył! Już myślałam, że naprawdę kogoś potrafiłam, a to tylko pan!

Ludwik uśmiechnął się przepaszająco.

– Ale z pani szczęściara.



ROZDZIAŁ IV

Choć było już grubo po szesnastej, słońce prażyło z mocą reaktora jądrowego. Czyste, błękitne niebo odbijało się w lekko pofalowanej tafli jeziora. Otoczony zewsząd lasami i piaszczystymi plażami akwen wyglądał jak z ilustrowanej Biblii dla dzieci.

Szymek wiercił się w siedzisku roweru wodnego. Po podróży do Kuźnicy, którą odbył na bagażniku Eboli, wciąż bolał go tyłek.

Teraz to on, do spółki z Borsukiem, pedałowali, spoglądając co jakiś czas na „pakę”, gdzie Ebola dochodził do siebie. Chłopak miał na sobie kapok, taki sam zresztą jak Szymek. Natomiast Borsuk dostał aż dwa.

– Jeden może go nie utrzymać – oceniła babusia z wypożyczalni.

– Płyniemy na dziką plażę? – zaproponowała maskotka firmy Michelin.

– Chcesz wyjść na pomost poskakać? – Szymek spojrzał we wspomnianym kierunku. Było tam mnóstwo ludzi.

– Nie. Na pindy sobie popatrzymy.

No pewnie, że na pindy! Nie zapominajmy, że akcja dzieje się na rowerze wodnym, po brzegi załadowanym czternastolatkami.

– Cała naprzód – jęknął z paki Ebola.

Rower zabulgotał głośniejsze, skręcając w stronę plaży.

– Macie bryle przeciwsłoneczne? – zapytał Robert, zakładając swoje.

– Mam. – Ebola sięgnęła do tornistra. – Ojciec mi kupił po tym, jak w zeszłym roku na wakacjach w Mielnie, jakaś stara mela zrobiła mi jazdę, bo patrzyłem jej na gruczoły mlekowe.

– Ile miała lat? – zaciekawił się Szymon.

– Ja wiem? Stara była. Z dziewiętnaście mogła mieć.

– Ha! – parsknął Borsuk. – Mamy na pokładzie milf huntera!

– A ty to niby jakie będziesz oglądać?

– No jakieś w moim wieku.

– Za to jest paragraf – wyjaśnił Ebola. – Knyf polega na tym, że musisz patrzeć od piętnastu lat wzwyż.

Po kilku minutach rowerek podpłynął do plaży od strony wysokiego tataraku. Zwolnili, wpadając w dryf.

– Co teraz? – zapytał Szymek.

– Udawaj, że się opalasz. – Borsuk zaplótł ręce za głowę, żeby opalić pachy. – I patrz. Tam na pomoście jest taka masna salacha.

– Ta na pomarańczowym ręczniku? – Szymek starał się nie patrzeć bezpośrednio na nią.

– Tak – rozmarzył się Borsuk. – Taką bym chciał mieć.

– I co ty byś jej niby zaoferował? – parsknął Ebola z plecakiem pod głowę. – Gzike z olejem lnianym?

– Zamknij sznupe. – Borsuk poczuł się urażony. – Zrobiłbym jej taką motorówkę, że mała bania.

– Motorówkę? – zdziwił się Szymek. – W sensie chlapaka byś jej luźną?

– A ty co byś zrobił?

– Najpierw bym jej czymś zaimponował, żeby to nie była jednorazowa inscenizacja.

– Ej, patrzcie! – Borsuk namierzył kolejną dziewczynę na pomoście. – Czy to nie jest Vanesska, laska Eryka?

Ebola aż uniósł się na łokciu.

– Ty. Faktycznie – mruknął. – To jest dopiero dracheta.

– Sama jest? – Szymek poczuł niepokój.

– Sama. – Borsuk nie mógł uwierzyć we własne szczęście. – To jest foka prima sort. Cała szkoła o niej trzepie.

– Ty masz nagibane we łbie.

– EJ! – wrzasnął na nich ktoś z pomostu.

Borsukowi zemdląła żuchwa. To Eryczek. Wracał na plażę z dwiema zapiekankami.

– Święty Judo Tadeuszu... – Ebola wstał, co tylko pogorszyło sytuację.

Eryk spojrzał na tipi z jego kąpielówek.

– EEE!!! Wypad, mali koniobjicy! – wrzasnął, przykuwając uwagę całej plaży.

– Tak jest. Już sobie płyniemy! – burknął Borsuk, naciskając na pedały, ale te ani drgnęły. To Szymek blokował je swoimi stopami. – Ocipiałeś? Co ty robisz? Spadamy stąd.

Vanesska opuściła przyciemniane szkła, przyglądając się chłopakowi z zaciekawieniem i uśmiechem Mona Lisy. Ona naprawdę się uśmiechała!

Szymek poczuł, jak ktoś wlewa mu do klatki piersiowej całą odwagę świata.

– Tej! Eryczek! – zawołał.

– Moniu, proszę cię. Nie odpierdalaj gazeli. – Ebola miał łamiący się głos.

Szymek wypiął pierś i...

– Rylej dzidę!

Vanesska rozdziawiła usta w podziwie.

– Widzicie? O to chodzi – powiedział Szymon do kumpli.

– AAA! – ryknął w odpowiedzi Ebola, bo oto Eryczek skoczył do wody na banię.

– W nogi! – Borsuk depnął z całej siły.

Szymon odzyskał instynkt samozachowawczy i mu pomógł, lecz niestety rower nie chciał się rozpędzić, a po chwili znowu wpadł w dryf.

– Aniele Boży, Strózu Mój, mam z kupłami niezły gnój... – modlił się Ebola, widząc torpedujące ich Nemezis.

– Czemu nie płyniemy?! – Szymon pedałowal coraz szybciej.

– Łańcuch spot! – płakał Borsuk. – Łańcuch spot...

– ...jak na łądzie, tak i w wodzie...



ROZDZIAŁ V

Wieczór byłby o wiele piękniejszy, gdyby nie górująca nad nimi babcia.

Szymek z limem pod okiem i Maharadża w gipsowym stroju żółwia ninja siedzieli na ławeczce, wysłuchując jej tyrady.

Urszula wyzywała ich od dziesięciu minut i ani razu się nie powtórzyła. Wyczyn ten doceniali również rodzice chłopca, którzy z zatroskanymi minami stali za falującą Ulą.

– Słucham! Kto ci to zrobił? – zapytała chłopca.

Dziadek rzucił mu ukradkowe spojrzenie. Szymek pokręcił głową.

– Nikt.

– Nikt? Samo ci urosło! Jęczmień śliwkowy!

Chłopiec spuścił wzrok, wpatrując się w czubki trampków. Michał był wkurzony na syna, że wdał się w bójkę, ale z drugiej strony cholernie dumny, że chłopak nie kabluje.

– A ty?! – Ula wymierzyła palcem w Ludwika. – Czyje auto znowu potraciłeś?!

– Niczyje.

– Jak cię zaro rne bez łeb, to na chlyb bydziesz mówiól byp, a na muchy ptapy!

– A zamiast Ula, byde mówił Ujja.

Babcia zatowarowała się tlenem i odczekała, aż mroczi znikną jej sprzed oczu.

– A po jaką cholereę szedłeś dziś do swojej matki? – zapytała, gdy furia zelżała do poziomu złości.

– Ojciec szedł do babki? – zdziwił się Michał. – Przecież starka myli go z Adamem Mickiewiczem.

– A ciebie ze Słowackim – odparował celnie Maharadża. – Ktoś ci nacyganił, a ty łykłeś jak dzik pyrę.

Michał zmarszczył brwi w zastanowieniu, natomiast babcia schowała się za kurtyną własnych dłoni i cichutko wzniosła modlitewną prośbę o radę:

– Panie Chrystusie wraz z apostołami, co mamy zrobić z tymi ciećwierzami?

Nie doczekawszy się instrukcji z niebios, spojrzała na rodziców Monia i wskazała im podbródkiem wyjście z ogrodu.

Maharadża uśmiechnął się półgębkiem. Zbyt pochopnie.

– I jeszcze jedno – zwróciła się do niego Ula. – Niech tylko zobaczę, że robisz sobie w tym pancerzu wywietrzniki, to...

– Ale piwko mogę? – wpadł jej w słowo dziadek. Babcia warknęła coś pod nosem i odmaszerowała. Ludwik odprowadził ją wzrokiem i poklepał markotnego wnuka po plecach.

– Dobra robota. Zachowałeś się jak prawdziwy facet – pochwalili.

– Prawdziwi faceci dostają w cynder?

– Sznupa nie szklanka, a honor nie odrasta.

Szymek zapisał sobie to w pamięci. Później spojrzął na stolik, gdzie pod zeszytami krzyżówek leżały jego najnowsze wydruki.

– A co powiesz o tym?

– Eleganckie. Teraz jest baza. Od razu widać, że pisałeś dla siebie. Tak musisz pisać zawsze.

– Serio?

– Serio. Jest gitowa. Dobrze, że pogrzebałeś trochę w historii i ją wplotłeś. Gitara mandolina. Nie bój się nią kręcić na lewo i prawo. Możesz ją ponaciągać. Książki rządzą się swoimi prawami. Możesz w nich pisać co chcesz i jak chcesz...

– Dziadku? – Szymek przyglądał mu się z konsternacją.

– I wiesz. Możesz też pozwolić sobie na większe rojberstwo. Na książkę nie masz wydzielonych bejmów, w sensie forsy, budżetu, jak w filmach...

– Dziadek!

– Co?

– Ale ty mi już to mówiłeś przecież.

Chłopiec zastanawiał się, czy dziadek go nie cygani i czy rzeczywiście przeczytał jego książkę?

A może strzela ogólnikami i chachmynci, żeby nie zrobić mi przykrości? – zastanawiał się Szymek, wypatrując w twarzy Ludwika oznak owego chachmyncenia. – A może jemu się już na starość wszystko pomyrdało we łbie?

– Tak? – Maharadża poszperał w pamięci. – No, bo to ważne. Niektóre rzeczy czasami lepiej powtórzyć dwa razy, niż raz zapomnieć.

– Serio? A jak ma na imię ta moja czarownica?

Ludwik spojrzął na stolik obok ławki i wskazał podbródkiem na miseczkę z orzeszkami.

– Pistacja, mały młotku. – Dziadek znowu klepnął go przez bark. – Chodź do garażu, pomożesz mi to zdjąć. – Postukał się po gipsie. – Wyglądam w tym jak Donatello.

– Ale babcia...

– Nie peniaj. Jakby co, to ja ci karę wymyślę, a odkupienie już masz, nie?

Szymek spojrzął na wydruki.

– No dobra. Chodźmy zrobić z ciebie Splintera.

– To był ten boomerski karate-szczur?!

– Chodź, chodź.



ROZDZIAŁ VI

Przenieśmy się o kilka tygodni później...

Sierpień, 2020 rok

– Elo, elo. – Szymek odebrał połączenie, przykładając do ucha telefon wielkości płyty chodnikowej.

Od ostatnich wydarzeń, które jawiły się w głowie jego ojca jako odcinek specjalny Benny Hilla, minęły trzy tygodnie.

– Jak tam byq? Już po kwarantannie? – zapytał Borsuk.

– Od dzisiaj luz.

– A było ci coś?

– Mnie nie, ale ojciec po czwartym dniu stracił węch i smak. Trochę się speniał i kazał sobie kupić najostrzejsze czipsy w biedrze. Wiesz, on nie lubi ostrego. Zaraz po tym rzyga.

– No i co?

– Nic. Tylko sobie papę obtarł.

– Mój stary był lepszy. Jak matka powiedziała, że straciła smak i węch, to chciał ją stestować i dał jej śliwkę z nalewki na spirycie. Po wiedział, że to z kompotu, bo ona nie lubi alkoholu. I się nie zbawiała! Ty byś po takiej jednej miał taki Wietnam w sznupie, że idź pan w pyry!

– Aż tak?

– Na fakcie! A skumaj, że mój stary, jak to odkrył, to wykminił kolejny genialny plan. Cały wieczór jej te śliwki nosił. „Mosz tu śliwkę, mosz tu śliwkę – mówił. – Śliwka dobra na wirusa”. Po godzinie matka miała taką szpulę, że nie mogła wstać. W oczach stroboskopy, patrzy na ojca, a ten: „Matko Bosko, Mirka co ci jes? Co ci jes?”. A matka na to „łala ła” i jej się słowa do referatu wyczerpały. Tak ją pomojtało! Za sekundę była już bejt, to ojciec tak się wykielczył, że se prawie wąsa podarł. A potem... Powiem ci tak, mój stary to się nawet nie cyrtolił z wyniesieniem jej do sypialni. – Borsuk wypuścił powietrze z płuc. – Obejrzelśmy razem meczycho i nikt nam nie brynczał. A co u ciebie? Miałeś jakąś inbę? Chociaż mojego starego nie przebijesz nawet Javelinem.

Szymek odchrząknął.

– Javelinem nie. Ale Maharadzą już tak. Stoisz?

– Siedzę.

– To wstań i słuchaj to.

Moniu wzięł głębszy wdech, by pozierać myśli i o niczym nie zapomnieć.

#flashback

Dokładnie tydzień po wizycie Maryli z Anyplacu, błogosławione „nic” zamieniło się w danie o smaku upokorzenia i klęski.

A zaczęło się od niewinnego pokasywania Urszuli, która próbowała to leczyć czosnkiem na spirytusie. Początkowo kaszlała nieśmiało i po kryjomu, ale po dwóch dniach to już tak całkiem śmiało. Ula jak to Ula, do końca próbowała się z tym maskować, niestety, jej starania wyglądały jak czołg ukryty w truskawkach.

Wiedźminem, który wytropił i przyparł do muru churchloka, był nie kto inny jak Michał Lwie Serce.

– Wszystko dobrze? – zapytał.

Babcia odkaszlała, że tak.

– Super – pokiwał łbem. – To ja idę wezwać karetkę wymazową.

Ula wytrzeszczyła na niego oczy i zakaszlała jakąś groźbę.

– Dobrze godosz, ino źle zymby skłodosz – pochwalił ją z sarkazmem syn i pomaszerował po komórce.

Swoją odwagę zachował aż do chwili przyjazdu owej karetki, gdy okazało się, że badanie nie ominie pozostałej części rodziny.

Na tę rewelację Michał uśmiechnął się do kobiety w stroju nurka głębinowego i powoli spojrzął na Maharadzę.

Różne rzeczy ludziom w głowach grają, a w głowie Michała odbywało się właśnie bałkańskie wesele i musiało być na nim grubo po północy, bo Goran Bregović skakał po puzoniście. Natomiast w głowie Maharadzy chór Aleksandrowa odrzucił na bok nuty i pobiegł do zbrojowni po karabiny i granaty.

Lekarka, krokiem gumowo-młazszczącym zbliżyła się do Ludwika z patyczkiem w rękę.

– Tylko spróbuj włożyć mi ten owatowany maszt do kluka, to rozjadę wam tę karetkę rowerem. – Zagroził unosząc palec.

Ludwik przeżył wymaz najgorzej. I przeżył go tylko cudem.

– Proszę się nie ruszać! – krzyknęła lekarka, podskakując na nim jak na mechanicznym byku, którego przytrzymywała cała rodzina, pielęgniarz i kierowca karetki.

– AAA!!! – wyraził swój sprzeciw dziadek.

– Przestań się stalować, ty stary śruple! – warczał upocony Michał.

Ludwik spojrzął na niego przekrwionymi ślepiami i zatrzymując się na chwilę, jęknął:

– Ty faryzeuszu. Nie jesteś moim s...

Lekarka wykorzystała to okienko emocjonalne i udaremniając kolejną w tej rodzinie ekskomunikę, wpechnęła Maharadzy kij w klamkę. Zrobiła to nie tylko sprawnie, ale i z całej siły.

Kierowca z pielęgniarzem zareagowali, jakby właśnie zdobyli mistrzostwo świata, strzelając zwycięską bramkę w doliczonym czasie. Reszta rodziny Macherskich najwyraźniej była ich kibicami, bo zaczęli im klaskać. Tylko Maharadza wodził nieobecny wzrokiem po ich twarzach i macając się po nosie pytał:

– Tej, mam zmieniony głos?

– Nieźle nam poszło – uśmiechnął się Michał.

– Tak – przyznała lekarka i sięgnęła po kolejny patyczek. – Teraz pan.

– Ja? – Michał zbladł. – Ale ja nie jestem w grupie zagrożenia. Nawet nie miałem z nimi kontaktu. Nie ma potrzeby. Ja się czuję dobrze.

– Musimy.

Michał pokiwał w zastanowieniu głową.

– Nie.

Maharadża usiadł jak wskrzeszony Łazarz, tylko minę miał jak Judasz.

– Ja wam go przytrzymam – bardziej zapowiedział niż zaoferował.

Gas! Gas! Gas, gas, gas, gas! – krzyknął mu między uszami Goran Bregović z ziomekmi.

– Halo, halo, halo! Ej! – trafiła w nutę lekarka.

– NIE!

Przez resztę dnia i pół nocy Michał siedział na werandzie domu, czując się, jakby mu ktoś przestawił zwrotnice między zatokami a duszą. Dumał o istocie świata i zastanawiał się, co poszło nie tak w jego życiu. Do takich filozoficznych rozmyślań popchnął go kijoszek, którym medyczka strzeliła go w migdał przez nos.

Michał spojrział na swoje zdarte kolano i podarte jeansy.

Dopadli go w ogrodzie. Pod modrzewiem.

Macherski westchnął do księżycy.

Najgorsze było to, że do teraz nie wiadomo, gdzie się podziała ta wata, która spadła z pierwszego patyczka.

Michał otarł łzę.

O trzeciej w nocy nadeszły ostateczne wnioski jego rozważań egzystencjalnych. Urodził się za wcześnie, żeby zostać młodzieżową gwiazdą internetu, i za późno, żeby zbić majątek na zmianie stroju w Polsce. Był za to w idealnym wieku, by przeżyć Czarnobyl, władować się w kredyt i stracić resztkę godności, kończąc z tyczką do skoku w dal głęboko w nosie.

Natomiast o godzinie siódmej trzydzieści rano nadeszły wyniki wymazów.

Wewnętrzna orkiestra Michała przerzuciła kartki z nutami.

*

Justyna z niepokojem przyglądała się mężowi, który stał przy oknie z komórką przy uchu.

Radosną nowinę przekazała mu niezwykle spokojna pani z sanepidu. Miała głos stewardesy, w matczynej i kojący sposób informujący pasażerów, że ogólnie to jest kibel i zaraz rozbiją się o zbocze góry.

– Spokojnie. Nic złego się nie dzieje. Pani Urszula i pan, panie Michale, otrzymaliście pozytywny wynik testu. To znaczy, że zostajecie objęci dziesięciodniową kwarantanną domową, liczoną od dnia wczorajszego. Pozostali domownicy będą zmuszeni pozostać na niej przez siedem kolejnych dni od chwili uznania państwa za ozdrowieńców.

– Hym. – Michał zmrużył oczka, zastanawiając się nad znaczeniem słowa „spokojnie”.

Po tej rozmowie długo wpatrywał się w okno. Zniecierpliwiona Justyna odchrząknęła, przypominając o swojej obecności.

- I co powiedziała? – zapytała niepewnie.
- Coś w stylu... Cześć Tereska, chodź do pieska.
- Ale wszyscy?!
- Wszyscy. – Michał spojrział na garaż. – To będzie rzeźnia.
- Trzeba mu powiedzieć, jakie są zasady kwarantanny – mruknęła Justyna.
- Weź różaniec i idź. Ja osłaniam tyły.

*

– Jak to nie mogę wyjść z posesji? – zapytał Ludwik, pocierając wiekową finką o osełkę. Ostrze chrobotąło jak w horrorach.

Michał przełknął ślinę. Najgorsze już powiedział, teraz schował się za Justyną i szturchnął ją w plecy, żeby mówiła.

– No nie może ojciec, bo za to jest wysoki mandat – podjęła, mając pełną świadomość, że tłumaczenie czegokolwiek Maharadzy spełni taką samą rolę jak literka „g” w słowie „lasagne”.

– Nawet jak wyjdę przed bramę pozamiatać chodnik? – Ludwik uniósł nożyk pod światło i przyjrzał się ostrzu.

– Chodnik to jest już miejsce publiczne.

– Ale jak zimą nie posypię na niego popiołu i się ktoś wyrznie na lodzie to już nie jest publiczne, tylko moje? – kombinował starszerek.

– Tato. – Justyna traciła cierpliwość. – Nie możesz mieć kontaktu z nikim spoza naszej rodziny.

– Nie? – Ludwik cmoknął i zamknął szczyryk. Schował go do kieszeni. – A to mi trochę za późno mówisz.

Michał wystawił zza małżonki łeb, w którym dyrygent Goran postukał batutą o podkładkę z nutami.

– Jak to za późno? – zapytał złękniony.

– Bo rano odebrałem od kuriera paczkę dla ordynatora. – Maharadza wskazał podbródkiem kartonik pod ścianą. – Tam stoi.

Hey! Klashnikov! Kalashnikov!

Wewnętrzna orkiestra Michała brzmiała, jakby uciekała po torach przed parowozem, nie przestając grać.

Ludwik otarł ręce w kawał szmaty i wychodząc z garażu, poklepał syna po ramieniu.

Boom! Boom! Boom! Boom!

Po połknięciu trzech Aviomarinów Michał zdobył się na odwagę i zadzwonił do sąsiada.

– Dzień dobry, panie doktorze, Macherski z tej strony. Mam takie pytanie, bo był u was kurier, ale nikogo nie zastał i... Co pan zamówił?

– Sandały. Wiesz, teraz takie upały. W butach już nie wyrabiam.

– Aha. No to jeszcze trochę musi sąsiad wyrobić.

Korzystając z chwilowej niemocy ordynatora, Michał wyjaśnił mu, co się stało, przepraszając średnio co pół zdania, a chwilami to i nawet co drugą sylabę.

– Dobra, Michał. Nie przejmuj się. Moi rodzice też przechodzili covid dwa miesiące temu. Mieli jeszcze gorzej, bo mieszkają w bloku. Matka nie mogła zrozumieć, że nie może iść do piwnicy, bo przecież piwnica jest ich.

I tak się jakoś zbratali tymi historyjkami o niesfornych rodzicach, że się aż nawet miło zrobiło. No jak na grillu!

– Dłatego ustaliliśmy z rodziną, że będziemy trzymać na zmianę wartę przy oknie – pochwalił się nowemu kumpłowi Michaś. – Żeby przypilnować tego starego pierdziela.

– Świetny pomysł. Sprawdza się?

– Najlepiej! Tu nawet podmuch wiatru się nie przeciwie bez mojej wiedzy.

– Byłeś w wojsku?

– Pewnie! Jednostka siedemnaście czterdzieści dziewięć, Stargard Szczeciński. Cudowny czas, cudowne szkolenie i najlepsi dowódcy. Myślę, że wycofanie poborów to straszny błąd.

Ledwie się rozpędził, a już musiał hamować piętami. Jego wewnątrz Goran już rozpinał ancug przy pulpicie z nutami.

Pod parapeitem śmignęło coś siwego.

– Ordynatorze, muszę pana przeprosić...

– Mówiłem. Nie musisz.

– Muszę.

– Nie musisz.

– Muszę. – Michaś szarpał się z klamką od okna, by wyrzucić na podjazd w celu potwierdzenia swoich obaw.

– No dobra. Jak ma ci być od tego lepiej, to mnie przeproś.

– Przepraszam, ale właśnie ojciec skindżył mi z posesji!

Łupu-pupu-pu!

Balkańskim muzykantom prawie popękały tuby i puzony, a najlepszy wartownik w mieście rozłączył się i drąc laki do wyjścia, podniósł alarm, tak jak uczyli go w wojsku, tylko że z małą domieszką pyrlandzkiej mowy:

– W CAŁYM DOMU AAALARM!!! AAALARM!!! AAALARM!!! MAHARADZA UĆKNUŁ!!!

W sekundę Justyna z Szymkiem dołączyli do szaleńczego pościgu, lecz gdy tylko wypryśli zza winkla domu, czas zwolnił i wydawało im się, że biegną po pas zanurzeni w wodzie.

Jak na *słow motion* widzieli Ludwika, który właśnie rozmawiał z sąsiadem z naprzeciwka. Zagadnięty mężczyzna, też senior, skinął głową i zaprosił Maharadzę, by ten wsiadł do jego czerwonej strzały.

Zanim stary Macherski zatrzasnął za sobą drzwi, zdążył im jeszcze puścić oko. I było w tym mrugnieniu coś zawadiackiego, jak u tego pierduśnika, Indiany Jonesa, który rozgryzł antyczną łamigłówkę.

– STÓJ! NIE WOLNO CI! – darł się Michaś.

– DO JASNEJ ANIELI, TATO! – pomagała mu zdesperowanym głosem Justyna. – STÓJ!

– DZIADEK, TY EJBRZE! – dołączył się Szymek, którego porwał wartki nurt emocji.

Auto odjechało, warcząc jak Messerschmitt i kopcąc na niebiesko.

Macherscy sapali jak zgrzane konie po gonitwie. Wisieli bez sił na bramie wjazdowej. Właśnie wtedy przyczłapała do nich kaszłaca Urszula. Sił miała jeszcze mniej niż oni, lecz zaparcia o wiele więcej. Tego jednego choroba jej nie potrafiła odebrać.

– Czego się... tak drzecie... jak stare gacie? – Kobicinka musiała robić przerwy na zaczerpnięcie powietrza.

– Ojciec... – Michał miał w oczach streszczenie wojny wietnamskiej na jednym slajdzie. – Uciekł.

– Tylko dokąd? – zastanawiała się Justyna. – Nie pojechał w stronę sklepu. Ale dlaczego z sąsiadem? Nigdy tak nie zrobił!

Michał napiął się jak byk na corridzie.

– Bo ten stary bambosz wie, że zaraz zapomni, gdzie chce jechać i po co. Dlatego poprosił o podwózkę, póki jeszcze klei.

– Jak to zapomni? – zapytała Ula.

W odpowiedzi Michał podszedł szybko do karmnika i pokazał im świeże ziarenka na jego dnie.

– Bo on zapomina! Już od jakiegoś czasu! Nie zauważyliście?! Nasypał ziarno dla gołębia, który kojtnął na wiosnę!

Urszula z ogromnym wysiłkiem podeszła do płotu i powiodła wzrokiem w stronę, w którą odjechał Ludwik z sąsiadem.

– Wiedziałem – mruknął cichutko Szymek, a gdy zorientował się, że wszyscy go słyszeli, powtórzył głośniejszym głosem. – Wiedziałem, że coś jest nie tak. Dziadek powtarzał się w rozmowie, jak gadaliśmy o mojej książce.

– Widzicie?! – Michał wskazał na syna, by po chwili schować twarz w dłoniach.

– Ale gdzie on mógł pojechać? – Justyna nie odrywała wzroku od ulicy.

Z odpowiedzią przysłała im lejąca się przez palce Urszula. Koronowirus może i wycisnął z niej resztki siły i energii, lecz nie odebrał jej sowej bystrości.

– Pojechał do mamusi – mruknęła grobowo.

*

Na zapleczu sklepu zawibrował odłożony na półeczkę telefon.

Pracownica pawilonu strzeliła balonem z gumy i sięgnęła po aparat, nie spuszczać z oczu swoich dziwnych klientów.

– Halo, kierowniczką?

– Marta, potrzebuję pilnej pomocy! – Justyna dyszała do aparatu. – Kto jest z tobą teraz w sklepie?

– Przed chwilą był Maradona, ale już wyszedł. I Lincoln jest chyba na rampie, bo słyszałam, jak ktoś z niej spadł i mu się piwo zbiło.

– Kto jeszcze?

– No, Dracula jest przy stojaku z gazetami. Ale nie dotyka, bo wie, że jak ma żalobę za pazurami, to nie może.

Stuk! Stuk! Stuk! – Goran już stawał w gotowość muzykantów, unosząc batutę.

Przez kilka sekund na linii było słycać tylko ciężkie wdech i wydech.

– Dracula?

– Nie ma, kurwa, takiej opcji! – krzyknął gdzieś w tle Michał. Najwidoczniej rozmowa toczyła się na głośnomówiącym.

– A masz inną?! – wrzasnęła szefowa, by po chwili wrócić do rozmowy z pracownicą. – Marta... daj go do telefonu.

Goran Michała pocił się w świetle reflektorów, czekając na najlepszy moment. Już? Nie już? – zastanawiał się, łypiąc okiem to w jedną mańkę, to w drugą.

– Uszanowanie, kierowniczką! – usłyszeli po chwili Macherscy.

Ten gość nawet głos miał sprężysty!

– Co się...

– Maksym, musisz nam pomóc! Jesteśmy na kwarantannie i ojciec nam uciekł. Zmierza prosto do babci Peli. Możliwe, że jest chory i może ją zarazić.

– I że zaraz straci pamięć – dodał Michał.

Gdyby uśmiech kwitnący pod nosem miał jakiś dźwięk, byłby tą ciszą w słuchawce.

– O, Agca! – Maks przesunął granicę swego państwa. – To macie przypała. Jak go ktoś zobaczy na mieście i uprzejmie podpierdoli, to będzie kara z sanepidu... trzydzieści tysięcy, nie?

Goranowi zadrżała ręka, ale wytrzymał. Puzoniści już z powietrzem w ustach, prawie pospadali ze stołków.

– Wiem!

– Cieszę się, że wiesz.

Michał zacisnął szczękę, aż mu pękło szkliwo na ósemkach. Doskonale zdawał sobie sprawę, co się zaraz wydarzy.

– A powiedz mi, brat, ile ja ci jeszcze muszę bejmów odpracować?

Coś zarzęziło w słuchawce. Najwyraźniej trwał tam właśnie mecz rugby, w którym Justyna zamotała się z mężem, żeby ten nie zrobił przyłożenia telefonem o podłogę.

– To jak? – Dracula przyglądał się swoim brudnym szponom jak po wizycie u kosmetyczki.

– Nie ma mowy!

– No to co? Jakby nie było, było bardzo miło...

– CZEKAJ! – ryknął Michał. Sapał jak parowóz. – Dobra.

– Co dobra? – delektował się Maksym.

– Dobra, umorzę ci dług.

– Naprawdę? – przyktożył chlor. – Zrobiłbyś to dla brachola?! O szczęście niepojęte, Bóg sam...

– Tylko go, kurwa jasna, przyprowadź!

– Minuta osiem... Agca. – Dracula rozłączył się, nasunął na twarz przyłbicę covidową i poprawił płaszcz jak strażnik Teksasu.

– Z drogi parzygnoty niecyrne! Pan Dracula ciśnie ratować świat!

Pracownica rozejrzała się po pustym sklepie.

– Ale tu nikogo więcej nie ma.

– Wiem. Ale jak kiedyś ktoś nakręci film o moim życiu, to ta scena będzie wyglądać zajebicie.

Goran uśmiechnął się szeroko i machnął ręką.

Teraz!

Dam gitarę, dam samochód, żony nie dam, nie!

Grajkowie pociskali na dęciakach, jakby po czoło stali zakopani w kokainie, gdy czerwona strzała, rocznik osiem sześć, mknęła przez miasto.

Grodziski Avengers specjalnej troski ścierał podeszwy trzewików, wyciskając z siebie resztki epy. Biegł z ikrą w ruchach, obrazem ogromnej gotówki w głowie i permanentnym deficytem w wyobraźni, co zaowocowało zdarzeniem drogowo-pieszym już na pierwszym skrzyżowaniu gąski z ulicą.

ŁUP!

Maksym przeturlał się przez maskę hamującego z piskiem auta. Kierująca nim kobieta rozdziawiła kalafę i podziwiwała, jak grodziski Neo, robiąc wachlarz z płaszcza, ląduje bez szwanku na chodniku.

– Cześć, Ewka. Po mieście autem jeździsz? – zapytał Dracula, uśmiechając się ni to do niej, ni to do własnego szczęścia, a może do całkiem brawurowej zagajki.

– No. Jeżdżę – przyznała Ewka. – To na razie.

– Pogadałbym, ale się śpieszę – wyjąkał Maks.

Kobieta zamrugnęła, pomyślała chwilkę i pokiwała głową.

– No. Cześć.

– Nie zagaduj mnie, Ewka. Innym razem. Cześć! – Pobiegł dalej, a Julita Kaleta jeszcze długo zastanawiała się, kim jest do cholery Ewka.

Maks w kilku długich susach dobiegł do starówki, by obok rynku odbić w jednokierunkową Gołębią.

Już ją widział. Już był blisko. Jeszcze kilka kroków.

Kamienica lśniła jak wapienny klif, a spod jej wejścia odjeżdżało właśnie jakieś auto, kopnąc niczym samolot akrobatyczny na pokazach lotniczych.

Wpadając na klatkę schodową, Maksym usłyszał czyjeś wołanie.

– Spóźniłem się – syknął Dracula, skacząc po cztery stopnie naraz.

Kiedy dotarł na odpowiednie piętro, aż odjęło mu mowę.

Maharadża walił pięściami do drzwi, wrzeszcząc jak opętany.

– Mamusia, to ja! Ludwiczek! Otwórz!

Pelagia odpowiedziała. Ale zza drzwi.

– Ja nic nie zamawiałaam!

* * *

Przez dłuższą chwilę w słuchawce panowała kompletna cisza.

Borsuk przetrząsał w myślach cały bogaty słownik, by znaleźć w jego zasobach choć jedno słowo, które pasowałoby jako komentarz do tej historii.

Ludzkość na przestrzeni wieków wymyśliła i nadała sens miliardom słów, ale żadne z nich nie miało takiego ładunku i wachlarzu zastosowań, jak wyszeptana z podziwem:

– O, kurwa jasna. – Borsuk nadał jej ton godny cytowania świętych słów przodków.

Szymon chrząknął, odpędzając suchość w gardle.

– Na szczęście zdjęto już z nas kwarantannę – podjął po chwili.

– Aha. Ale... ten covid. To nic ci nie jest, co?

– A co ma mi być? – Szymek wyczuł niepokój w głosie kumpla.

– Nie wiem. Coś.

– Spoko. Nic mi nie jest. Nie zarażę cię. Mnie to wcale nic nie było. Tylko babcię mocno wymożytało. Niby już jest ozdrowieńcem, ale wciąż jest jakaś kiepska. Ledwie się na ogród przejdzie, to musi się przespać z godzinę. No i przy otwartym oknie musi siedzieć, bo ma duszności. Przestała nawet przyjmować klientów w swojej pseudolecznicy. I odmówiła wizyty ludziom z gazety, wiesz, tym, którzy co roku przychodzą po wróżbę na Siedmiu Braci Śpiących.

– Mrozi – przyznał Robert. – Ale ty możesz już wyjść z chaty, nie? Czujesz się na siłach i...

– Borsuk – przerwał mu chłopak. – Nie bój się. Niczym cię nie zarażę.

– No to... Może byśmy coś porobili? – Robercik w końcu się przełamał, choć słycać było, że ma fefra.

– Ojciec jedzie dzisiaj z dziadkiem na zdjęcie gipsu do ordynatora, więc jak mamy coś zrobić, to zróbmy to szybko. Zanim Maharadża znowu odpali jakąś petardę.

– Dobra... Ale nie masz kaszlu, nie?



ROZDZIAŁ VII

Błąkając się po mieście, Dracula wrzucił prędkość patrolową, przez co tarł obcasami o chodnik. Przechadzając się po ulicy Szerokiej z ćmikiem w gębie, wyglądał jakby uważnie zastanawiał się nad każdym kolejnym krokiem.

Maksym uznał bowiem, że właśnie tak po włościach chodzi Pan. Bo Pan ma pieniądze. A on miał jeszcze całe sto piętnaście złotych z dwustu, które dał mu Michał jako wynegocjowaną premię za dobrze wykonane zadanie. Tutaj warto krótko wspomnieć, że słowo „dał” jest bardzo uprzejmą formą tego, jak wyglądało przekazanie forsy.

W drodze donikąd Maksym minął kilka banków, które go nie interesowały z zasady, i drogerię, która nie interesowała go z zasady nigdy. Kilka metrów dalej przeszedł obok sklepu „wszystko po cztery pięćdziesiąt”, w którym ceny zaczynały się od sześciu złotych.

Wychodząc zza przepięknego eklektycznego budynku cechu na końcu deptaku, skierował swe gumowe kroki w prawo, obierając kurs na park miejski. Kiedy jednak mijał zaciemnioną witrynę, za którą krył się „salon gier” z maszynami, zauważył znajome zarysy postaci.

Dracula mruknął i mimowolnie pomerdał dłonią w kieszeni, kręcąc pieniędzmi jak lumpami w palce.

Nie zastanawiając się długo, wszedł do środka z radosnym „szczęść Boże”.

Lincoln, Żuraw, Maradona i Daktyl stali ściśnięci przy jednej z maszyn do gry. Gdy usłyszeli głos Maksyma, spuścili głowy i udając, że go nie widzą, grali dalej.

Draculi tyknęła brewka, ale nie dał po sobie poznać urazy i podszedł do maszyny obok. Wiedział, że koledzy obserwują go kątem oka, więc wyciągnął stówę z kieszeni, przyjrzał się jej pod słabe światło, rozprostował i wcisnął do podłużnej, ziejącej czernią szpary w pulpiciu.

Maszyna, która żywiła się nadziejami i rozpaczą głupich, zazgrzytała ze smakiem.

Uuu – pomyślał Maks, dostrzegając nerwowe poruszenie kumpli.

Nawet starszek, który robił tu za ciecica, wychylił łeb zza odległego biurka, gdy dostrzegł tę stuzłotową monstrancję.

Dracula odpalił grę. Na ekranie zakręciły się rolki z totemami. Potrzeba było trzech koron, żeby rozbić bank.

Pierwsza runda zaowocowała dwoma koniczynkami, co dało dwadzieścia złotych.

– Mało – mruknął hazardzista.

Daktyl spojrział na Maradonę i też kliknął ich panel. Im wyszedł wielki... wichajster. Maszyna zabrała im dziesięć zika i kilka porcji pigmentu z włosów. Lincoln zaklął i profilaktycznie, tak dla pokorności, strzelił pudło z otwartej łapy.

– Spokój mi tam! – wrzasnął cieć. – Bo zadzwonię po szkiełó!'

Cała grodziska bohema wiedziała, że z panami policjantami lepiej tu nie zadzierać, bo jak już przyjadą to na dzień dobry jest z pały w udo, a dopiero później zabawa w pytania i odpowiedzi.

Lincoln charknął i wyciągnął z kieszeni dychę, wykonując ten sam uświęcony rytuał co Dracula, za co zarobił od Maradony w żebra z łokcia.

– Dychą, ciulu? – zapytał szeptem.

Wcisnęli ją w machinę, czekając, aż ta zazgrzyta. W tej samej chwili, automat Draculi znowu zabrzączał. Wskoczyły mu dwa serduszka i koniczynka. Pięćdziesiąt złotych!

– Mało – mruknął Maksym.

Daktyl wyprzedził Lincolna i wcisnął guzik.

Pyr, pyr, pyr! *Null*.

Lincoln rąbnął w szafę, aż się zahuściła.

– Co ja powiedziałem, opyplusy?! – Cieć aż wstał. – Jeszcze raz i dzwonię!

Bring! Zaśpiewała maszyna Draculi. Jego ekskumple już bez konspiracji wlepili gały w jego wyświetlacz. Dwie korony i koń. Sto złotych!

– Mało – powiedział konsekwentny Maksym.

Maradona sięgnął do kieszeni i wyjął ich ostatnią dychę. Szarpiąc się z Żurawiem, sam wcisnął ją w otwór i przydzwonił pięścią w starter.

Pyr, pyr, pyr! Zonk!

Lincoln van Damme próbował zabić automat pięściami.

– Dzwonię!

– Zwijamy się – zarządził Maradona.

Ewakuując się, nawet przez sekundę nie spojrzeli na Maksyma.

Dracula westchnął ciężko, opierając się o automat. Myślał, że może już im przeszło. Że widok takiej kasy rozpuści grubą lod między nimi i znowu uznają go za jednego ze swoich.

Pokręcił głową i zatrzymał wzrok na liczbach, prezentujących wygraną. Miał już prawie trzy stówki.

Fajnie byłoby rozbić bank – pomyślał. – Tylko co ja bym zrobił z takimi bejmami? Nie mam z kim ich przewalić...

I wtedy zakiełkowała w nim ta szalona idea.

Odkupiłbym Michałowi narzędzia. Chociaż część. I... I długi bym w pawilonie popłacił. No i może kupiłbym nowy płaszcz.

Nacisnął guzik startu.

Pyr, pyr, pyr!

Korona i dwa konie. Kolejna kwota zasilila jego konto. Maks uśmiechnął się krzywo.

Start.

Pyr, pyr, pyr!

Dwie korony i truskawka. Konto wskazało sześćset złotych. Draculi przyspieszył oddech. Czuł też, jak rośnie mu balon w sercu.

Start.

Pyr, pyr, pyr!

Dwie korony i koniczyna. Kolejne trzysta!

– No – mruknął do automatu. – Dajesz maleńka, dajesz. Wiem, że masz.

Start.

Pyr, pyr, pyr!

Pierwsza rolka wskazała koronę.

Druga rolka, poszła śladem pierwszej.

Trzecia...

– Dzień dobry! – zawołał ktoś od drzwi i...

I teraz tak. Będzie to dość długi opis, jak na tak krótkie zdarzenie, ale chciałbym, żebyście dobrze to sobie wyobrazili. A więc: jak szkieł rąbnął Draculę pałą w udo, to aż mu się „hilfe panel" przed oczami uruchomił, co można było poznać po tym, że leżąc już na ziemi, patrzył gdzieś poprzez celofanową kurtynę rzeczywistości, szukając w opcjach jakiejś pomocy.

– Kto tu rozrabia?! He?!



ROZDZIAŁ VIII

Ordynator uchylił drzwi, wpuszczając ich do gabinetu.

Maharadza tylko skinął głową i z miną starego Indianina usiadł na kozetce. Michał przywitał się bardziej wylewnie. Zbił z sąsiadem sanitarnego żółwika i wymienił kilka uprzejmych wersetów wyniesionych z rodzinnego domu.

Pan ordynator założył rękawiczki i rzucił okiem w kartotekę pacjenta. Maharadza spojrział na jego nowe sandały.

– Fajne laczki – zagadnął. – Ortopedyczne?

– Ojciec! – Michał miał ochotę pacnąć go przez łeb, ale powód do zarumienienia, dopiero naciągał.

– Nie, nie są ortopedyczne – odparł beznamietnie lekarz, strzelając naciągniętą rękawicą.

– A jak tam nocne wycieczki pana syna? Wyzerował pan już licznik dzienny, żeby...?

– Ojciec, do cholery! Co cię dzisiaj użarło?!

– To się nazywa „troska”, synu. Możesz nie znać.

– Przepraszam za ojca – kajał się Michał, a później nieśmiało zapytał: – Panie doktorze, czy po wszystkim mogę panu zadać kilka pytań na osobności?

– Jasne – uśmiechnął się ordynator i chwycił za elektryczną piłkę do cięcia gipsu.

Nakładając na nią ostrze, uważnie przyglądał się pancierzowi Macharskiego, szukając na nim śladów mąki. Tym razem jednak wszystko wyglądało w porządku. Uruchoił bzyczące urządzenie i podszedł do starca.

– Panie! – Maharadza powstrzymał go i jednym szarpnięciem zdjął gips przez głowę. – Po cholere ten kurz?



ROZDZIAŁ IX

Maksym zaciągnął się kiejem, czując jak filtr parzy mu palce. Wolną ręką rozmasowywał sobie obolałe udo.

Siedział na rozklekotanym taboreciku w swojej zagraconej melinie, gdzieś na końcu miasta. Było tu wszystko, poczynawszy od przeciętego do połowy dekła studzienki kanalizacyjnej poprzez stopy starej makulatury, po słoiki z pleśniowymi ogórkami kiszonymi.

Dracula dumał nad swym losem. Policjant, który spałował go w salonie gier, nawet nie pozwolił mu wypłacić wygranej. A znając tego chytrego ciecica, teraz już żadnej wygranej nie było. Przepadła.

I co najgorsze, nawet nie widział, czy wpadła ta trzecia korona, czy jednak nie? I co począć?

Do roboty mnie nikt nie weźmie, bo recydywa – wyliczał w rachunku sumienia Maksym. – Sam firmy nie założę, bo bez skończonej zawodówki to jestem szpec na gumowe dydki... Odkuć się nie odkuję, bo już nie mam na maszynę... Rodzina ma mnie za menela... Jestem menelem... Powiesić się boję... Nie wiada co robić.

Nagle jak głos z zaświetów, usłyszał w myślach Justynę.

To może żółte papiery?

Dracula prychnął i zgasił papierosa w kiejtacy, którą rąbnął kiedyś z poczekalni dworca PKP jako zadośćuczynienie za opóźnienie pociągu. Notabene, nigdzie wtedy nie jechał, ale przechodząc, zauważył, że bany jeszcze nie ma, a ludzie klną pod nosami.

Sru – podjął decyzję. – Mogą być żółte papiery. Tylko jak je zdobyć?

Zachodził w głowę nasz markotny Maksymilian, wodząc wzrokiem po melinie. Przesuwał te smutne spojrzenie od jednego klunkra do kolejnego, aż w końcu wypatrzył w tej gimeli coś, co skrywała w sobie stara szafka.

W oczach zatańczyły nie iskiery, a dwa całkiem pokaźne ogniska.

Ich blask na ułamek sekundy rozświetlił mroczne wnętrze mebla i...

Goraaan!!! Chodź tu z tą orkiestrą!

Tułaczka przez miasto nie należała do najlżejszych. Z papierosem w gębie, którym non stop kadził sobie prosto w oczy, i z ciężkim tobołem owiniętym workiem na śmieci, wyglądała jak współczesny Syzyf.

Co kilkanaście metrów robił sobie przerwę na rozprostowanie palców dłoni. Odkładając tobołek na ziemię, kłaniał się zaintrygowanym przechodniom.

– Szczęść Boże – powtarzał raz za razem. – Uszanowanie.

Bo trzeba przyznać, że choć Maksymem zawładnęły siły zła, to kultury osobistej nie zdołały mu odebrać. Wciąż trzymał fason i szarmancko kłaniał się kolejnym mieszkańcom miasta, co u wielu z nich, a przynajmniej u tych bardziej rozgarniętych, wzbudzało ciarki niepokoju.

Niepokój szybko przeradzał się w strach, gdy Maksym zaszczyczał grodziszczan swym uśmiechem.

Istnieją bowiem różne rodzaje uśmiechów. Są takie, które wyrażają politowanie, ale i te, które rozpalają ciepło w naszych sercach. Natomiast uśmiech, którym życie obdarzyło Draculę, przywoływał w myślach syrenę alarmu przeciwlotniczego.

Maksym przeciął na szagę Stary Rynek, co z okien urzędu wyglądało, jakby po placu przepływał mały, bujający się na falach i wściekle kopczący trawler, zatankowany urazą i głupim pomysłem.

Wychodząc z rynku, skierował swe już nie tak sprężyste kroki w stronę parku. Ale co dziwne, nie skręcił w jedną z jego alejek. Szedł twardo dalej, w cieniu wysokich drzew, chodnikiem, który prowadził prosto do...

O matko.

Dracula przystanął, by przyjrzeć się posterunkowi policji. Zaciągając się petem po raz ostatni, zgasił go na schodkach prowadzących do dyspozytorki.

Pomieszczenie przypominało poczekalnię stacji kolejowej.

Maksym postawił pakunek na płytkach i kłaniając się nisko, pochylił w stronę okienka. Mundurowy dyspozytor spojrział nań z kwaśną miną.

– Panie władzo, chciałbym się zobaczyć z policjantem, który był na akcji w salonie z automatami.

– W sprawie wyjaśnień?

– Oj tak. Ja w sprawie wyjaśnień.

Nie minęła minuta, gdy w okienku pojawiło się znajome tamburyno.

– A ty tu czego? – zapytał szkieł. – Poprawić ci?!

Dracula najspokojniej w świecie wyłuskał z kieszeni kolejnego ćmika i odpalił go benzynową zapalniczką.

– Zgaś to, bo...

– TY! – Maksym przeszedł do ofensywy, wskazując palcem na gliniarza. – Szplinie, co mnie pobiłeś za nic...

Dracula szarpnięciem zerwał worek z butli z gazem. Policjanci zbledli. Jeden z nich upuścił kubek z kawą.

– Teraz wylecisz ze mną w powietrze.



KSIĘGA VI

BILET W JEDNĄ STRONĘ



ROZDZIAŁ I

Biblioteka wciąż migotała na czerwono. Alarmy, choć wyły przeraźliwie, nie zdołały przebić się przez bańkę rzeczywistości Waldemara Morrisa.

Mężczyzna stał wsparty o jedno z biurk. Myśli gnały w jego głowie tak szybko, że zostawiały bolesny szum w uszach.

– Szeffie? – Jeden z historyków odważył się mu przerwać. – Co teraz zrobimy? Titanic zatonie. Tuż przed katastrofą radiooperatorzy z SS Californian wysłali im ostrzeżenie o górach lodowych. Chłopaki z Titanica odesłali im obraźliwą odpowiedź...

– Kazali im... iść w pyry. – Morris otrząsnął się z zamyślenia. – Californian wyłączył telegraf i nie otrzymali na czas wezwania o pomoc.

Wyprostował się i spojrzał historykowi prosto w bladą twarz.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem. – Dyrektor prawie syczał.

– Więc to koniec. Nie ocalimy ich.

– Nie – zaprzeczył Morris. – To nie koniec.

Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

– Wyślemy im pomoc.

– Ale... szeffie, król zezwolił nam tylko na sześciu śniących. Mamy to na piśmie, z jego pieczęcią.

Nie możemy...

Morris spojrzał na niego jak na pchłę.

– Nie interesuje mnie to. Wybudźcie siódmego.

W archiwum zapanowała cisza. Historycy popatrzyli po sobie ukradkiem. Nigdy wcześniej nie słyszeli, by ich szef otwarcie sprzeciwiał się rozkazom króla. I jeszcze nigdy nie widzieli w nim takiej dzikiej determinacji.

– Na pańską odpowiedzialność – bąknął bojaźliwy dziejopisarz, ruszając do wyjścia.

– Jeszcze jedno! – zawołał za nim dyrektor. – Wybierz kogoś, kto umie pływać.

– Został nam tylko jeden zapasowy skazaniec.

– Kto?

Historyk przełknął ślinę.

– Mieszko Dusiciel.

Ktoś westchnął.

Ktoś zemdlał.

Ktoś inny dostał zawału.



ROZDZIAŁ II

Pasażerowie różnych klas biegali po pokładzie. Jedni szlochali, innym groza odebrała mowę, lecz w chwili strachu zatarła się wśród nich hierarchia społeczna. Wobec nadciągającej śmierci wszyscy byli równi.

Fabio Rodionov uśmiechnął się do smutnego muzyka z akordeonem, lecz nie doczekał się rewanżu. Odwrócił się więc do pozostałych.

Wiktor stał jak sparaliżowany, Rychu rozglądał się z zaciekawieniem, a Pistacja smarknęła w palce i skaziła gilem pokład.

– Nie pamiętam tego statku – powiedział Rodionov. – Co się tu dzieje?

– Jeśli go nie pamiętasz, to znaczy tylko tyle, że przestrześliś z datą lądowania. – Crush miał nerwy zaśpiew w głosie. – Ten statek okrzyknięto „niezatapialnym”, a znany jest głównie z tego, że podczas dziewiczego rejsu zderzył się z górą lodową i zatonął.

– Ciekawe, czy był ubezpieczony. – Rychu zaczął rozglądać się za kapitanem.

– Statek ma za mało szalup ratunkowych. Mijający nas okręt Californian nie odbierze wezwania SOS, a Carpathia odbierze, ale nie zdąży przyплыnąć na czas. Zginie... Zginie ponad tysiąc pięćset osób! – Wiktor próbował przekrzyknąć muzyków, którzy wznowili swój koncert. – A kiedy Titanic już się zanurzy i złamie wpół...

Rodionov miał opad szczęki i ser szwajcarski w głowie.

– Co zrobi?

– Złamie się wpół i wtedy eksplodują rozgrzane kotły!

– No to wiksa do szalupy! Na jednym łączku! Raz, raz! – Szarpnął Wiktora za rękaw, podbiegając do burty, przy której ustawiła się kolejka ludzi.

– Tylko kobiety i dzieci – poinformował jeden z oficerów. – Kobiety i dzieci najpierw!

– Co?

– A tak...

– CO?! – Fabio nie słyszał go przez orkiestrę.

– Szalupy zabiorą o wiele mniej osób, niż mogą! – Wskazała na jedną, która właśnie odpływała. – Ale spokojnie! Mamy przecież, czaro...

Wiktor urwał w połowie zdania, wlepiając wzrok w odpływającą łódź. Ktoś im pomachał z jej pokładu.

– E! WRACAJ TU! – wrzasnął Wiktor.

W odpowiedzi Pistacja zaciągnęła się papierosem, którym poczęstował ją podoficer zarządzający szalupą, i pokazując im środkowy palec, wydmuchała z dymu łamiący się statek.

– Chyba jesteśmy w piździe – zauważył Crush.

– Co mówiłeś?!

– Że jest kibel!

– CO?!!!

Miarka się przebrała, gdy orkiestra zaczęła grać utwór *Kokomo*.

– *Bermuda, Bahama, come on pretty mama...* – zanucił Rychu.

– Psio krew! Zamknijcie się debile! – Rodionov rzucił się na orkiestrę z pięściami. – My tu toniemy!

Na statku wybuchła rasowa burda.

Pistacja zmrużyła oczy, przyglądając się, jak gdzieś nad pokładem przelatuje akordeon i czyjś tupcecik. Po chwili podbiegli oficerowie nadzorujący opuszczanie szalup na wodę. Rozległ się huk wystrzału.

– Grubo – mruknięła czarownica.

– Proszę pani! – Czyjaś drobna rączka szarpnęła ją za rękaw. Była to maleńka dziewczynka, która wciąż wpatrywała się w okręcik z dymu, wydmuchany przez wiedźmę. – Czy to był statek?

– Niezły, co? – Staruszka puściła jej oczko.

– A co jeszcze pani umie zrobić z dymu?

– Hmm, umiem jeszcze zrobić helikopter. Chcesz?

Dziewczynka, choć nie wiedziała, czym jest helikopter, pokiwała głową.

Pistacja zaciągnęła się papierosem i dmuchnęła, modulując natężenie strumienia dymu i... ta-da! Helikopter z dymu okrążył ich szalupę.

– Brawooo! – zawołał ktoś z tyłu i po chwili cała szalupa klaskała w uznaniu.

– Co jeszcze pani umie? – zapytał jakiś starszy facet.

– King Konga!

– To jakiś król?

– Król małpoludów! Aktor w dodatku. – Pistacja zaciągnęła się dymem i po chwili oglądali już wielkiego goryla.

– Brawooo! – Znowu poklaskali.

– To magia? – zapytała dziewczynka.

– Coś ty – szepnęła do niej wiedźma. – Żadna magia. Każdy tak może. Mogę cię nauczyć... trzymaj. Musisz się tylko mocno zaciągnąć i...

– Co pani wyprawia?! – oburzyła się matka dziewczynki. – Przecież to dziecko!

– No i... w czym rzecz?

– Pani chyba kpi! To są wyroby tytoniowe!

– Dooobra – mruknięła Pistacja, strzelając niedopałkiem w ocean. Później spojrzała ukradkiem na zawiedzioną dziewczynkę. – Alkoholu też nie możesz?

– Nie – odszepnęła mała.

Wiedźma pokręciła głową.

– Co za czasy.



ROZDZIAŁ III

Woda podchodziła coraz wyżej, zalewając najniższe pokłady, gdy na jednym z nich, lupnęło i strzeliła błyskawica.

– Prąd! Uciekajcie, prąd! – krzyczeli ludzie z drugiego końca korytarza. Przerażeni pognali w stronę klatki schodowej.

Piorun rąbnął po raz ostatni i wąski korytarz o drewnianych ścianach popękał, rozepchnięty przez jajowaty wehikuł.

Drzwi otworzyły się z syknięciem.

Mieszko Dusiciel wy dostał się z kapsuły i rozejrzał po korytarzu. Uśmiechnął się paskudnie.

– Wolność – mruknął.

Mężczyzna miał dwa metry wzrostu i mięśnie jak mityczny tytan. Prawie czarne oczy, osadzone głęboko pod brwiami wielkości parapetów, dodawały mu tylko i wyłącznie mroku. A jeszcze nie wspominałem o czarnym wąsie wielkości niedźwiedzia.

Mieszko warknął wściekle i ruszył w kierunku, z którego dochodziły ludzkie okrzyki.

*

Wiktor siedział na metalowej pryczy, z głową opartą o stalową, zimną ścianę. Od korytarza dzieliły ich kraty z furtą. Już się takich naoglądał ostatnimi czasy, więc nie zwracał na nie uwagi.

– A tak właściwie to dlaczego powiedziałaś wiedźmie, żeby nas przeniosła o dwieście pięćdziesiąt lat do przodu, z dala od ognia? – zapytał.

– Chciałem wrócić do swojego pana, a on jest w zimnym Tungusku – wyjaśnił Rodionov, próbując nastawić sobie nos. – Myślałem, że wylądujemy chociaż blisko.

– Następnym razem ja mówię datę – stwierdził Wiktor.

– Następnym razem? – parsknął Rodionov. Wiktor uśmiechnął się w ślad za nim, a Rychu nacisnął na klawiaturę akordeonu, który udało mu się wynieść z burdy pod szalupami.

– Tej, ja chyba umiem na tym grać – powiedział, przyglądając mu się uważnie. – Co byście chcieli usłyszeć?

– Daj coś z Papa Dance – zarżał jak głupi do bateryjki Wiktor. – Albo nie! Mam lepszy pomysł!

Dusiciel dotarł na klatkę schodową.

– Wiktor Crush! – Głos miał jak lawina skalna.

Woda wdzierała się na niższe pokłady. Statek napręzał się, mrużąc cichutko.

Olbrzym ujrzał szczury, które uciekały na górę. Mężczyzna poszedł ich śladem. Mijał właśnie kolejne piętro, gdy coś przykuło jego uwagę.

Jego ogromny buciur zawisł nad kolejnym stopniem. Mieszko nadstawił ucha. Usłyszał bowiem dźwięk, którego nie powinno być na tym statku. A przynajmniej nie w tych czasach.

Dźwięk ów dochodził gdzieś z korytarza po prawej.

Dusiciel spojrzał przez ramię, skąd niesło się echo jakby pijackiego chóru.

– Eewry najt in maj driiims...

Dudniące kroki Mieszka nie zaskoczyły więźniów. Właściwie to już nic nie mogło ich zaskoczyć, więc gdy tylko ujrzeni olbrzyma po drugiej stronie krat karceru, zachęcili go machaniem rąk, by zaśpiewał razem z nimi.

– Dajesz!

Mieszko wytrzeszczył ślepią.

– Łans moooooor, ju ooooo de dooooo! – darła japiszony pożegnana z życiem brygada.

Dusiciel zamrugał jak kot na pusty flak.

To musieli być oni.

Nikt inny na Titanicu nie zna piosenki z Titanic!

Decyzja podjęła się sama. Potężnym kopniakiem Mieszko wysadził drzwi z zawiasów, a te, poleciawszy dalej, zmiotły Rodionova z taboretu. Mężczyzna z opanowanym do perfekcji jękiem zawył z podłogi:

– Dłaczego zawsze ja?!

– Chodźcie ze mną, jeśli chcecie żyć – zagrzmiął Dusiciel.

Zbity z pantałyku Wiktor przyjrzał się osiłkowi.

– To było z *Terminatora*, nie?

– Ech – mruknął pod nosem wielkolud. – Zapomniałem, że to tego samego reżysera.

– Kim ty jesteś?

– Przysłał mnie Morris. Jestem Mieszko Dusiciel i radzę się śpieszyć. Wehikuł jest kilka korytarzy stąd.

Crush pokiwał głową, klaszcząc w dłonie.

– Od nas trzy razy „tak”. Prowadź.



ROZDZIAŁ IV

Zbiegając po schodach, słyszeli za sobą popiskiwanie akordeonu.

– Zostaw ten kłopot! Spowalnia nas! – wrzasnął Crush do Rycha.

Pół piętra niżej okazało się, że już nie ma do czego się śpieszyć. Woda kompletnie zalała korytarz, kotłując się jak w kipieli wodogrzemtu.

Mieszko cmoknął zębami z niesmakiem i jak gdyby nic zszedł jeszcze niżej. Po chwili całkowicie zniknął pod lustrem wody. Wyglądał przy tym jak ogromny, wyciosany z pnia sekwoi spławik, ciągnięty w toń przez pochwyconego Lewiatana.

– Mamy iść za nim? – zapytał Ryszard. – A jak mi woda naleci do nosa?

– A co? – zagadnął z przekąsem Rodionov. – Nie jesteś ubezpieczony?

Ryszard zbladł.

– Nie.

Woda zabulgotała i Mieszko zaczął wylaniać się z powrotem. Przy tym wszystkim nawet nie mrugnął. Wzbudziło to w nim tyle emocji, co wyjście z jacuzzi.

– Lola w torcie – zagrział. – Wehikuł zatopiony.

– To co teraz?! – Rodionov z powodem wracał do stanu sprzed aresztowania. Znów zaczynał dygotać.

Olbrzym wzruszył ramionami.

– Wywalisz już ten akordeon? – Mieszko spojrzał na Rycha. – Bo chętnie usłyszałbym ostatni raz piosenkę Zostawcie Titanica.

Złocista flara jak fajerwerk wystrzeliła znad pokładu w nocne niebo. Przez chwilę, zrobiło się jasno jak w dzień.

Dziób statku znajdował się już pod wodą, a rufa unosiła coraz wyżej. Znad tafli oceanu zaczęły wylaniać się ogromne łopaty śrub napędowych.

Wychodząc na pokład, musieli dostosować się do chodzenia po mocno pochylonej powierzchni. Nie każdemu udawała się ta sztuczka. Tu i ówdzie, ludzie upadali i osuwali się w dół. Z minuty na minutę, ich zjazdy były coraz szybsze.

– O matko – jęknął Wiktor. – Mamy mniej niż dwadzieścia minut do złamania.

Górujący nad innymi pasażerami Mieszko skinął głową.

– Dobra. Zdążymy.

– Zdążymy co?

– Uwolnić tę waszą czarownicę. Wiecie, gdzie ją zamknęli?

Chłopaki popatrzyli po sobie, coś tam pomamrotali, a Rodionov nawet odważył się na głupkowaty uśmiech.

– Co? – Dusiciel zmarszczył czoło, wpatrując się to w Crusha, to w żywą reklamę skupu żelaza.

– Bo widzi pan, panie... – zaczął Wiktor.

– Mieszko.

– Mieszko... nasz koleżko – zaśmiał się nerwowo. – Bo nam ta wiedźma wsiadła do szalupy i...

– Sprzedała nam faka i odpłynęła – dokończył Ryszard, nastrojając akordeon.

Chwilę to trwało, nim olbrzym ułożył w głowie te proste puzzle.

– Nie macie czarownicy – powiedział beznamiętnie.

– Nie.

– Uciekła wam.

– Tak.

– I teraz kojtnę w lodowatej wodzie, bo jesteście bandą patafianów.

– No, coś w ten deseń – przyznał Wiktor.

– Nikt nie musi umierać – stwierdził nagle Ryszard, zdejmując akordeon.

– A co, mają tu wypożyczalnię rowerów wodnych? – zakpił Rodionov.

– Nie. Ale już wiem, skąd znam tę piosenkę! – Rychu kopnął akordeon i rozejrzał się po pokładzie. – Dobra, ludzie! Słuchać mnie! Szalupy odpłynęły, więc jeśli chcecie przeżyć, to róbcie to co ja!

Pasażerowie zatrzymali się, patrząc na niego jak na wariata. A wariat podszedł do pierwszych lepszych drzwi, wyjął je z zawiasów i rzucił się biegiem w stronę burty.

Wyskoczył i po chwili już pływał na drzwiach jak na desce surfingowej.

– Widziałem to na filmie! – wyjaśnił zaskoczonym kolegom. Przy burcie zebrał się pokaźny tłum. – Dalej! Tam jest tyle drzwi, że każdy sobie jakieś znajdzie! Tylko nie od kotłowni!

Ludzie popatrzyli po sobie i zaczęli powoli znikać z pola widzenia.

– Ech – skwasił się Ryszard. – Co za szuszfale. Ani ubezpieczenia, ani...

Wtem zza burty wyskoczył Wiktor z drzwiami w rękach. Za nim poszybował Rodionov...

– O, nie – zdążył jęknąć Rychu.

Fabio przyrznął o tafłę wody z odgłosem tłuczonego szkła.

– Bez okien, ciapoku! – wrzasnął Rychu.

– Teraz mi mówisz?! Ratunku! Pomocy!

Znad burty wyskoczył kawałek drewnianej ściany z zegarem i wylądował tuż obok Rusina.

Mieszko podał kompanowi dłoń.

– Właż.

– Uf ! – Rychu odetchnął z ulgą, gdy w jednej chwili ze statku zaczęły wylatywać drzwi za drzwiami. Były ich setki!

Rozbitkowie gramolili się na swoich prowizorycznych trawekach, starając się nie zanurzyć w lodowatej toni oceanu.

Gdy wyskoczył ostatni z pasażerów, statek jęknął przeciągle jak ziewający olbrzym, a po chwili ogłuszył rozbitków porażającą eksplozją dochodzącą spod powierzchni wody.

– Wybuchły kotły – szepnął Wiktor sam do siebie.

Od tej chwili tonięcie wyraźnie przyspieszyło.

Statek pękał na dwoje. Trzask łamanego metalu był ogłuszający. W górę i na boki wystrzeliły rozzerwane nity i deski. Pokład rozstał się jak biblijne Morze Czerwone.

Rufa runęła z impetem w dół. Opadając na wodę, wzbija wokół siebie potężne fale. Te odepchnęły tratwy rozbitków na względnie bezpieczną odległość. Wrak znowu jęknął przerażająco.

Idąca na dno część dziobowa znów pociągnęła rufę do pionu.

– Łooo – rozległy się westchnienia, w których podziw mieszał się z przerażeniem.

Widowisko trwało przez kilkanaście sekund.

Rufa wznosiła się nad oceanem jak ogromny stalowy pał. W końcu, przegrywając walkę z grawitacją, zaczęła tonąć w bulgoczącej kipieli. Ciśnienie wysadzało z ram okna, gdy metr po metrze, znikala pod wodą, aż ta pochłonęła ją na dobre.

Ludzie na drzewiach popatrzyli po sobie, kiwając głowami.

– Bravo! – krzykali, podnosząc aplauz dla swego wybawcy. Ten uśmiechnął się i skinął im głową. – Jak pan ma na imię?

– Ryszard.

– Wiwat pan Ryszard!

– Uratował nas pan!

– Sto lat, sto lat...!

Dryfująca gawiedź śpiewała w najlepsze, oprócz zasępionego Mieszka.

– A ty co znowu kombinujesz? – zaniepokoił się Rodionov, wychylając nad dzielącym ich zegarem.

– Ja też widziałem ten film – mruknął. – Musimy zdobyć gwizdek.

– Po co gwizdek?

– Rose miała gwizdek i... Ty nie jesteś z przyszłości?

– Trochę się już pogubiłem. A gwizdek ma tamten koleś w mundurze, widzisz?

Dusiciel namierzył śpiewającego marynarza. Widać było, że ma już w głowie ułożony plan. I owszem. Miał.

Lecz nagle usłyszeli dziwne echo niosące się nad wodą. Wszyscy zamilkli, wlepiając oczy w czerń nocy.

Coś się zbliżało.

Szybko.

I brzmiało jak...

– Motorówka? – Wiktor wyciągnął szyję.

Głośny parowy gwizd zbił ich z tropu.

Wtem w ciemności wyłonił się ogromny statek, który zakręcił zwinnie bączka jak wyścigowa łódka.

Wiktor rozdziawił usta, przyglądając się nazwie jednostki.

Carpathia.

– Przecież... jak? Ona...

– Elo mordy!

Crush z przestraczem zadarł łeb w górę. Na mostku kapitańskim, przy barierce, stała Pistacja.

Smarknęła i posłała gila na pokład.

– Niby miałam już nie wracać... – powiedziała z grymasem, jakby walczyła sama ze sobą. – Ale fajki nam się skończyły i... no. Wskakujecie, czy jak?

Rodionov odetchnął z ulgą i spojrzał na Mieszka, gotów wyrazić swoją radość, gdy...

KU-KU!

Z zegara między nimi wyskoczyła kukulka, wybijając z Fabia dwa metalowe ciała obce. Zaskoczony Mieszko wytrzeszczył ślepią, a jego towarzysz schował twarz w dłoniach.

– Bodże, wedź mnie dźo siebie.



ROZDZIAŁ V

Wycie alarmów było ogłuszające.

Waldemar Morris siedział za jednym z biurko, czując ciarki na całym ciele. Jego archiwiści biegali od jednego stanowiska do drugiego. Kilkoro z nich szperało w starych księgach i zapisach wyciągniętych z wysokich półek biblioteki.

– Straty! – zażądał dyrektor.

Archiwista znajdujący się najbliżej pokręcił głową.

– Szefie... Ja nie wiem, czy „straty” to dobre określenie. Według zapisów czterech nieznanymi mężczyzn ocalało wszystkich pasażerów Titanica. Nikt nie zginął.

Dyrektor skinął.

– Carpathia dotarła na miejsce katastrofy ponad godzinę przed czasem, który znaliśmy. Świadkowie twierdzą, że jakaś szalona kobieta przekonała kapitana, że jest on dzwonem pokładowym, a sama przejęła mostek. Sprawiała, że statek ruszył na ratunek z prędkością sześćdziesięciu węzłów.

– To dużo czy mało?

– Według historii sprzed pół godziny ten statek osiągał tylko piętnaście węzłów i...

Morris machnął gniewnie ręką.

– Gdzie oni są?



ROZDZIAŁ VI

Linia horyzontu przybierała barwę gazowego kaganka. Zbliżał się świt.

Na pokładzie statku słoczono wszystkich rozbitków. Po traumatycznych przeżyciach mogli w końcu odetchnąć z ulgą. Jedni modlili się do swego Boga, dziękując za ocalenie życia, inni dopiero zaczęli w niego wierzyć. Bo jak wyjaśnić to, że jeszcze żyją? Tak. Bóg dał im tamtych ludzi. To musiał być on.

Pistacja rzuciła na nich okiem przez okienko kajuty kapitańskiej i wróciła do rozmowy ze swoimi kompanami.

– Dobra, posłuchajcie. – Sięgnęła do skórzanej sakiewki i wyciągnęła fioletowy kwiatek. – Został mi już tylko jeden, więc dobrze się zastanówcie, gdzie chcecie lecieć.

– Ja tu dżosztaję. – Rodionov siedział na krześle z kompresem przy ustach. – To moje dżasy.

– Jak tam chcesz – powiedział Wiktor. – Podziwiam cię.

– Dżemu?

– Za dwa lata wybuchnie pierwsza wojna światowa. A w trzydziestym dziewiątym druga.

– Ja już daty nie mówię – zmienił zdanie Fabio.

Pistacja zmierzyła ich chytrym wzrokiem.

– Zabiorę was, gdzie chcecie. Ten ostatni raz. Ale przyrzeknijcie, że nic mi się tam nie stanie.

Wiktor rozejrzał się po pozostałych. Nie miał zielonego pojęcia, co Waldemar Morris zrobi z wiedźmą. A jeśli Antoni von Nacht miał rację? Jeśli on ją pokroi na kawałeczki, żeby zbadać komórka po komórce? Jeśli on ją skrzywdzi?

Pozostali również nie znali dokładnych zamiarów dyrektora.

Crush zacisnął usta i spojrzął na olbrzymiego Dusiciela.

– Cokolwiek by się stało, obronimy ją, prawda?

Mieszko skinął łbem. Ryszard też. Fabio również, tyle że po chwili i w stronę ściany.

Pistacja uniosła brwi.

– No dobrze – powiedziała i wcisnęła do ust kwiatek. Rozgryzła go i przełknęła, poklepując o spódnicę na udzie. – Złapcie się i mówcie, za ile lat lądujemy.

Wiktor nabrał powietrza.

– Łądujemy za... Czteryście trzydzieści osiem lat w miejscu, w którym czas stracił znaczenie, a człowiek prześcignął Boga.

Pistacja zmrużyła oczy i uśmiechając się półgębkiem, wzniosła w górę ramiona.

– ESSA! – klasnęła z całej siły. Szarpnęło mocniej niż za pierwszym razem.

* * *

Archiwista pokazał na coś palcem. Morris pochylił się w fotelu.

– Kapitan Carpathii w noc zatonięcia Titanica stracił rozum. Resztę życia spędził w zakładzie dla obłąkanych, myśląc, że jest jakimś rodzajem dzwonu. Po dotarciu do portu na pokładzie statku nie było śladu tajemniczej kobiety. W kajucie kapitana znaleziono tylko męskie buty i spodnie z epoki...

ŁUP!

Fala uderzeniowa rzuciła ich razem z biurkami na ściany i regały. Alarmy zamilkły, a światła zgasły. W ciemnościach słychać było tylko jęki i kasznięcia.

– Co to było? – zapytał ktoś w ciemnicy.

– Mam deskę w płucach – odpowiedział inny.

– Niech nikt się nie rusza! – Morris wstał, czując ból wbiodrze. – Światła!

Sufit archiwum zamigotał i rozbłysnął zimnym blaskiem.

Pracownicy instytutu wytrzeszczyli oczy. Stał bowiem przed nimi nieznanym im człowiek z wybitymi zębami, zezem i bez spodni. I bez...

– Ja już z nią nigdzie nie lecę. – Wskazał ręką w prawo.

W tej chwili z jego lewej strony pojawiła się siwa głowa kobiety.

– Czary mary tubylcy! – zakrakała wesoło, smarkając na podłogę.

– AAA!!! – Archiwiści rzucili się do ucieczki i tylko Morris stał jak dąb, wlepiając świecące oczy w wiedźmę, zza której wyłonili się Wiktor z Ryszardem.

– Dzięki Bogu – szepnął dyrektor głosem głębokim jak studnia.



ROZDZIAŁ VII

Waldemar Morris nie chciał tracić czasu na badania medyczne, jakie standardowo wykonuje się na powracających podróżnikach. Przepisy zastrzono, gdy kilka lat temu jeden ze śniących powrócił z dżumą.

Dyrektor streszczał się też podczas autoprezentacji, śpiesząc do sedna.

– Droga pani, chciałbym, aby poszła pani ze mną.

Pistacja pociągnęła nosem, rozglądając się ukradkiem.

– Ale w jakim celu? Czego pan ode mnie chce?

– Pistacjo, jeśli mogę się tak do pani zwracać...

– Mi to tito.

Morris odszukał wzrokiem tłumacza języka prapolskiego.

– Mówi, że wszystko jej jedno.

– A więc Pistacjo, chciałbym prosić cię o pomoc. Ale nie tutaj. Na osobności.

Wiedźma zamyśliła się na moment, dodała wglowie dwa do dwóch i...

– Aha! – Cofnęła się o krok i spojrzała na swoją poturbowaną magią bandę. – A wy, maśluki niecyrne, to na pewno mieliście mu ściągnąć czarownicę? Czy może wszetecznicę?

– Kogo? – Mieszko spojrzał pytająco na Crusha.

– Kur... – zaczęła Pistacja.

– ...tyżaną! – wpadł jej w słowo czujny tłumacz.

– Wy się tu bawcie pięknie! – Wiedźma uniosła ręce, wycofując się w stronę drzwi. – A ja spadam do chaty, bo już mnie córka po szufladach szuka.

– Nie! – zaprotestował Morris. – Oni dobrze wykonali zadanie. Mieli sprowadzić wiedźmę. A teraz tu jesteś, przede mną, a ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy. – W oczach dyrektora coś zamigotało i to w ten specyficzny, szklisty sposób. – Proszę.

Pistacja westchnęła ciężko, a później wskazała na swoich kumpli.

– Dobra. Ale Wiktor i ten Mojżesz idą ze mną.

– Ja jestem Mieszko – poprawił ją olbrzym.

– Nie szkodzi.

Waldemar skinął głową.

– W porządku. Chodźmy więc, bo czas nas nagli.

Wyszedszy ze zdewastowanego pomieszczenia archiwum, Morris poprowadził ich wąskim korytarzem, którego nie widzieli nigdy wcześniej. Był inny niż pozostałe i prowadził do niewielkiej windy.

– Ja się tu nie zmieszczę – zauważył Dusiciel.

Pistacja zaniepokoiła się, węsząc podstęp. Wiktor uspokoił ją, ściskając jej dłoń.

– Spokojnie. Ja wciąż jestem z tobą – szepnął jej do ucha.

– Od razu mi lepiej – sarknęła Pistacja, wrywając z uścisku swoją rękę.

– Poczekaj tu na nas – poprosił Morris Mieszka. – To nie zajmie wiele czasu. Chyba.

Wszedł do wnętrza windy i zaprosił pozostałą dwójkę. Wiktor, tak na wszelki wypadek, stanął między dyrektorem a wiedźmą.

Drzwi zamknęły się tylko na sekundę, a gdy otworzyły się ponownie, ujrzeli śnieżnobiały pokój z ogromnym oknem, pod którym stało łóżko. Przy nim ustawiono nowoczesny sprzęt, najwyraźniej medyczny.

Morris podszedł do łóżka jako pierwszy. Pistacja wymieniła spojrzenia z Wiktorem i obaj dołączyli do zamyślnego dyrektora.

Jego szkliste oczy utkwione były w małej dziewczynce, która choć słaba i blada, miała oliwkową karnację swego ojca.

– To moja jedyna córeczka, Oliwia. Ma pięć lat. – Morrisowi drżał głos. – W wieku trzech lat zapadła na chorobę, której nie znają medycy. Nikt nie potrafi jej pomóc.

Pistacja przyjrzała się dziewczynce. Miała spokojną, piękną twarz i ogromne oczy. Oczy, które tak mało jeszcze widziały.

– Oliwia słabnie każdego dnia – kontynuował Morris. – Zostało jej niewiele czasu. Pomyślałem, że...

Mężczyzna odwrócił się, by na nich spojrzeć. Wyglądał teraz na kogoś bardzo zmęczonego. Kogoś, komu odebrano wszystko.

– Pomyślałem, że skoro nie ma dla niej ratunku w nauce, poszukam pomocy w historii.

– Jezu – mruknął zaskoczony Wiktor.

– Jezus okazał się zwykłym człowiekiem. Nie zdołał jej pomóc.

Crush wytrzeszczył oczy. Coś ciężkiego, przewróciło się w jego żołądku.

Waldemar Morris zwrócił się do Pistacji.

– Szukałem cię pod przykrywką badań nad historią, ale prawda jest taka, że od początku chciałem błagać cię o ratunek. – Upadł ciężko na kolana. Łzy wielkości grochu popłynęły mu po policzkach. – A więc błagam. Błagam, ocal moją córkę. Pozwól jej być szczęśliwą. Spraw, żeby wyzdrowiała, a zrobię dla ciebie wszystko. Wyślę cię do czasów, które sama wybierzesz i podaruję całe złoto z muzeum. Tylko pomóż. Błagam, błagam...

Morris opuścił głowę i przytulił się do jej nóg, szlochając głośno.

Pistacja spojrzała na Wiktora, a następnie sięgnęła do skórzanego mieszka i zajrzała do środka.

Woreczek był pusty.

Waldemar Morris uniósł ku niej zapłakane obli...

* * *

Drzwi do pokoju Szymka otworzyły się tak gwałtownie, że chłopiec aż podskoczył. Był już późny wieczór, więc nie spodziewał się gości.

Weszła mama, przerażona i rozdygotana.

– Szymek, ubieraj się. Babci coś się stało. Leć na ulicę i czekaj na karetkę. Pokaż, gdzie ma się zatrzymać!



KSIĘGA VII

MAHARADŻA, WIELKI KRÓL



ROZDZIAŁ I

Tamtego wieczoru, to właśnie Justyna znalazła nieprzytomną Urszulę. Zauważyła bowiem, że w gabinecie babci nie świeci się światło. Wydało się jej to na tyle niezwykle, że postanowiła do niej zajrzeć.

Urszula została zabrana do szpitala siedemnastego września o godzinie dwudziestej trzeciej. O tej samej godzinie, lecz dwa dni później, odeszła.

Lekarz, który przekazał im tragiczne wieści, wyjaśnił później Michałowi, że covid, który przeszła jego matka, podziurawił jej płuca jak dubeltówka. To dlatego nigdy nie odzyskała pełni sił. Czy była szansa, by jej pomóc? Czy istniał jakiś lepszy niż jej własny, domowy sposób na leczenie? Doktor nie miał dla nich odpowiedzi na to pytanie.

Pogrzeb odbył się trzy dni później. Cmentarz parafialny w Grodzisku Wielkopolskim jeszcze nigdy wcześniej nie widział takich tłumów. Na ostatnie pożegnanie z lokalną dobrodziejką i uzdrowicielką przybyło całe miasto i okolice. Był nawet burmistrz, starosta i statyści z Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Tym razem przybyli tu bez wabika.

Podczas ceremonii Szymek trzymał się blisko dziadka. Łzy piekły go wściekle, ale za wszelką cenę starał się nie szlochać. Dziadek nie szlochał. Stał jak posąg z nieodgadnioną miną, wpatrując się gdzieś ponad głowy zebranych.

Gdy trumna spoczęła w grobie, a trębacz skończył grać Ciszę, rodzina Macherskich złożyła wieńce i wycofała się, by uniknąć składania kondolencji.

Michał ścisnął ojca za ramię, by dać mu znać, że jest tuż obok.

– Jak się trzymasz, tato?

Mężczyzna spojrzął na niego nieobecny wzrokiem.

– Muszę wracać – wymamrotał cichutko. – Trzeba nakarmić gołębia.

Fala bezsilności i żalu przerwała w Michale tamę. Rozplakał się. Wszystko się zawaliło. Wszystko było nie tak, a on nie miał pojęcia, jak odbudować z tego normalność. Wiedział tylko, że od teraz ten obowiązek spoczął na jego barkach.



ROZDZIAŁ II

Promienie słońca straciły wiele ze swej letniej mocy. Pod koniec dnia, gdy stały się złocisto-pomarańczowe, ledwie grzały. Dobiegający końca wrzesień dawał do zrozumienia grodziszczanom, że właśnie rozpoczęła się jesień.

Ludwik Macherski siedział na swojej ławeczce. Od pogrzebu małżonki przesiadywał tam w bezruchu i bez towarzystwa swojego ulubionego radia. Wsłuchiwał się już tylko w śpiew ptaków i przytłumiony gwar miasta. To go uspokajało.

Przez te kilka dni Michał obserwował ojca z bezpiecznej odległości. Dopiero dziś odważył się wejść do ogrodu i przysiąść na ławeczce. Na wszelki wypadek, gdyby staruszek był gnuśny, przyniósł ze sobą dwie butelki schłodzonego piwa.

Ludwik przyjął dar i przesunął się, robiąc gościowi miejsce.

– Wszystko dobrze? – zapytał Michał.

– Tak. – Maharadża zawiesił wzrok na modrzewiu. – Tylko gołąb wciąż nie wrócił.

Michał westchnął ciężko.

– Tato, twój gołąb nie żyje. Jest bejt. Zabił się przez przypadek, pamiętasz? Wleciał w szybę.

Choć Ludwik nie odrywał wzroku od pustego gniazda, Michałowi wydawało się, że staruszkowi tyknęła brewka. Ni to ze zdziwienia, ni to z podziwu. Trudno było określić, bo i pewności nie miał, że dobrze widział.

– Wywiozłem go nad stawy w Augustowie i wrzuciłem do wody – Michał poszedł o krok dalej, chcąc sprowokować kolejną reakcję starca. – Wszystko to widział Kaziu. To chyba twój kolega, bo kazał cię pozdrowić.

W końcu Ludwik pokusił się o bardziej widoczną reakcję i nie było to sięgnięcie po przedmiot jednostronnie zaostrozony. Maharadża pokiwał głową i spojrzał synowi prosto w oczy.

– Źle ze mną, co? – rypnął prosto z mostu.

Michał też pokiwał głową i solidnie pociągnął z butelki.

– Jak byliśmy na zdjęciu gipsu z obojczyka, poprosiłem o rozmowę ordynatora, pamiętasz? Zapytałem go o ciebie. – Na ostatniej sylabie głos splątał mu figła. Jakby poślizgnął się na lodzie. Michał odchrząknął. – Zapytałem, czy te utraty pamięci mogą być efektem twoich ciągłych wypadków.

– A mogą?

Młodszy z mężczyzn pokręcił głową, wpatrując się w butelkę.

– To chyba początek Alzheimera – powiedział w końcu.

Ojciec wziął głębszy wdech. W nozdrza uderzył go ziemisty zapach jesieni. Był niesamowity.

– To przegibane – skwitował Ludwik i pociągnął łyk piwa. – Co na to babcia?

Michał poczuł lód w żyłach. Przez chwilę zbierał się w sobie, by cokolwiek powiedzieć.

– Tato...

Ludwik klepnął go w kolano.

– Żartowałem – parsknął, częstując syna jednym ze swoich łobuzerskich uśmiezków.

– Boże, tato. To było niestosowne.

Staruszek machnął ręką, rozglądając się po swoim królestwie. Butelkową zieleń późnego lata przeplatały suche pasemka słomianych źdźbeł.

– O mnie się martwisz, a co z tobą?

– Nie wiem. – Michał wzruszył ramionami. – Chyba dobrze. Lepiej. Trochę... A skoro już rozmawiamy, to dzisiaj kamieniarz postawił płytę nagrobną z napisem, o który poprosiła w... Właśnie. Tato, wiedziałaś, że mama zostawiła testament? – Spojrzał na niego podejrzliwie.

– Przeczuwałem – przyznał z tym samym uśmieżkiem rzezimieszka Maharadża.

– Nie powiedziała ci?

– Nie.

– To trochę... Nie teges chyba, nie?

– Ja też nie powiedziałem jej o swoim.

Michał zbladł, przeczuwając kłopoty.

– Ty... też... spisałeś? A co w nim jest? – zapytał, jękając się, jakby zobaczył ducha.

– A lubisz wiedzieć jak się film skończy, zanim wejdiesz do kina?

– Ale wiesz... Filmy bywają przewidywalne, a Ty...

Ludwik pociągnął łyżeczek piwa.

– Są w nim dwa punkty. Pierwszy to przepisanie tego domu tobie pod warunkiem, że spełnisz prośby z punktu drugiego.

Michał wyprostował się, jakby go poraził prąd.

– Co w nim jest? W punkcie drugim. Powiedz.

– A co? Już mnie wypraszasz z tego świata?

– Tato!

Maharadża zaciągnął się porządnie wieczornym powietrzem i wziął syna na przeczekanie.

– A jak się trzyma Szymek? – Po chwili zmienił temat.

Michał westchnął.

– Kiepsko. Nie wychodzi z pokoju i chyba przestał pisać. Słucha ciągle muzyki na słuchawkach, więc nawet nie wiem, co mu tam w duszy gra.

– To źle. Powinien pisać dalej. Jak się babcia dowie, że przestał, to...

– Weź mnie nie dźażnij – zirytował się Michał. – Ten żart już nie jest śmieszny.

Ludwik zamrugał, próbując wyklarować swój mętny wzrok. Przez chwilę wyglądał, jakby szukał w pamięci twarzy syna.

– Jaki żart?

Zimno ze zdwojoną mocą oblało Michałowi serce i płuca.

– Tat...

– Jaja se robię. – Ludwik klasnął ręką o ławkę.

– Tak nie można!

– Nie skickej się... – Przez kilka sekund siedzieli, wsłuchani w szum miasta. – Ale nam się tu zrobiło wesołe miasteczko, nie? – Ludwik wypił kolejny łyk piwa. – Jak chcesz, to opowiem ci kawał. Taki na rozweselenie. Tym razem dobry.

– O babci?

– Nie. O drwalu.

Michał westchnął cichutko.

– Śmiertelny kawał.

– Tak. Ten. Rozsiądź się wygodnie. – Ludwik poszedł przykładem i rozparł się na ławce. Znowu mógł wpatrywać się w swój modrzew. Był majestatyczny nawet w gasnącym świetle dnia. – Gotowy?

– Nie.

– Cykor.

– Dobra. Najwyżej mnie zabijesz.

Wiatr zahaustał wierzchołkiem drzewa.

– Był sobie drwal, co pracował w wielkim lesie. – Ludwik uśmiechał się chytrze pod nosem. Wiedział, że tym razem syn wytrzyma. – Pewnego dnia, jak każdego poprzedniego, spakował śniadanie, zarzucił na barki siekierę i z pierwszym brzaskiem udał się do puszczy. Na polanie, na której odpoczywał codziennie w południe, położył na ogromnym kamieniu zawinięty w papier chleb z szynką, by zjeść go w południe. Robił tak od lat. Lecz wracając pewnego dnia na posiłek, ujrzał coś dziwnego. Na zielonej trawie leżał rozdarty papier śniadaniowy, a obok szynka i dwie rozkindrzone skibki.

Michał pociągnął nerwowo nosem. Dalej niż dotąd nigdy nie dotarł. Zacisnął dłonie na siedzisku ławki.

– Drwal pomyślał: „Co za kinder rozwalił mi śniadanie? Łogar cholerny nawet go nie zjadł!”. Tego dnia, musiał dokończyć pracę na głodnego. Nazajutrz sytuacja powtórzyła się dokładnie w ten sam sposób. Papier śniadaniowy, nietknięta szynka i rozwalone skibki z masłem. A szynka gdzieś pod chynchami. Trzeciego dnia to samo. Drwal trzasnął ręką w kamień i mówi: „Kuniec-Dymbiec! Tak nie bydzie!”. Bo to był drwal z poznańskiego. Czwartego dnia rychło rano drwal przyknał się na ławkę i zostawił śniadanie na kamieniu, a sam schował się wkrzokach. – Ludwik przerwał, by dokończyć piwo. – Nie minęła godzina, jak drwal patrzy, ana błękitnym horyzoncie knai się w stronę łąki orzeł. Nadlatywał z rozłożonymi jak szybowiec skrzydłami. Nie wiem, czy orły mogą się kielczyć albo mieć głupkowaty wyraz twarzy, ale ten akurat miał. Był już coraz bliżej, aż w końcu wylądował na kamieniu, zaraz przed zawiniętym w papier śniadaniem. Drwal wywalił gały, bo spodziewał się każdego, ale nie orła.

– Okej. Orzeł. – Michał chrząknął, wyobrażając sobie opisywaną scenę. Czuł, że są blisko końca.

– Orzeł uniósł brew i wyciągnął pazury po śniadanie drwala. Przyjrzał mu się, a później zaczął przy nim pynchcić... Rug, cug! I wycpnuł papier... Później wytrzepał zez skibek szynkę, a na końcu przytknął te sznytki do klaty i nacierając się masłem jak szwampką pod prysznicem, pado na głos: ja jestem chyba poooobjeaaany!

Cisza.

Przez chwilę Michał oczekiwał dalszej części, ale w końcu dotarło do niego, że to wszystko. Już. Koniec.

Ten kawał był tak głupi, że aż... śmieszny.

Michał próbował stłumić w sobie narastający śmiech, ale szybko się poddał. Parsknął głośno. Śmiał się jak dziecko. A nie śmiał się tak od lat. Zapomniał już, jakie to przyjemne.

Spojrzał na ojca, by ujrzeć jego łobuzerską minę, ale Ludwik spał. Siedział z zamkniętymi oczami i się nie ruszał.

Michał chwycił go za rękę.

– Tato?

Nadgarstek nie pulsował. Ciepłe łyzy śmiechu zostały wyparte przez łyzy zimne i tnące skórę policzków. Michał przytulił ojca i ucałował go w czubek głowy.

– Śmiertelny, kurwa, kawał. Ty stary chytrusie. Ty stary chytrusie...

Siedzieli tak jeszcze przez kilka minut, zanim słońce schowało się za horyzontem, oddając Grodzisk Wielkopolski nocy.



ROZDZIAŁ III

5 miesięcy później

Tej zimy śnieg spadł dopiero pod koniec stycznia, czyli dokładnie w chwili, gdy przeciętny Polak myśli, że nadchodzi wiosna. Grodzisk Wielkopolski otulony białą, puchową pierzynką wyglądał jak z akwarelowego obrazka.

Gdy dzień ustępował miejsca nocy, miasto jarzyło się odbitym pomarańczowym blaskiem ulicznych latarni i wiszących pod ich kloszami ozdób.

Na Starym Rynku, tuż przy figurze świątobliwego Bernarda, ustawiono jak co roku choinkę wielkości Apollo 11, na Anyplacu jarzyła się świetlna rzeźba ogromnego anioła, a przy Miejskim Domu Kultury uruchomiono licznik smogowy.

Pod osłoną szybko zapadających ciemności Michał wyszedł przed posesję i podpierając się o szypę do odgarniania śniegu, rozglądał się po ulicy i zasypanym chodniku.

Westchnął, ale uznał, że to lepsze niż siedzenie na tapczanie.

Z kamieniem na duszy spojrzął na fasadę domu.

W oknach pokoi należących do jego rodziców było kompletnie ciemno.

Życie w ich domu umarło wraz z Ulą i Ludwikiem. Ich śmierć pozostawiła ogromną, ziejącą czernią i poszarpaną na krawędziach ranę postrzałową. Justyna próbowała funkcjonować normalnie, ale ze słabym skutkiem. Najbardziej była sobą w czasie pracy, gdy wymachiwała zapachowym psikotkiem na pohybel miejscowej bohemy „artystycznej”. Jednak gdy wracała do domu, ogarniał ją smutek.

Jeszcze gorzej radził sobie Szymek. On najmocniej przeżył śmierć dziadka. Od dnia, w którym odszedł, chłopiec praktycznie nie wychodził z pokoju. Całymi dniami leżał na łóżku, słuchając muzyki na słuchawkach.

Z początku wyraźnie opuścił się w nauce, ale rodzice nie mieli mu tego za złe. Justyna wiedziała, że chłopak poprawi swoje wyniki, gdy przyjdzie czas. Michał nie przywiązywał do ocen syna wagi, żałował natomiast, że Szymek już nie wrócił do pisania swojej powieści. Od tygodni zza drzwi jego pokoju nie dochodziły choćby pojedyncze stuknięcia w klawiaturę, czy szelest kartek. Chłopak stracił całą pasję literacką, którą wcześniej jakimś cudem udało im się w nim rozpałcić.

Michał pokręcił głową.

Przeczytał książkę syna już trzy razy. Zapytany o zgodę chłopiec tylko wzruszył ramionami, podkreślając głośność w słuchawkach.

– Widzisz coś narobił, ty stary bałwanie? – mruknął pod nosem Michał.

Oczywiście, że miał żal do ojca! Nigdy nie powiedział o tym reszcie rodziny, ale uważał, że tamtego dnia, o tam!, tam na ławeczce w ogro dzie, ten znudzony życiem chytry piernik popełnił samobójstwo. Dowcipem. Ba! Michał był też przekonany, że jeśli istnieje jakieś życie po śmierci i Ludwik go teraz obserwuje, to musi się świetnie bawić.

– Bałwan – powtórzył, tym razem przez zaciśnięte zęby, spoglądając w górę.

Uznał, że „bałwan” to dobre słowo. Było dość pogardliwe, ale jednak nie przesadnie obraźliwe. Po prostu odpowiednie.

Powracając wzrokiem na ulicę, zatrzymał go na śniegu.

– Bałwan. – Tym razem w jego głosie brzmiało zaskoczenie. Genialna myśl musnęła Michała po wewnętrznej stronie czaszki.

Michał pokiwał głową i oparł szypę o płot.

– Dobra – mruknął. – Ukulam ci pomnik.

To mówiąc, zaczął toczyć po ziemi śnieżkę. Ta w kilka minut zamieniła się w dość pokaźną kulę. Podczas tej mrówczej pracy Michał zanurzył się głęboko we własnych myślach.

Główną rolę grał w nich Ludwik. Pojawiał się we wspomnieniach z czasów szkolnych, później w tych z rodzinnych wakacji, aż w końcu wśród kadrów bliższych teraźniejszości.

Po ukulaniu pierwszej kuli Macherski zaczął lepić kolejną, ciut mniejszą. Tocząc ją przed sobą, podświadomie kontrolował, by ta była idealnie okrągła. „Podświadomie”, bo wciąż szukał w pamięci wspomnień z ojcem. Przebierał w nich, przewijał je, przerzucał – jednym słowem „pynchcił” w nich, jak głodny po lodówce.

Wepchnięcie drugiej kuli na pierwszą kosztowało go wiele siły, ale gdy budowla zaczęła przypominać bałwana, Michał uśmiechnął się przelotnie pod nosem. W jakiś sposób to zajęcie dawało mu satysfakcję.

Z trzecią kulką było najciężej, bo śnieżna figura była wzrostu człowieka.

Michał warknął, dźwigając ją w górę.

Kula ani drgnęła.

Złość wezbrała niebezpiecznie, lecz jeszcze nie na tyle, by przezwyciężyć grawitację. I właśnie w tej chwili, wciąż szukając wspomnień w głowie, Michał uświadomił sobie, po co to robi.

Szukał w nich jakiegoś zapalnika. Haka. Wspomnienia, w którym Ludwik zasłużyłby na jego gniew. Takiego, w którym jawiłby się jako fatalny ojciec.

Ale takiego wspomnienia nie było.

Gniew znalazł inną ofiarę. Zagotował się w nim, zarzucając na niego gorące ramiona.

Michał, wściekły na siebie, ryknął jak dziki stwór i podrzucił kulę na szczyt.

Bałwan był gotowy.

Macherski podparł się rękoma o kolana i sapiąc ciężko, zmierzył uważnie dzieło swoich wysiłków.

– Jak żywy – wysapał.

Złość, która jeszcze przed chwilą napierała na jego skronie, zniknęła.

Michał parsknął, ocierając spocone czoło i na jednym łączku pognął do spizarki. Żeby spotęgować efekt, przytaszczył stamtąd marchew i kilka węgielków. Udekorowany bałwan wywołał na jego twarzy

uśmiech. Taki prawdziwy, szeroki. Pierwszy od pięciu miesięcy!

– Maharadza, wielki bałwan.

Wracając do domu, zauważył poruszającą się firankę w oknie Szymona. Chłopca w końcu coś zainteresowało. Michał uznał to za dobry omen.

Tej nocy nareszcie spał spokojnie.

Kolejny poranek okazał się słoneczny, choć siarczyście mroźny. Niebo było lodowo-błękitne i nawet nie tak mocno zadymione, choć unoszący się w powietrzu zapach sugerował, że któryś z sąsiadów Macherskich pali w piecu polonem 210 albo azbestem.

Jednak to nie zapachy, a odgłosy z kuchni obudziły rozanielonego i wypoczętego jak nigdy Michała.

Justyna dyskutowała o czymś z Szymonem. Niestety mówili szybko i półgłosem, więc trudno było wylapać choćby pojedyncze słowo. Oprócz jednego.

Bałwan.

Zauważyli go – Michał uśmiechnął się tryumfalnie i wstał, by spojrzeć na dzieło swych późnowieczornych wysiłków.

Gdy tylko wychylił znad parapetu swój rozczochrany czerep, zrobił ryfę aż do ziemi.

Bałwana nie było.

Nie stopniał! Oj, nie. Gorzej. Przez noc zamienił się w kilka większych i mniejszych grud. Wyglądało to tak, jakby ktoś strzelił do niego z armaty. O ile Michał dobrze kojarzył fakty i doniesienia ze świata, nikt nie zapowiadał przejazdu przez Grodzisk kolejnej edycji potopu szwedzkiego.

Michał jednym hycnięciem wskoczył w laczki i wystrzelił z domu, zarzucając na ramiona pierwszą lepszą jupkę. Widząc jego szaleńczy bieg, zaniepokojona Justyna oraz syn podążyli w ślad za nim, bowiem Macherski wyglądał jak ktoś, kto idzie zabijać gołymi rękoma.

– Ktoś w niego wjechał. – Michał wskazał na ślady opon, prowadzące do i przez miejsce, w którym stał jego śnieżny pomnik.

– Wygląda, jakby ktoś wpadł w poślizg. – Justyna zauważyła, że ślady układają się w łuk. – Ludzie nigdy nie potrafili tędy jeździć. Pomyśl tylko, ile razy potracili... – urwała, patrząc niepewnie na syna.

Szymon wychwycił to od razu. Pokręcił głową i bez słowa wrócił do domu.

– Cholera – syknęła. – Myślisz, że kiedyś mu przejdzie? To już trochę długo trwa. Może nawet za długo.

Jednak zamiast odpowiedzi, usłyszała chrzęst śniegu.

Michał toczył już nową kulkę.

– Co ty robisz?

Nie odpowiedział. Justyna przyglądała się, jak jej mąż z zacięciem na twarzy drepce, popychając przed sobą powiększającą się pigułę.

O niego też zaczynała się martwić.

– Michał?

Ale Michał był myślami gdzie indziej.

Po chwili z domu wyłonił się Szymon, powłócząc nogami.

– Mogę ci pomóc? – zapytał, wskazując na grudki śniegu.

Michał był zaskoczony, ale i ucieszony. Po raz pierwszy od dawna jego syn wyszedł z pokoju z własnej woli.

Macherski pokiwał głową.

– Jasne! Dzięki.

Chłopak wzruszył ramionami, tak jak miał to ostatnimi czasy w zwyczaju i pochylił się, by ulepić śnieżną kuleczkę.

Przez resztę czasu pracowali w ciszy, ale ramię w ramię. Michał zdał sobie sprawę, że tak właściwie robią to pierwszy raz w życiu. Stanowili zespół.

W efekcie ich działań bałwan stanął ponownie. Tym razem kilka metrów dalej.

Michał nie mógł zasnąć. Wiercił się i nasłuchiwał. Jego uwagę przykuwał każdy, nawet najcichszy dźwięk. Aż w końcu usłyszał ten, na który tak cierpliwie czekał.

Dochodził zza zamkniętego okna. Początkowo z oddali.

Ktoś zredukował bieg w nadjeżdżającym aucie. Później rozległo się szuranie opon, jakby ktoś zaciągnął hamulec ręczny i...

BUM!

Michał klasnął w dłonie i poderwał się na równe nogi, by wyrzeć przez okno.

– Ha! – wrzasnął uradowany, budząc zdeorientowaną Justynę.

Narzucił na siebie szlafrok i wystartował z sypialni jak myśliwiec.

Bałwana nie było.

Było za to drogie sportowe auto rozbite na hydrancie, który ów bałwan w sobie skrywał. Gejzer lodowatej wody tryskał, tworząc wokół lodowisko. Zanim Justyna zrozumiała, jaką inbę odwalił jej mąż z synem, Michał był już przy wraku.

Z triumfem na twarzy zajął do wnętrza przez rozbitą szybę.

Eryczek, który siedział za kierownicą trwał w poważnym i pogłębiającym się szybko szoku. Michał uśmiechnął się do niego ciepło.

– Abra kadabra, pizdo – wyrecytował i spojrział w stronę domu.

W oknie swojego pokoju z szeroko wywalonymi oczami stał Szymek. Po chwili wyszczerzył się do ojca i uniósł kciuk w górę. Michał poczuł jak jego płuca pompują się helem.

– Eryyyyk! Nie ma, kurwa w tym kraju ortopedii, która cię poskłada! – wrzeszczał nadbiegający w laczkach i pidżamie ordynator.

Tej nocy w domu rodziny Macherskich po raz pierwszy od wielu tygodni żalobę zastąpiło coś nowego. Coś, na czym można było zbudować nową normalność. To było zwycięstwo.



ROZDZIAŁ IV

Tegoroczna wiosna, wzorem swej poprzedniczki, przybyła do Polski szybko i od razu wkręciła się na wysokie obroty. Końcówka kwietnia była upalna jak środek lata, choć drzewa dopiero nasyciły się zielenią.

Szymek rozejrzał się po koronach lip w alei odcinającej cmentarz od gwaru miasta. Wiatr zaszumił w jej liściach.

Chłopiec westchnął i wrócił spojrzeniem do płyty nagrobkowej swoich dziadków. Po ich śmierci dowiedział się, że każde z nich, w tajemnicy przed drugim, spisało testament.

Urszula jako współwłaścicielka domu prosiła w nim męża, by ten nie zwlekał i przepisał nieruchomości na Michała i Justynę. Poza tym prosiła najbliższych, by żyli w zgodzie i miłości, a jako sentencję nagrobkową wyryli na jej grobie skromny napis „Ave Maria”. Żeby ludzie nie gadali.

Natomiast Ludwik...

Szymek spojrział na stronę, po której leżał dziadek, i uśmiechnął się.

W swoim testamencie Ludwik Macherski zapisał im dom, który własnoręcznie zbudował. I to był punkt pierwszy. W drugim natomiast, pojawiło się „ale”, ponieważ syn musiał spełnić dwa warunki, by zostać pełnoprawnym spadkobiercą. Po pierwsze ojciec zażyczył sobie, aby podczas pogrzebu Michał rzucił za siebie bukietem i zobaczył, kto będzie następny. A po drugie, żeby na jego płycie nagrobnej pojawił się określony napis. Jeśli choć jeden z tych warunków nie zostałby spełniony, dom przypadłby w spadku Stowarzyszeniu Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Grodzisku Wielkopolskim. I pewnie można byłoby potraktować całą tę sytuację jako kolejny dowcip Ludwika Macherskiego, gdyby nie fakt, że on w odróżnieniu od małżonki zadbał o pewien przerażający szczegół. Była to pieczęć i podpis notariusza.

Szymek przypomniał sobie widok przerażonego notariusza ze złapanym bukietem, po czym odczytał inskrypcję z grobu.

Grunt to zdrowie

– Wiesz, że wciąż mam żal? – mruknął pod nosem, wpatrując się w imię dziadka. – Ten cały numer ze śmiertelnym dowcipem... To było nie po koleżeńsku.

Kolejny podmuch wiatru, pogłodził go po głowie. Chłopiec mruknął.

– U nas wszystko w porządku. – Spojrzał na imię babci. – Mama zajęła twoją kuchnię i próbuje gotować według tych starych przepisów, co je miałaś w szafce. Ostatnio zrobiła ojcu maść na poparzenie. Na początku trochę się wystraszyliśmy, ale później sąsiad-ordynator zrobił mu jakiś zastrzyk i znowu mógł sam oddychać... A ojciec też ma się dobrze – teraz spojrzal na stronę dziadka. – Odziedziczył po tobie ksywkę. No i odzyskał sprzęt. Okazało się, że okradł go taki żulik z Berlina z pieprzykiem pod okiem. Tata znowu pracuje... I jeszcze wujek Dracula. Nie było go na pogrzebie, bo siedział u czubków, ale już wyszedł. Taki do końca czaśnięty to nie jest, bo tymi tabletkami, co mu dawali, powymieniał się na papierosy, trochę się dożywił i ma rentę. Dostał jako wariat. Ale już nie pije. Kasę przynosi do pawilonu, żeby mu mama wydzielała. Jest jego „rozsądnym bankomatem”. Tata daje mu czasami jakąś pracę, bo wujek sam chce. A! I policja już się go nie czepia. Nawet do niego nie podjeżdżają. Jak ich postraszył tą butlą z gazem, to podobno tak uciekali, że jeden zgubił pistolet. A tak w ogóle to ta butla była pusta.

Następny podmuch wiatru, pogłaskał go po plecach.

– No a ja... Nie dokończyłem tej książki jednak. Nie wiem, co mam zrobić. Uratować tę dziewczynkę czy nie? Życie jest niesprawiedliwe i okrutne.

Tym razem Szymek poczuł w nozdrzach cuchnącą woń, którą wiatr przyniósł z nad kontenera.

– No co? Nawet nie mam wymyślonego tytułu. Może kiedyś...

Coś pacnęło go w ramię. Chłopiec spojrzal kątem oka i jęknął.

– Szlag. Serio? – Wskazał palcem na ptasi placek. Gdzieś nad jego głową zahuczał gołąb. Szymek doskonale wiedział, czyja to sprawka. – Dobrze się bawisz? Tak? To się baw. Ja idę. Zresztą... i tak muszę. Za dwadzieścia minut jedziemy na wycieczkę szkolną. To do następnego.

Skinął głową dziadkowi, a później babci, zatrzymując wzrok na jej imieniu.

Nagle w jego myślach, na fundamentach wspomnień wykielkowała niespodziewana myśl.

– Tytuł – mruknął cichutko i uśmiechnął się junacko. – *Siedmiu braci śpiących*.



ROZDZIAŁ V

Do autobusu wchodził jako jeden z ostatnich. Większość miejsc była już zajęta, ale o te najlepsze nie musiał się martwić.

– Moniu, dajesz! – zawołał do niego Ebola. – Mamy cały tył!

Szymek powoli wspiął się na pokład.

– Dawaj, Moniu! – zawołał Borsuk, który już szykował dla niego miejsce.

Ale Szymek do nich nie dotarł. Zamiast tego zatrzymał się w połowie korytarzyka i spojrzał na Alana. Chłopak, który tyle przez niego przeszedł, siedział sam. Zawsze siedział sam.

Borsuk szturchnął Ebolę łokciem i wskazał podbródkiem na Szymka. Chłopak wyłapał ich zdziwione twarze, spodziewając się drwin.

Ale drwin nie było.

Borsuk uśmiechnął się pod nosem i skinął mu na zachętę. Ebola pokiwał głową.

Szymek odetchnął i wrócił spojrzeniem do Alana.

– Mogę? – zapytał, wskazując na wolne siedzenie.

Dotychczas zapatrzony w swój telefon Alan wytrzeszczył oczy i zająknął się.

– J... na pewno chcesz?

Szymek wzruszył ramionami.

– Pewnie.

Siadając, zauważył spojrzenie Vanesski. Dziewczyna Eryczka uśmiechnęła się do niego przez ramię. Szymek też się uśmiechnął.

Nieźle. Chyba wszystko załatwiłem – pomyślał i natychmiast skierował spojrzenie na swój plecak. – *No, może prawie wszystko.*

Po chwili zawahania wyciągnął notes i długopis.

Dobra. Skończmy to jakoś.

Świat za oknem, przesuwiał się coraz szybciej, aż złał się w kolorową smugę.

Skończmy to i idźmy dalej.

Długopis kliknął i zawisł nad pustą kartką.

Szymek przełknął ślinę. Bał się iść dalej. I właśnie dlatego poszedł.

Pierwsza z liter, wyrosła spod obsadki.

*

Pistacja patrzyła w szkliste oczy Waldemara Morrisa, zastanawiając się, cóż począć.

Ocalić dziewczynkę?

Spojrzała na nią. Leżała na łóżku bez świadomości, bez poczucia bólu czy przecucia nadchodzącej tragedii. Po prostu spała. Spokojnie, bez trosk.

Wiktor odchrząknął, ale nie zdołał zwrócić tym na siebie uwagi. Wiedźma stała, zamyślona, przygryzając wargę. Po prostu stała i patrzyła.

Widziała dziewczynkę bez świadomości, bez wspomnień, bez dzieciństwa, bez blizn po przygodach, bez przyja...

*

– Ech. – Szymek przetarł dłonią twarz. Coś go zaszczypało w oczy.

– Wszystko okej? – usłyszał Alana.

– Tak – opuścił szybko dłoń. – Spoko.

– O czym tam pieszysz?

Chłopak zastanowił się chwilę.

– O tym, że życie jest okrutne. I niesprawiedliwe. Chyba.

Alan pokręcił głową.

– Ocean też. Ale fajnie jest w nim popływać, nie? Jak opowiadasz o wakacjach, to raczej nie mówisz, że pływałeś w okrutnym i niesprawiedliwym oceanie pełnym rekinów i jadowitych stworów.

– Powiedział gość, który raz w tygodniu dostaje wpierdol od życia – mruknął Szymon.

– Nie dostałem wpierdolu od życia, tylko od przestraszonego gościa. Ludzie boją się tego, czego nie potrafią albo nie chcą zrozumieć. Ty chyba też tak masz – Alan wskazał na notes. – Podpowiem ci coś. Nie bój się być dobrym człowiekiem.

Szymon osunął się w głąb własnych myśli, a te szybko przypomniały mu, że rozmawia z chłopakiem, który jeszcze rok temu chciał się zabić.

Zabić przeze mnie.

Zrobiło mu się źle. Niedobrze. Zimno i oleście.

– Alan... Wiesz, że wtedy z tym Erykiem to było przeze mnie, nie?

Spojrzała na niego z ukosa. Alan uśmiechnął się delikatnie.

– Coś tam słyszałem – przyznał chłopak.

– To czemu się uśmiechasz? – Szymon nie mógł zrozumieć jego reakcji. Denerwowała go. – Nie uśmiechaj się.

– A co mam zrobić?

– No nie wiem. Bądź na mnie zły. Ja bym był.

Alan ani myślał się wściekać. Ba! Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie muszę – przyznał, patrząc Szymkowi w oczy. – Widzę, że żałujesz. I nie musisz mnie przeproszać. Jak już chcesz coś zrobić, to... – Wskazał podbródkiem na jego zapiski. – Następnym razem zrób dla równowagi coś dobrego i będziemy kwita.

Moniu zmarszczył brwi i wrócił wzrokiem nad kartkę.

Wcale nie zrobiło mu się lepiej po tej rozmowie.
Zacisnął usta w wąską linię, czując, jak rośnie w nim złość.

*

Pistacja dostrzegła w tej małej dziewczynce kogoś, kogo dobrze znała. Kogoś sprzed wielu, wielu lat.
Siebie.

Przez długi czas walczyła, bijąc się na gołe pięści z własnymi myślami. W końcu jednak skinęła głową.

- Będę potrzebować pewnej rośliny – powiedziała cicho.
- Zdobędę każdą, o którą poprosisz. – Morris otarł twarz, odzyskując nadzieję.
- Czarcie żebro.

Mężczyzna natychmiast sięgnął po leżące na stoliku urządzenie-telefon i wstukał w wyszukiwarkę pożądaną frazę.

Zbladł.

- Czarcie żebro... to gatunek wymarły – szepnął nieprzytomnym głosem.

*

Justyna wrzuciła do kociołka garść ziół. Podchodząc do stolika, na którym leżał zeszyt z przepisami, spojrzała w stronę ogrodu.

Michał klęczał przy ławeczce z pędzlem w ręku.

Uśmiechnęła się, a zaraz po tym ktoś zapukał do drzwi.

Przed wejściem stała ich sąsiadka. Zapowiedziana. Justyna wpuściła ją do środka.

- Co cię boli, Arletko?
- Renta i krzyże.
- No to zobaczmy, co tu babcia Ula miała na te krzyże – szepnęła Justyna, podchodząc do sfatygowanego zeszytu i przerzucając stronicę.

*

– To koniec. – Waldemar Morris rozpadł się na atomy. Podszedł i uklęknął przy łóżku córki, chwytając ją za małą dłoń.

Wiktor znowu odchrząknął. Tym razem głośniejsze.

– Czarcie żebro może i wymarło – powiedział zaglądając na ekranik upuszczonego urządzenia. – Ale...

Morris spojrział na niego spod opuchniętych powiek.

– Widziałem takie w muzeum, jak mnie szykowaliście do podróży.

Pistacja klasnęła w dłonie.

– No to na co czekasz?! Szybko! Rug-cug!

*

Coś zaszeleściło nad pochyloną głową Michała.

Nowy Maharadża uniósł łeb ku górze i osłaniając oczy, zatrzymał je na gołębiu. Ptak ze świeżą porcją patyczków, usiadł na starym gnieździe, gruchając raz po raz.

Michał z miną posągu wrócił do malowania.

Ale jaja! Mam swojego gołębia – pomyślał, próbując powstrzymać uśmiech.

*

Gorąca, pachnąca suszonym ziołem woda, w której wiedźma wykapała dziewczynkę, spieniła się na powierzchni.

– Fafoly – powiedziała Pistacja, przyglądając im się w skupieniu. – Ostrożnie z nimi. One mają wielką moc. Wylejcie je daleko od swojej miedzy. Chyba że macie na pieńku z sąsiadem i źle mu życzyście, to do niego.

Gdy tylko zapakowano żyburę do kapsuły i wystrzelono w kierunku Neptuna, stał się cud. Dziewczynka przespała całą noc samodzielnie, bez pomocy aparatury. Nad ranem otworzyła oczy.

Waldemar Morris znów zapłakał. Tym razem ze szczęścia.

Trochę to trwało, zanim zdołał się uspokoić. Wtedy zaprosił podróżników i wiedźmę do swojego biura. I było w nim jakoś jaśniej, niż zapamiętał to Wiktor.

– Wykonaliście zadanie, więc i ja dotrzymuję słowa – powiedział Morris głosem, posiadającym barwę. W dodatku przyjazną. – Jesteście wolni.

Crush drgnął, czując mrowienie w całym ciele.

– Obiecałeś mi, że... – zaczął niepewnie. – Że będę mógł wrócić do swojej żony i córki.

Dyrektor pokiwał głową.

– Oczywiście. Zanim jednak o to poprosisz, musisz coś wiedzieć – zrobił krótką pauzę. – Obie dożyły sędziwych lat. Po tym jak cię zamroźono, twoja żona ponownie wyszła za mąż. Była szczęśliwa i nigdy niczego jej nie zabrakło. Córka dzięki majątkowi ojczyma ukończyła studia medyczne i w wieku czterdziestu lat otrzymała nagrodę Nobla za swoje niezwykle osiągnięcia. – Morris widział, jak twarz podróżnika odłącza się od systemu nerwowego. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło, bo jak nikt z pozostałych znał uczucie tęsknoty. Jednak musiał to zrobić. – Jeśli do nich wrócisz, ich życie potoczy się inaczej. Zmiana będzie jednak nieprzewidywalna i zależna od ciebie.

Przez kilka sekund milczeli. Wpatrzony w czubki swoich butów Wiktor rozważał usłyszane słowa. Mrowienie przeszło w zdrętwienie. Zapal przerodził się w senność.

Czy dam radę? – zastanawiał się Crush, widząc przed oczyma ukochaną żonę i córkę. Uśmiechały się.

– Na pewno są... były... szczęśliwe? – zapytał w końcu.

– Tak. I jeszcze coś... Wciąż żyją potomkowie twojej córki. Jeśli chcesz... Decyzja należy do ciebie.

Wiktor westchnął ciężko i spojrzał szklistymi oczami na swoich kompanów i wiedźmę.

– Co mam powiedzieć? – zapytał Pistację.

Ta uniosła brew.

– Szlag? – odpowiedziała niepewnie.

Wiktor pokiwał smutno głową.

– Szlag – powtórzył i podjął decyzję. – Nie będę im tego psuć. Może trochę tu jeszcze zostanę.

– Ja też – dołączył się Rodionov. – Jeszli mogę.

– To i ja zostanę – dołączył się Ryszard. – Założę firmę. – Spojrzał na Mieszka. – Będę potrzebować kogoś silnego.

– Dobra.

Teraz wszyscy utkwili wejrzenia w Pistacji.

Wiedźma pokręciła głową.

– A ja będę spadać. To nie jest moje miejsce – rozejrzała się wokół. – Wy tu nawet nie macie słomy na podłodze. Po kamieniach łązicie jak bidoki. I czarniego żebra już nie macie, więc pewnie umrzecie jak złapiecie jakąś poważniejszą chorobę. Na przykład katar.

Morrisowi drgnął kącik ust.

– Dokąd chciałybyś wrócić? Do swoich czasów i miejsca?

– Eee, niekoniecznie tam. – Czarownica uśmiechnęła się teatralnie, rozkładając ręce. – Trochę za nerwowi ludzie tam są.

– Możesz wybrać cokolwiek.

Pistacja rozejrzała się po biurze i zatrzymała wzrok na półce ze zdjęciami w ramach. Jedno z nich przedstawiało młodego mężczyznę z dziewczyną, stojącego na tle jakichś drewnianych chat ze strzechą. Uśmiechali się. No i nie było tam ognia ani latających widel.

– A na przykład tam? – Wiedźma wskazała na zdjęcie. – Czy tam palą ludzi na stosach?

– Nie. Tam nikogo nie palą.

– To może być. Aha. To obiecane złoto możesz sobie zostawić, ale coś bym jednak chciała ze sobą zabrać.

Morris skinął głową i wstał zza biurka. Przyjrzał im się i w końcu uśmiechnął.

– Dobrze. Chodźcie.

*

– Po wylądowaniu, zniszcz kapsułę – powiedział Morris i uściśnął dłoń Pistacji. – Żegnaj. I jeszcze raz dziękuję.

Po raz pierwszy wszyscy ujrzeni, jak wiedźma uśmiecha się bez cienia fałszu czy podstęp. Wyglądała po prostu na szczęśliwą.

W zamykających się drzwiach wehikułu zdążyli jeszcze zobaczyć jej środkowy palec. Parsknęli dokładnie w chwili, gdy strzelił pierwszy z piorunów. Później następny i kolejny.

Ławica kuleczek zawirowała, iskrząc na błękitno i oktarynowo, a w chwilę później opadła.

Kapsuła znikła.

*

Pistacja zakłęta, gdy jej wehikuł rąbnął w ziemię. Wylądowała w lesie.

Wygramoliła się na zewnątrz, rozprostowała grzbiet i wcisnąwszy czerwony guzik na pulpicie, oddaliła się. Szła w rytm piszczenia, które było niepokojąco podobne do odliczania.

ŁUP!

Kapsuła rozdeła się jak balon, by w kolejnym ułamku sekundy zapaść do wewnątrz i zamienić w srebrne, połyskujące jajko.

Pistacja mruknęła i ruszyła dalej. Przebrodziwszy się przez kolejne zarośla, wyszła wreszcie na udeptaną, szeroką ścieżkę.

W oddali między drzewami ujrzała dom kowala. Rzemieślnik pracował przed nim, wykuwając coś na ogromnym imadle.

Wiedźma podreptała w jego kierunku, wyjmując z kieszeni pamiątkę z przyszłości, którą pozwolił jej zabrać Morris. Była to paczka papierosów.

Wkładając fajkę w usta, pomacała się po kieszeniach i...

– Szlag.

Nie mając zapalek, zawiesiła zmrużone oczka na palenisku kowala. Stanęła przed nim i ukloniła się.

– N'obry. Panie kochany, ja, dobra chrześcijanka, o pomoc prosić przychodzę. Poratuj pan ogniem. – Wskazała na węgle.

– Dobry, dobry. – Kowal odłożył młot, sięgnął do kieszeni i podsunął jej pod papierosa zapalniczkę.

Pistacja zamarła, wpatrując się w nowoczesny wynalazek w rękę czeladnika.

– O! Em Dzi – przeszło jej przez myśl, tyle że na głos.

Z trwogą w sercu rozejrzała się wokół.

– Panie... jak się nazywa ta wieś?

– Z drzewa pani spadła? – Kowal też sobie zapalił. – Biskupin!

Wtem gdzieś za plecami czarownicy rozległ się miarowy warkot i chrzęst kamyszków na szutrowej drodze.

Powoli, jakby bała się, że sprowokuje do ataku dzikie zwierzę, Pistacja odwróciła się i zatrzymała wzrok na ogromnym autokarze.

Maszyna syknęła i z otwartych drzwi wysypały się dzieci ze szkolnej wycieczki. Ostatni z nich, piętnastoletni chłopiec z notesem w ręku, zatrzymał się w połowie schodów, wlepiając w nią zszokowane oblicze.

– Dalej, Moniu! Idziesz czy nie?! – zawołał Borsuk.

Szymon przełknął ślinę, czując jak na całym ciele wychodzą mu ciarki. A później delikatnie, dla zyskania pewności, czy dobrze widzi, skinął kobiecie głową.

Wiedźma przyjrzała mu się uważnie. W końcu smarknęła w dłoń, rzuciła gilem o ziemię i odwzajemniając skiniecie, odeszła, znikając gdzieś za zakrętem leśnej ścieżki.



W serii ukazały się:

Ostatnia arystokratka

Arystokratka w ukropie

Arystokratka na koniu

Arystokratka i fala przestępstw na zamku Kostka

Arystokratka na królewskim dworze

Najzabawniejsza powieść XXI wieku!

Ponad sto tysięcy sprzedanych egzemplarzy w Czechach, kilkadziesiąt tysięcy zadowolonych czytelników w Polsce. Idealny wybór dla fanów humoru i śmiechu do łez.

Rodzina Kostków przylatuje z Ameryki, by przejąć rodowy zamek. Zamiast oczekiwanego bogactwa zastają kłopoty finansowe, a zamiast licznej służby – marudnego kasztelana, niestroniącą od kieliszka kucharkę i neurotycznego ogrodnika.

Historia opowiadana przez osiemnastoletnią Marię nie pozwala odetchnąć nawet na chwilę. Salwy śmiechu gwarantowane! Setki pozytywnych recenzji i opinii na lubimyczytac.pl potwierdzają, że Ostatnia arystokratka to świetny wybór na wakacje, na jesień, na zimę i na wiosnę.

UWAGA! NIE CZYTAĆ W MIEJSCACH PUBLICZNYCH!

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

KSIEGA I. GOŁĄBEK POKOJU

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

KSIEGA II. KOŁOMYJA

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

KSIEGA III. DEMONY PRZYCHODZĄ, NOCĄ

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

KSIEGA IV. SPRYT BABA

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

KSIEGA V. KWARANTANNA

Rozdział I

Rozdział II

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[KSIEGA VI. BILET W JEDNĄ STRONĘ](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[KSIEGA VII. MAHARADŻA, WIELKI KRÓL](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Karta redakcyjna](#)

© Copyright by Wydawnictwo Stara Szkoła Sp. z o.o., 2022

© Copyright by Mateusz Wieczorek, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Mirosław Śmigieński

Korekta: Ewa Żak

Projekt okładki: František Hřibál

Wydawca:

Stara Szkoła Sp. z o.o.

Rudno 16, 56-100 Wołów

biuro@stara-szkola.com

www.stara-szkola.com

ISBN 978-83-66013-88-9

Na zlecenie Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four small, colored circles: a light blue circle above the first 'o', a purple circle above the 'b', a pink circle above the 'l', and an orange circle above the 'i'. The 'k' is in a standard black font.

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek